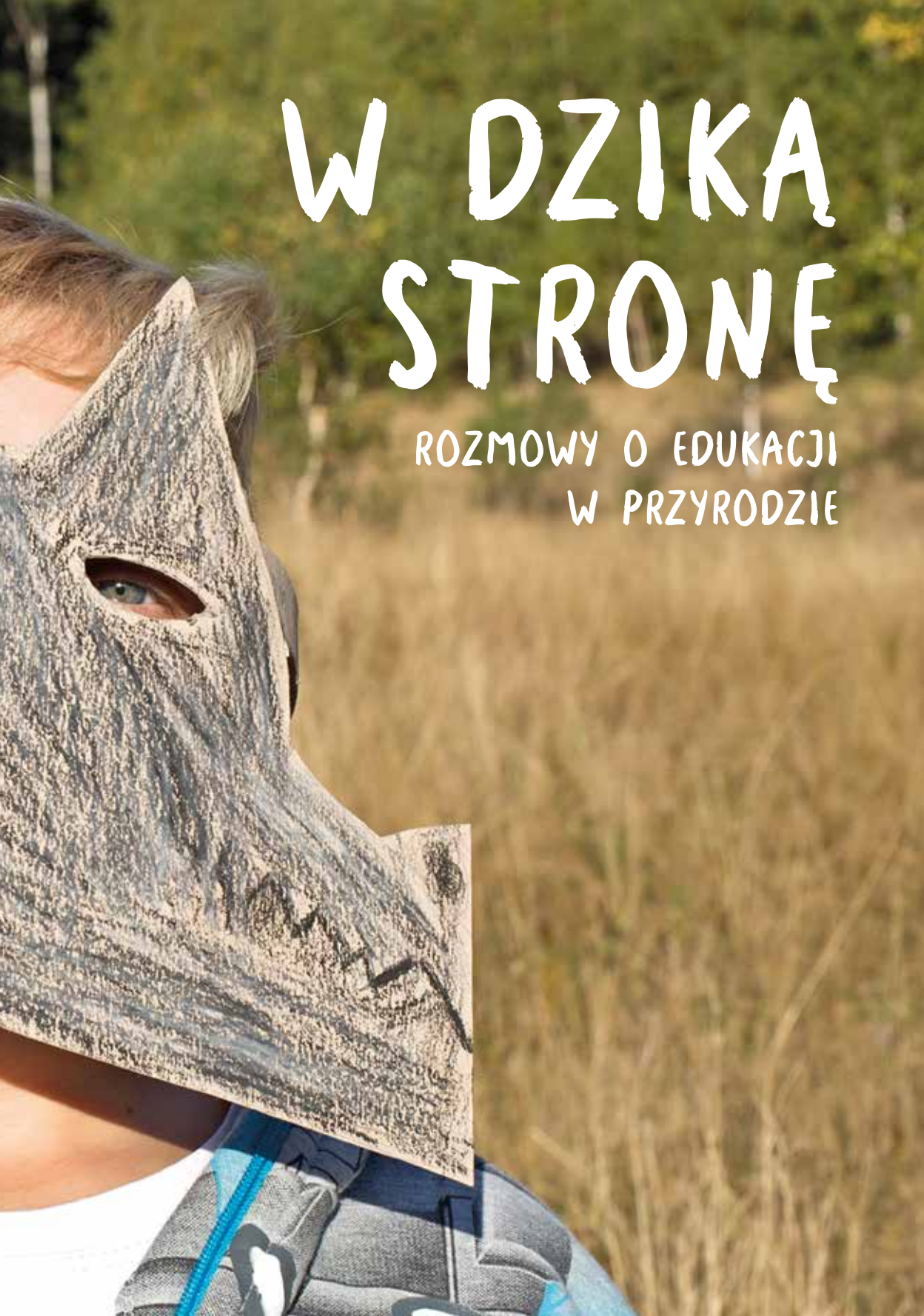

W DZIKĄ STRONĘ

ROZMOWY O EDUKACJI W PRZYRODZIE

W DZIKĄ STRONĘ

ROZMOWY O EDUKACJI W PRZYRODZIE

REDAKCJA
Agnieszka Gaszyńska, Gosia Świderek

REDAKCJA JĘZYKOWA I KOREKTA
Marta Zdanowska

PROJEKT OKŁADKI I SKŁAD
Piotr Świderek

ŹRÓDŁO ZABAW
Nietoperz i ćma, Naturalna orkiestra, Dusza drzewa – *Games for Nature, Environmental education through the eyes of young people*, 2010
Siedmiokierunkowy wiersz, Strażnicy drzew – Chris Holland, *I love my World*, 2009/2012
Podwajanie – Joseph Bharat Cornell, *Sharing Nature: Nature Awareness Activities for All Ages*, 2015
Pozostałe zabawy z archiwum Ośrodka Działań Ekologicznych „Źródła"

ZDJĘCIA
Agnieszka Gaszyńska (str. 3, 14, 38, 56, 66, 74, 76, 94, 110, 120, 136, 144), Katarzyna Mateja (okładka, str. 6, 10, 16, 24, 26, 40, 54, 96, 108, 154), Marika Jaśkowiak (str. 64, 82, 160), Kamil Czepiel (str. 80, 122, 134), Ewa Czap (str. 119, 152), Gosia Świderek (str. 158)

WYDAWCA
Ośrodek Działań Ekologicznych „Źródła"
90-602 Łódź, ul. Zielona 27
www.zrodla.org

ISBN 978-83-64595-07-3

Wydanie pierwsze
Łódź 2016

Ten utwór jest dostępny na licencji Creative Commons „Uznanie autorstwa – Użycie niekomercyjne – Bez utworów zależnych 4.0" (http://creativecommons.org/licenses/by-nc-nd/4.0/)
Treści zawarte w książce wolno kopiować i rozpowszechniać w celach niekomercyjnych pod warunkiem podania ich źródła i autorstwa

Internetowa wersja publikacji:
www.eko.edu.pl

Wydrukowano na papierze z makulatury przez Drukarnię Recyklus

Publikacja została wydana w ramach projektu „W dziką stronę" dofinansowanego ze środków EOG

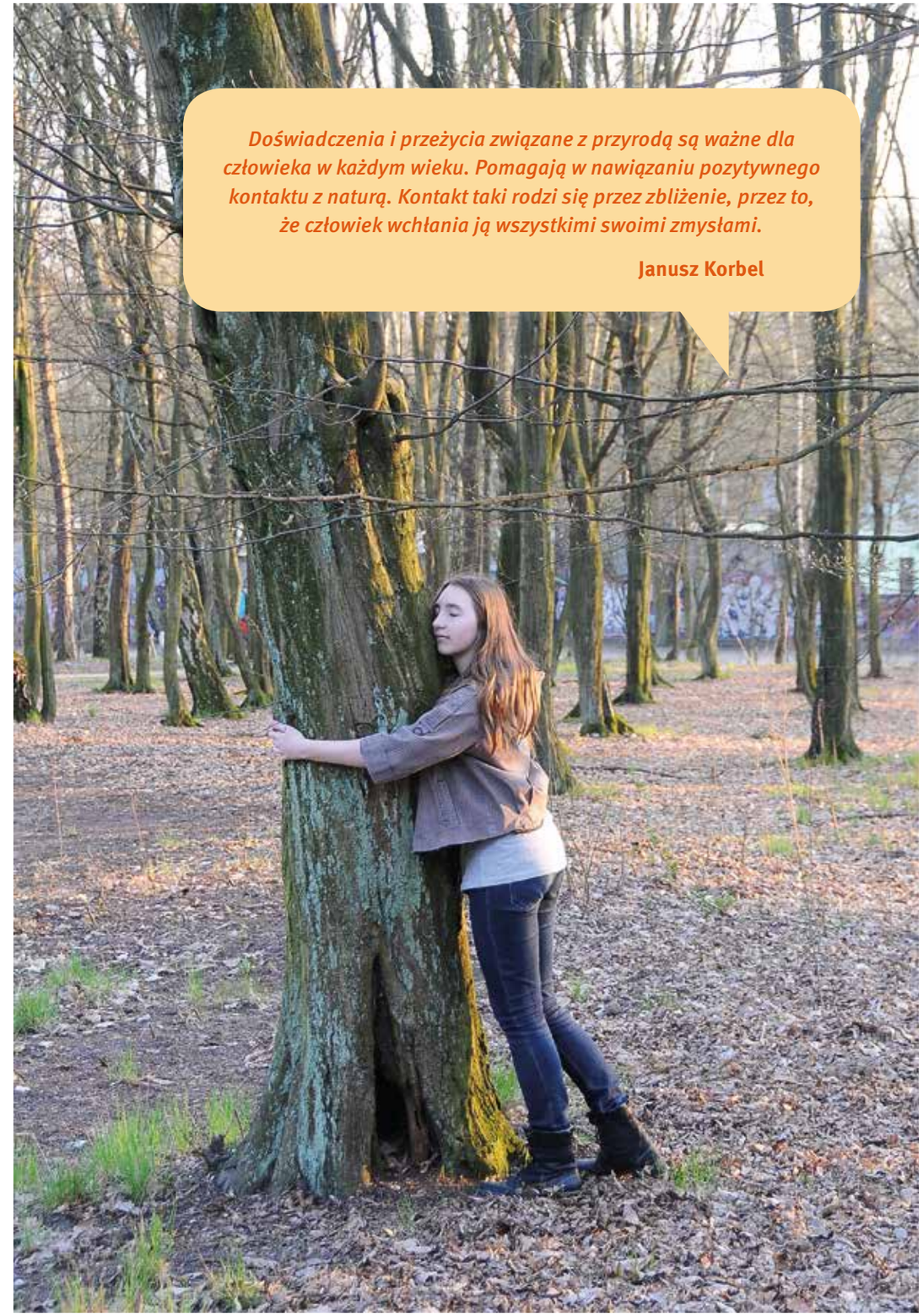

SPIS TREŚCI

Wstęp 6
Adam Wajrak

Dzień Pustej Klasy 10
Marta Karbowiak

Znajdź wśród drzew swego przyjaciela 14

Po co nam przyroda? 16
Marta Jermaczek-Sitak

Nietoperz i ćma 24

Łąki nie trzeba wietrzyć 26
Z Karoliną Baranowską, Anną Chomczyńską, Kamilem Czepielem, Katarzyną Kępską i Agnieszką Mazur rozmawia Marta Karbowiak

Naturalna orkiestra 38

Przyrodę trzeba mieć przede wszystkim ułożoną w sobie 40
Z Ryszardem Kulikiem rozmawia Irka Jazukiewicz

Siedmiokierunkowy wiersz 54

Aktywny wypoczynek jest lepszy od najwygodniejszej kanapy . . . 56
Z Izabelą Tarczoń rozmawia Irka Jazukiewicz

Strażnicy drzew 64

W miastach szukajmy przyrody w miniaturze 66
Z Anną Komorowską rozmawia Marta Karbowiak

Ścieżka bosych stóp 74

Dzika strona miasta 76
Anna Komorowska

Podaj dalej 80

Może kupisz dziką różę, bo już dojrzała? 82
Z Dorotą Komasą rozmawia Anna Chomczyńska

Badania po sznurze 94

Kto zobaczy w lesie dzika...? 96
Z Maciejem Mrozowskim rozmawia Anna Chomczyńska

Podążanie za dźwiękiem 108

Las to antidotum na wiele frustracji 110
Z Richardem Irvine'em rozmawia Monika Kotulak

Podwajanie 120

Turlajmy się z górek i wbiegajmy na nie! 122
Z Gosią Świderek rozmawia Marta Zdanowska

Zwierzęta i zasoby 134

Plenerowo-warsztatowo 136
Izabela Jędrulak-Mocur

Ta podróż nigdy się nie kończy... 144
Z Jörnem Kaufholdem rozmawia Alina Michalik

Siedzisko 152

O projekcie „W dziką stronę" 154
Agnieszka Gaszyńska

Dusza drzewa 158

O Źródłach 160

Autorzy 162

WSTĘP

ADAM WAJRAK

Spotykam się z tym co chwila. Często ludzie w moim wieku, czyli czterdziestolatki, albo nieco starsi przyjeżdżają ze swoimi dzieciakami do Puszczy. W dzieciach widać wielką radość i fascynację z obcowania z niezwykłą przyrodą. W moich rówieśnikach też. Tylko w przeciwieństwie do tej dziecięcej, ich radość jest jakaś taka przestraszona i przygaszona.

– Bo wie Pan, ja też kiedyś interesowałem się przyrodą, ale potem jakoś mi przeszło – mówią ojcowie i mamy. W rozmowie okazuje się, że przyczyny są zwykle dwie. Albo w domu, albo w szkole ktoś takiemu, przyrodniczemu z początku dziecku, wybił jego zainteresowania z głowy, udowadniając że zajmowanie się przyrodą jest niepoważne.

– Te ptaszki, żabki, robaczki i kwiatki – z tego nie da się żyć, nic na tym nie zarobisz – tak mówili im najczęściej rodzice, a nauczyciele dobijali, każąc wykuwać na blachę formułki o fotosyntezie, okryto i nagonasiennych, mitozie i mejozie oraz innych, szalenie ważnych, podręcznikowych rzeczach.

– I nigdy nie chodziliśmy w teren, co najwyżej raz, do szkolnego ogródka – mówią ci głęboko, co tu dużo gadać, zranieni ludzie.

Choć uczyłem się w tych samych czasach i chodziłem do podobnej szkoły, udało mi się jakoś tego uniknąć. Może „przyrodniczość" miałem bardzo silnie we krwi, a raczej zawdzięczałem ją ludziom, których napotkałem na mojej drodze. Naukowcom i przyrodnikom z powołania, którzy na dodatek, poza wiedzą, mieli niezwykłą, wprost anielską cierpliwość i bez mrugnięcia okiem odpowiadali na moje najgłupsze nawet pytania. Oni chyba mieli poczucie misji. Misji polegającej na tym, żeby takiemu uciążliwemu dzieciakowi jak ja pokazywać, że przyroda to nie nuda, ale fantastyczna przygoda. W szkole miałem te wszystkie bardzo potrzebne i ważne nudy, natomiast w teren wyciągali mnie właśnie zaprzyjaźnieni ornitolodzy i zwykli wielbiciele przyrody. To oni pokazywali mi, gdzie zimują bieliki – w kolektorze ze ściekami na warszawskich Młocinach, jak jastrząb robi gniazdo, albo gdzie w mieście zupełnie szarym i nieciekawym jakim była Warszawa lat 80. zeszłego wieku, mogę zobaczyć puszczyka i jak zbadać jego wypluwki. Do tego dowiedziałem się, że prawdziwe ciekawostki takie jak: traszki, ropuchy, pływaki żółtobrzeżki, topielice albo płoszczyce znajdę w stawiku na warszawskiej Cytadeli. Ten stawik to był istny kosmos, a raczej mikrokosmos. Łykałem więc twardą wiedzę w szkole, a w terenie rozwijałem fascynację, która tę wiedzę pozwalała łykać łatwiej i przyjemniej. Podobnie, jak się okazało, miało kilku moich przyjaciół przyrodników, dziś wybitnych naukowców biologów. Najczęściej, podobnie jak ja, w teren trafiali dzięki komuś spoza szkoły, kto do szkolnej wiedzy dokładał terenową fascynację i przygodę. Ale dlaczego nie połączyć tego wszystkiego i nie robić tego pod szyldem szkoły, wraz z nauczycielem biologii? Zresztą z tego co słyszę, coraz częściej tak się odbywa. Dzisiejsze dzieciaki trafiają na dwa w jednym, czyli nauczycielkę lub nauczyciela, który nie tylko przekazuje twardą wiedzę, ale również terenową fascynację. To nie musi być koniecznie wyprawa do Puszczy Białowieskiej czy w Karpaty, ale czasami wycieczki do miejskiego parku, nad pobliską rzeczkę lub zupełnie zapomniane bagienko pełne przedziwnych i fascynujących istot. Często nauczyciele korzystają ze sprawdzonych zachodnich wzorców takich jak BioBlitz, czyli biologiczny nalot na przyrodę, spopularyzowany przez wybitnego socjobiologa, Edwarda O. Wilsona. Ta bardzo popularna, szczególnie w USA, gra terenowa polega na odnajdywaniu i nazwaniu na określonym terenie, w określonym czasie jak największej ilości gatunków. Wygrywają ci, którzy potrafią odnaleźć więcej, a przy okazji można w praktyce poczuć, co znaczy bioróżnorodność albo taksonomia.

Tym nauczycielom, którzy takie rzeczy robią, wypada mi tylko podziękować i mieć nadzieję, że ta książka umocni ich w podążaniu tą słuszną drogą. Tym, którzy jeszcze tego nie robią, bo obawiają się, że zajęcia terenowe i przyrodnicza przygoda spowoduje, że zabraknie im czasu na przerobienie podręcznikowego materiału, chciałbym powiedzieć, że to strach zupełnie niepotrzebny. Nawet gdyby tak było, zarażone przyrodniczym bakcylem dzieciaki szybko przyswoją sobie podręcznikową, biologiczną wiedzę. Nie zamykajcie się w szkolnych pracowniach, tylko ruszajcie w teren z atlasami, lornetkami i lupami w ręku!

Patrzyłam z niedowierzaniem – jak dzieci prześcigały się w poszukiwaniach owadów, ślimaków, pająków, liczyły płatki w kwiatkach, pręciki i słupki. Spotkaliśmy i oznaczyliśmy biegacza złocistego, konika polnego, wonnicę piżmówkę, mrówki, gąsienice motyli, pszczoły, trzmiele, krocionoga, kwietnika oraz miodunkę, jasnotę plamistą, bodziszka cuchnącego, żywca gruczołowatego, knieć błotną i wiele innych. Mogło to trwać i trwać...

Bożena Kupczak, Szkoła Podstawowa Zespołu Szkół w Radziechowach

DZIEŃ PUSTEJ KLASY

MARTA KARBOWIAK

Ten dzień mógłby mieć różne nazwy: Dzień Inspirujących Spacerów, Dzień Odkrywania Lasu, Dzień Odpoczynku na Łące, Dzień Parkowych Zabaw – wszystko zależy od tego, jaki pomysł na jego spędzenie znajdą nauczyciele i ich uczniowie. Nosi jednak inną nazwę: to **Dzień Pustej Klasy**. Obchodzimy go rokrocznie (zawsze w **trzeci piątek czerwca**) i jest wyjątkowym, międzynarodowym świętem edukacji na świeżym powietrzu.

Nazwa święta, zainaugurowanego w 2012 roku przez grupę londyńskich nauczycieli, doskonale oddaje jego jasny i klarowny cel: sprawić, aby klasy były puste. Zachęcić nauczycieli, by tego dnia choć jedną lekcję spędzili ze swoimi uczniami poza budynkiem szkoły. Wszystko po to, aby promować edukację terenową – prawdopodobnie najbardziej uszczęśliwiającą formę edukacji na świecie.

Zaryzykowałabym stwierdzenie, że klasa, to nie tylko pomieszczenie. To też stan umysłu. Klasy wypełnione są niewidocznymi granicami. Najwyraźniejsza przebiega tam, gdzie kończy się biurko nauczyciela, a zaczynają ławki uczniów. To bariera pomiędzy nauczającymi a nauczanymi. Ale wiele granic przebiega też pomiędzy samymi uczniami – prymusi i jedynkowicze; ci popularni, pewni siebie i ci z „drugiej ligi", z którymi nikt nie chce siedzieć; mózgowcy i sportowcy; piękności i brzydule... Wszystkie te granice mają realny wpływ na codzienną szkolną rzeczywistość – determinują zachowania, sposób komunikacji, odciskają trwałe piętno na psychice uczniów.

Dzień Pustej Klasy jest okazją do przełamania tych barier. W terenie każdy uczeń i uczennica może wyjść ze swojej ciasnej szufladki, a nauczyciel dostaje wyjątkową szansę spojrzenia na swoich uczniów świeżym okiem. Wykorzystujmy tę okazję! Dajmy dzieciom pole do popisu, niech nas zaskoczą. Komunikujmy się z nimi inaczej niż w szkole – zamiast edukować – po prostu rozmawiajmy. O tym co ich interesuje, co jest aktualne, o czym czytają w Internecie. Zorganizujmy debatę o zmianach klimatu, siedząc w wysokiej trawie, sprawdźmy skład chemiczny kałuży, albo po prostu biegajmy i miejmy tego dnia dobrą zabawę.

Natura ma same zalety: jest otwarta 24 godziny przez 7 dni w tygodniu. Las, łąka czy parkowa polana to najlepiej wyposażone sale lekcyjne jakie możemy sobie wyobrazić. Jest tu wszystko, czego możemy potrzebować do efektywnego nauczania, bez względu na przedmiot. Natura uczy, dotlenia, aktywizuje, pobudza wyobraźnię, wzrusza i zadziwia. Czemu więc tak rzadko korzystamy z tego, co oferuje? Jeśli brakuje nam motywacji, to czerwcowy Dzień Pustej Klasy stwarza nam wspaniały pretekst do przełamania wewnętrznych oporów. Tego dnia zaoferuj uczniom lekcję-przygodę! Zamiast patrzeć na tablicę – niech gapią się w niebo, zamiast czekać na dzwonek – niech nasłuchują ptaków, zamiast zakupów w szkolnym sklepiku – niech szukają owoców na dzikich jabłonkach, zamiast biegać po korytarzu – niech biegają po trawie. Do zorganizowania pełnego emocji Dnia Pustej Klasy nie trzeba mieć szczegółowego scenariusza. Może to być wydarzenie zupełnie spontaniczne, nastawione na dobrą zabawę i wspólne celebrowania letniego dnia wśród natury. Ilu nauczycieli, tyle pomysłów!

Kiedy w stowarzyszeniu „Źródła" po raz pierwszy trafiliśmy na informacje o Dniu Pustej Klasy, pomyśleliśmy: tak, to jest to! Radosne święto, przypominające o tym, jak ważne jest celebrowanie natury i korzystanie z jej mądrości. Niby nic, ot zwykła, choć niecodzienna zachęta do wyjścia z klasy. A jednak poczuliśmy, że ten prosty pomysł na świętowanie w bliskości z przyrodą, może być ważnym krokiem do przełamania schematów i przewietrzenia polskiego systemu edukacji. Jesteśmy przekonani, że wiatr zmian w naszych szkołach wieje znad pobliskiej łąki. Zachęcamy: dajcie mu się ponieść!

→ Wejdź na stronę www.dzienpustejklasy.pl, zgłoś swoją szkołę i skorzystaj z pomysłów na spędzenie Dnia Pustej Klasy.

DZIEŃ
PUSTEJ
KLASY

ZNAJDŹ WŚRÓD DRZEW SWEGO PRZYJACIELA

Znajdź polankę, rzadki lasek lub park z charakterystycznymi, różnorodnymi gatunkowo drzewami. Wyznacz teren zabawy i wyjaśnij na czym będzie polegała. Podziel uczniów na pary. Jeden z uczniów będzie miał zakryte oczy (można mu je zasłonić opaską lub zaufać, że nie będzie podglądać), drugi ma zaprowadzić go do wybranego drzewa. Uczeń z zakrytymi oczami musi za pomocą pozostałych zmysłów dokładnie poznać, a następnie zapamiętać swoje drzewo. Gdy już to zrobi, kolega odprowadza go na miejsce zbiórki i kilka razy okręca wokół własnej osi, by go zmylić. Zadaniem „ociemniałego" ucznia jest odnalezienie swojego drzewa. Następnie następuje zamiana ról.

PO CO NAM PRZYRODA?

MARTA JERMACZEK-SITAK

Kiedy byłam dzieckiem, na przerwach między lekcjami, biegłyśmy z koleżanką do naszej kryjówki w zaroślach. Każda z nas znajdowała sobie dwa kamienie: jeden duży, płaski, drugi mniejszy, okrągły, pasujący do dłoni. Zbierałyśmy liście, łodygi, młode gałązki i tłukłyśmy je na miazgę, aż sok spływał po kamieniu, trwale plamiąc palce i ubrania. Stukałyśmy, formując z utartej trawy kolejne wilgotne placuszki ostro pachnące zielenią, rozcierałyśmy je tak długo, aż całkiem znikały. Każda roślina dawała inny zapach, inny odcień, miała odmienną fakturę. Gadałyśmy przy tym bez przerwy – nie pamiętam już o czym – a kiedy dzwonił dzwonek, ukrywałyśmy kamienie w spróchniałym pniu bzu czarnego i biegłyśmy z powrotem do klasy. Siadałyśmy w ławce, zostawiając czasem na zeszytach zielone odciski palców, aż do kolejnego dzwonka, kiedy wracałyśmy do naszej pracy. Nie wiem po co to robiłyśmy, kucając w ciasnym zakątku pod dachem z liści. Nasza praca nie miała celu ani końca, nikt nas jej nie nauczył, nie pokazał, nikomu też o niej nie mówiłyśmy – a jednak wracałyśmy do niej dzień w dzień przez długi czas, kierowane jakimś dziwnym, wewnętrznym nakazem, aż po prostu nam się znudziło i zajęłyśmy się czymś innym. Dzisiaj w miejscu zarośli stoi ogrodzony plac zabaw z plastikową wykładziną, na którym rzadko widuje się dzieci. Może nasze kamienie leżą gdzieś pod nim, tworząc fundament pod drewniano-plastikowe drabinki i zjeżdżalnie?

Moje dzieciństwo było pełne takich zabaw. Siedmioletnie dziecko wędrowało samo do szkoły, nie wymagało stałego nadzoru i kontroli dorosłych. Budowaliśmy domki na drzewie (albo tylko wyobrażaliśmy je sobie, siedząc wśród konarów poniemieckich jabłoni), schrony z desek i szmat powstawały wśród krzaków porzeczek, kopaliśmy bunkry za szopą, chodziliśmy nad wiejski staw zarośnięty trzciną, pałką i oczeretem, wędrowaliśmy wąskimi miedzami wśród pól, chowając się w zbożu czy przedzierając przez rzepak.

Czytam aktualną podstawę programową z przyrody dla dzieci wczesnoszkolnych, przeglądam podręczniki. Znaczna część zagadnień to kwestie oczywiste dla dziecka spędzającego kilka godzin dziennie na dworze. Pory roku, ich charakterystyczne cechy, zjawiska pogodowe, przystosowania zwierząt i roślin do pór roku, gatunki występujące w otoczeniu i zależności między nimi, podstawy hodowli roślin... Wszystko to są rzeczy, których uczyliśmy się właściwie sami, tylko przez kontakt z przyrodą i z ludźmi. Uczyliśmy się o śniegu, o kasztanach i opadających liściach, o kiełkującym i kłoszącym się zbożu, o ptakach i ich gniazdach, o tym, że szerszenie mogą siedzieć w dziupli starej jabłoni i lepiej ich nie drażnić, kiedy zbiera się zboże, kiedy siano, a kiedy ziemniaki, kiedy sadzi się pomidory, a kiedy sieje rzodkiewkę, przy jakiej temperaturze bezpiecznie jest wchodzić na zamarznięty staw, a przy jakiej można wreszcie zmienić buty na sandały. Nie musieliśmy siedzieć w ławkach, żeby się tego dowiedzieć. Mieliśmy przewodników: w moim przypadku byli to przede wszystkim rodzice – przyrodnicy, którzy przekazali mi ogromną porcję przyrodniczej wiedzy. Jednak dużo więcej mogliśmy nauczyć się od samej natury – przez doświadczanie, bliskość, spotkania.

Dziś coraz mniej dzieci ma taką możliwość. Richard Louv w książce Ostatnie dziecko lasu pisze o „syndromie Baby Jagi", czyli silnym, niekiedy irracjonalnym lęku przed spuszczeniem dzieci z oka choćby na chwilę, podsycanym przez środki masowego przekazu. Oprócz ruchu ulicznego czy niebezpiecznych ludzi, „Babą Jagą" jest też sama natura. Badania przytaczane przez Carla Honore w książce Pod presją. Dajmy dzieciom święty spokój pokazują, że w ciągu ostatnich 40–50 lat dystans, na jaki dzieci w Wielkiej Brytanii mogą same oddalać się od domu, zmniejszył się o 90 procent. „Strach to największa siła (...) jaka oddziela dziecko od wszystkich niezbędnych do prawidłowego rozwoju dobrodziejstw kontaktu z naturą", pisze Richard Louv. „Dzieci i dorośli zaczynają widzieć przyrodę jako swojego naturalnego wroga – Babę Jagę zastępującą inne, trudniejsze do zidentyfikowania powody do strachu". W takiej sytuacji nic dziwnego, że jedynym źródłem wiedzy o tym, kiedy kwitną jabłonie i gdzie mieszka dzięcioł, może być kolorowy podręcznik wydany na kredowym papierze, przerabiany w czterech ścianach dusznej klasy.

W 2014 roku przeprowadziłam ankietę wśród rodziców dzieci w wieku szkolnym, pytając ich o sposób spędzania czasu przez dzieci, a także stosunek rodziców do różnych dzikich zwierząt pod kątem potencjalnych zagrożeń. Okazało się, że rodzice ogólnie deklarujący istotną rolę przyrody w rozwoju dziecka, odbierają jako niebezpieczne nawet zupełnie niewielkie i płochliwe zwierzęta. Blisko 20 procent rodziców nie pojechałoby z dzieckiem na wakacje w miejsce, gdzie występują szczury i dziki – zwierzęta pospolite w każdym mieście i na wielu przedmieściach. Około 10 procent rodziców nie pojechałaby na wakacje nawet w miejsce, gdzie można spotkać zaskrońca, łosia, jelenia czy borsuka. Większy odsetek (20–30 procent) nie pozwoliłby dzieciom bawić się samodzielnie w miejscach, gdzie występują te zwierzęta. Oczywiście największy strach budzą gatunki takie jak wilk czy dzik (17 procent nie pojechałoby na wakacje w miejsce, gdzie można je

spotkać, ponad 50 procent nie pozwoliłoby dziecku bawić się samodzielnie w takich miejscach). Bezkonkurencyjna na tym polu okazuje się żmija (odpowiednio 28 i 70 procent rodziców ma z nią spory problem). Inne pytanie w ankiecie dotyczyło ekosystemów odpowiednich do przebywania dla dzieci w wieku szkolnym oraz częstości odwiedzania takich miejsc przez dzieci – nawet pod opieką rodziców. Kilkanaście procent uczniów nigdy nie było w dolinie rzeki czy w zaroślach, a nawet na polach uprawnych, 30 procent nigdy nie widziało podmokłego lasu łęgowego, prawie 50 procent nigdy nie było w szuwarach i na torfowisku. Aż 50 procent rodziców uważa zarośla za miejsce nieodpowiednie dla dziecięcych zabaw. Podobne wnioski płyną z innej ankiety, której celem było zbadanie podstawowych skojarzeń z dzikością. Ankietowani mogli zadeklarować pozytywne lub negatywne skojarzenia dotyczące tego pojęcia oraz stwierdzić czy ochrona dzikości jest dla nich ważna. Zadano również pytanie o miejsce dzikości we współczesnym świecie oraz o przestrzeń, jaką możemy dla niej pozostawić. Wyniki wskazują, że na poziomie skojarzeń i deklaracji dzikość jest dla respondentów elementem pozytywnym. Zdecydowana większość określiła swoje skojarzenia ze słowami takimi jak dzikość, pierwotność czy naturalność jako pozytywne; podobnie kojarzy się puszcza, głusza czy matecznik, a także rezerwat przyrody czy obszar chroniony. Jednak zupełnie inny obraz wyłania się z kolejnych pytań, dotyczących odległości od miejsca zamieszkania, w jakiej ankietowani tolerowaliby różne gatunki dzikich zwierząt. Okazało się, że nawet ssaki roślinożerne, takie jak bobry, łosie, dziki i żubry, tolerowane byłyby średnio kilkanaście kilometrów od domu. Większą odległość, około 30–40 kilometrów, uznano za bezpieczną dla dużych drapieżników, takich jak wilki, rysie i niedźwiedzie (dla których zresztą odległość ta nie jest zbyt wielką przeszkodą). Rekordzistką okazała się… żmija, dla której średnia tolerowana odległość od miejsca zamieszkania wyniosła ponad 50 kilometrów! Wydaje się, że współczesny człowiek cierpi na coś w rodzaju przyrodniczej schizofrenii. Tęskni za dzikością, ale jednocześnie się jej boi, pragnie jej i chce ją zachować, ale nie za blisko, w bezpiecznej – jak mu się wydaje – odległości, choć mimo wszystko bliżej niż uciążliwe zakłady przemysłowe. Kontakt z dzikością w erze Internetu przypomina relacje na Facebooku – gromadzenie „znajomych" i wirtualną wymianę myśli, która rzadko prowadzi do pogłębionych relacji, a często odbywa się kosztem realnych znajomości. Wszelkie akcje internetowe w obronie dzikiej przyrody cieszą się dużą popularnością, problem pojawia się, gdy dzikość podchodzi bezpośrednio pod nasze bezpieczne drzwi – wtedy okazuje się, że to, co dzikie, pierwotne i naturalne, tak naprawdę jest obce i potencjalnie groźne.

Mówi się, że oddalamy się od przyrody, ale przecież oddalenie i utrata kontaktu z nią są zarówno dla gatunku ludzkiego, jak i dla pozostałych gatunków, zupełnie niemożliwe. Wciąż żyjemy w całkowitym uzależnieniu od naszej planety – mimo jej degradacji, przekształcenia, mimo prób odgrodzenia się od dzikości betonowymi murami i elektronicznymi ekranami. Wystarczy niewielkie zaburzenie w obiegu wody czy węgla, spadek populacji paru kluczowych gatunków (choćby pszczół), a zaczynamy mieć naprawdę poważne kłopoty – zresztą już je mamy i nie wiadomo, czy uda się rozwiązać globalne problemy związane z suszą i ociepleniem. Większość światowych upraw wymaga gleby, która – mimo eksploatacji i zniszczenia – jest żywym ekosystemem. Nie ma innego sposobu zapewniania stałego udziału tlenu w atmosferze niż globalna, wielkoskalowa fotosynteza, oddychamy wyłącznie dzięki lasom i żyjącym oceanom. A przecież nawet stosunkowo niewielka zmiana składu chemicznego powietrza oznacza całkowity koniec naszego świata. Tak naprawdę nie tracimy kontaktu z przyrodą, nie żyjemy w oddaleniu od niej. Tym, co tracimy, jest świadomość tego faktu, niedostrzeganie powiązań, nagłe zamknięcie oczu na to, co do pewnego momentu było oczywiste. Wydaje się, że ostatnie stulecie przyniosło ogromny rozwój edukacji i wiedzy naukowej, rozwinęła się ekologia, poznaliśmy i wciąż poznajemy kluczowe mechanizmy funkcjonowania planety, zależności między organizmami i środowiskiem, najważniejsze procesy zachodzące na Ziemi. Nigdy wcześniej wiedza ta nie była tak powszechnie dostępna – przynajmniej w naszej części świata. Edukacja ekologiczna zaczyna się już w przedszkolu, choć tylko niewielka jej część poświęcona jest funkcjonowaniu przyrody – zarówno tej dzikiej, jak i „udomowionej", choćby pochodzeniu i mechanizmom powstawania żywności.

A jednak informacje te rzadko łączą się w całość, jeśli są tylko teorią bez powiązań z prawdziwym światem.

Richard Louv przytacza badania Nancy Wells i Kristi Lekies z roku 2006, z których wynika, że „troska dorosłych o środowisko oraz towarzyszące jej zaangażowanie jest bezpośrednio związane z udziałem w takich „zajęciach na łonie przyrody" jak samodzielne wyprawy do lasu, chodzenie po górach, łowienie ryb i polowanie, doświadczone w dzieciństwie, a konkretnie przed 11 rokiem życia". Jest to wiek, w którym w dzisiejszych czasach coraz rzadziej wypuszcza się dzieci same do sklepu, nie mówiąc o pozwoleniu na samotne

wędrówki po górach czy nad rzekę. Kontakt z przyrodą w dzieciństwie nie gwarantuje oczywiście wysokiej świadomości ekologicznej, działań na rzecz przyrody czy podejmowania proekologicznych decyzji w przyszłości. Owszem, można mieć nadzieję, że dziecko, które zobaczy z bliska dzięcioła czy lilię złotogłów, kiedy w przyszłości będzie podejmowało decyzję o budowie autostrady przez fragment naturalnego lasu, przypomni sobie o tym i wybierze inne rozwiązanie. Zwykle jednak tak się nie dzieje, pokolenia, które dorastały w kontakcie z naturą, przyczyniły się do dzisiejszego zdewastowania planety. Nad przyrodniczymi wspomnieniami, emocjonalnymi i dziecinnymi, górują dorosłe, racjonalne przekonania o konieczności rozwoju i postępu, kosztach, dochodach i interesach, wpojone przez lata. Bieganie dziecka po lesie nie oznacza, że dorosły będzie miłośnikiem przyrody czy ekologicznym aktywistą, jednak wydaje się ono niezbędne, aby tak się mogło stać. Podobnie teoretyczna wiedza ekologiczna, zwłaszcza ta przekazywana w typowo szkolny sposób z podręcznika, w oderwaniu od pozostałych dziedzin, jako nudny fragment programu biologii, nie przekłada się zupełnie na praktykę. Niemniej, jest ona niezbędna do zrozumienia pewnych procesów, szczególnie w skali ponadlokalnej. Nie w każdym człowieku obudzi się przyrodnicza dusza, jednak niektórzy się z nią rodzą, a do jej rozwoju potrzeba przestrzeni pól i łąk, leśnego powietrza, czystego nurtu potoku, dymu z ogniska, blasku księżyca, porannego śpiewu ptaków... i wiedzy, choć nie musi ona pochodzić z podręcznika. Bliski, osobisty kontakt z dzikością i mistrz, który wspiera odkrywanie jej sekretów to przepis na leśnego człowieka, który nie musi zajmować się zawodowo przyrodą, ale zna jej wartość – materialną i ponadmaterialną – i będzie ją brał pod uwagę.

Nie musimy ratować planety. Planeta sobie poradzi, tak jak radziła sobie już wiele razy z kataklizmami gorszymi niż nasz gatunek. Życie na Ziemi jest tak różnorodne, że w takiej czy innej formie powinno przetrwać jeszcze miliony lat albo dłużej. Problem w tym, że to właśnie my, ludzie, jesteśmy uzależnieni od świata takiego, jaki znamy, w jakim wyewoluowaliśmy, na jakim opieramy nasze chwiejne gospodarki. Chociaż gatunek ludzki należy do bardziej elastycznych na planecie (przynajmniej wśród kręgowców) i zapewne może przetrwać wiele zmian, to z pewnością nie przetrwają ich gadżety zachodniej cywilizacji, czyli elektryczność i motoryzacja, które tak kochamy. Uzależniając się od energochłonnych systemów, skrajnie zmniejszamy naszą odporność na zaburzenia. Nie bez znaczenie pewnie jest też nasza liczebność i zagęszczenie. Planeta przeżyje, biosfera przetrwa w takiej czy innej formie, jednak troska o zachowanie świata, w jakim się narodziliśmy, to przede wszystkim nasz własny interes. Troska o przyrodę jest troską o ludzkość.

Obserwuję dzieci w maleńkiej, kilkuosobowej szkole pod Zieloną Górą, mającej wiele cech szkoły leśnej. Dzieci przez większość czasu przebywają na dworze, nie mają lekcji, dzwonków ani ocen, mogą zdobywać wiedzę w wybrany przez siebie sposób. Co ważne – mają do dyspozycji dużą działkę ze starym, zarośniętym sadem, w sąsiedztwie lasu, łąk, pastwisk i bagien. Spędzam tam jeden dzień w tygodniu. Palimy ognisko, ucząc się technik przetrwania: rozpalania mokrego drewna, budowy polowej kuchni... Chodzimy na grzyby, poznając jadalne i niejadalne. Dzieci łażą po drzewach, wpadają po kolana w bagno, znajdują glinę, wykopują ją i lepią miseczki, próbują wypalać je w ogniu, budują bazę z gałęzi, desek i kawałków wykładziny, biorą do ręki padalca, ratują żabę z beczki na deszczówkę... Nikt ich do tego nie zmusza, mogą też siedzieć pod dachem i rozwiązywać zadania z matematyki (co zresztą też czasem robią, z własnej woli, choć matematyki uczą się też na inne sposoby). Obserwuję jak kontakt z naturą pozwala im na zaspokajanie ciekawości, jak rozwijają się w nich odkrywcy, poznający świat mimochodem, przy okazji biegania po lesie czy budowania kryjówki w zaroślach. To samo widzę u mojego pięcioletniego syna, nawet jeśli w tym momencie jego największą pasją są koparki i spychacze. Pytam go, po co jest przyroda. „Żeby kozy miały trawę do jedzenia, a ptaki ziarno i owady" – odpowiada. „Żeby wszystkie stwory miały gdzie mieszkać i żyć. Te bagienne stwory też. I żebym też ja miał miejsce na różne rzeczy". Pytam jeszcze, po co poznawać przyrodę, po co się o niej uczyć. Patrzy na mnie zdziwiony. „Żeby wiedzieć" – mówi.

Jeden z chłopców znalazł złamaną, ale nadal rosnącą, dąbrówkę rozłogową i stwierdził, że jest taka jak on, ponieważ oboje są po ciężkich chorobach i dlatego chciałby jej pomóc. Zaproponowałem, aby wziął ode mnie butelkę i podlał roślinę, co bardzo go ucieszyło.

Kamil Czepiel

NIETOPERZ I ĆMA

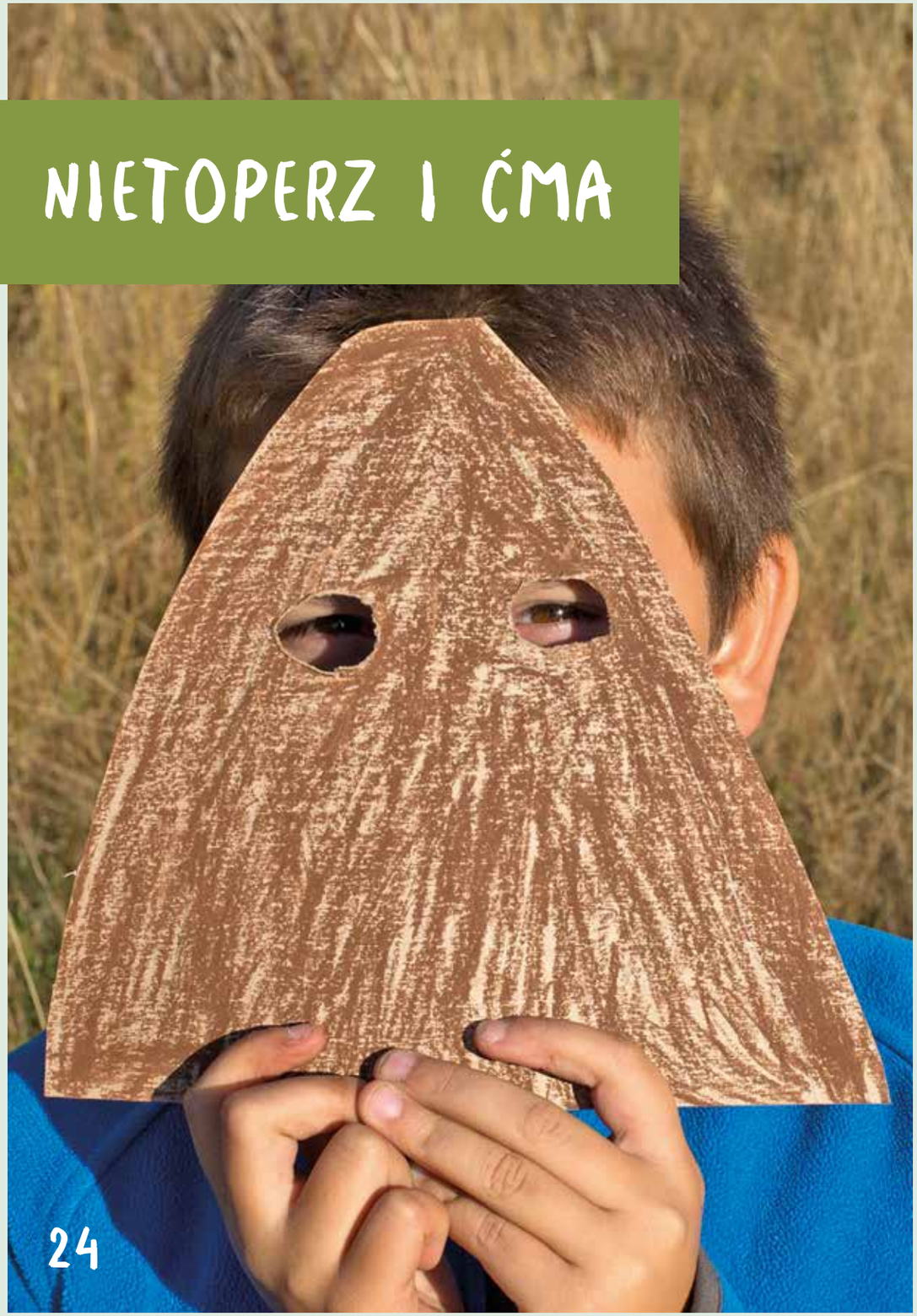

Gra pokazuje, w jaki sposób nietoperze wykorzystują fale dźwiękowe do polowania. Zanim zaczniemy zabawę trzeba przybliżyć uczestnikom sposób polowania nietoperzy. Zwierzęta te wykorzystują do chwytania ofiar (owadów) echolokację, emitują wysokie dźwięki, które odbijają się od owada i wracają do nietoperza, wskazując mu miejsce, gdzie znajduje się ofiara. Nietoperze wykształciły taki sposób zdobywania pokarmu, ponieważ są zwierzętami aktywnymi w nocy a ich słaby wzrok nie pozwala wypatrzeć owadów. Mają za to doskonały słuch, dzięki któremu mogą polować.

Prosimy uczestników zabawy, aby stanęli w kole i chwycili się za ręce. Dwie osoby wchodzą do środka koła, jedna z nich będzie nietoperzem, druga ćmą, na którą nietoperz poluje. Nietoperz ma zasłonięte oczy, nie widzi więc swojej ofiary, może ją za to usłyszeć. Kiedy osoba będąca nietoperzem krzyknie: „nietoperz!”, osoba będąca ćmą musi odkrzyknąć: „ćma!”. Im częściej nietoperz wywołuje swoją ofiarę, tym łatwiej będzie mu ją chwycić, gdy mu się to uda, gracze mogą zamienić się rolami.

ŁĄKI NIE TRZEBA WIETRZYĆ

z Karoliną Baranowską, Anną Chomczyńską, Kamilem Czepielem, Katarzyną Kępską i Agnieszką Mazur

rozmawia Marta Karbowiak

Nie da się myśleć o ochronie przyrody w oderwaniu od bycia w przyrodzie. Nie zrobi się tego inaczej, jak tylko zabierając dzieci w teren i pozwalając im nawiązać z przyrodą osobistą więź. Tylko wtedy zaczną ją cenić i chronić. Rozmowa z edukatorami ekologicznymi: Karoliną Baranowską, Anną Chomczyńską, Kamilem Czepielem, Katarzyną Kępską, Agnieszką Mazur – trenerami Ośrodka Działań Ekologicznych „Źródła", prowadzącymi warsztaty przyrodnicze w szkołach i w terenie. Uczestnikami ich zajęć są głównie dzieci i młodzież. Od kilku lat dzielą się swoją wiedzą także z nauczycielami, których motywują do wychodzenia w teren i prowadzenia edukacji na świeżym powietrzu, w bliskości z naturą. Z edukatorami rozmawia Marta Karbowiak.

Marta Karbowiak: Moje pierwsze skojarzenie z hasłem „edukacja terenowa" jest takie, że to bardzo szeroki temat. Trzeba znać się na wszystkim po trochu: na przyrodzie, geografii, klimacie, gatunkach roślin i zwierząt, znakach na niebie, zwiastujących zmianę pogody... Mało kto czuje się takim omnibusem. Czy to, że nie wszystko na te tematy wiemy, nie zagraża autorytetowi nauczyciela?

Karolina Baranowska: Moim zdaniem to, że czegoś nie wiemy i przyznamy się do tego przed dziećmi, nie dyskwalifikuje nas w ich oczach, wręcz przeciwnie – to buduje porozumienie pomiędzy uczniem, a osobą nauczającą, bo przyznając się do tego, że czegoś nie wiemy, pokazujemy, że człowiek uczy się przez całe życie. To jest bardzo cenna lekcja dla dziecka.

Na początku mojej przygody z edukacją terenową też bałam się, że powinnam wszystko wiedzieć. Kiedy miałam zaplanowane zajęcia w terenie, chodziłam wcześniej w to miejsce, żeby wszystko sprawdzić, dowiedzieć się, jak nazywa się każdy kwiatek i każdy listek po drodze. Oczywiście i tak wszystko szybko zapominałam, bo nie sposób nauczyć się na pamięć nazw wszystkich roślin, które rosną w parku. A później, kiedy zdobyłam trochę praktyki, okazało się, że wszystkie te obawy były nieuzasadnione, bo nawet jeśli czegoś nie wiem, to dowiadujemy się tego wspólnie z dziećmi i one czerpią z takiej nauki więcej niż gdybym im to wcześniej podała na tacy.

Agnieszka Mazur: Miałam podobne obawy i też okazały się nieuzasadnione. Oczywiście doczytywałam na konkretne zajęcia informacje, których potrzebowałam, ale w lesie jest tak dużo niespodzianek, że nie jesteśmy w stanie przygotować się na wszystko. Najczęściej mam ze sobą przewodniki, więc jak czegoś nie wiem, to mówię do dzieci: „Słuchajcie, sprawdźmy razem". Angażuję uczniów, żeby tę wiedzę zdobywali samodzielnie. I to działa.

Kamil Czepiel: Dzieci dobrze przyjmują, kiedy im się powie, że czegoś się nie wie. Nigdy w takiej sytuacji nie zdarzyło mi się, żeby dziecko krzywo na mnie spojrzało, albo powiedziało z przekąsem „Ale pan jest specjalistą..." w taki sposób, żebym odczuł, że przestałem być autorytetem. Dzieci przyjmują to naturalnie, bez oceniania. Nazw gatunków często nie trzeba podawać im wcale, to nie jest dla nich interesujące. Za to warto pokazać jak coś wygląda, jak się zachowuje...

K.B.: ...może ma jakiś ciekawy zapach, może jakąś ciekawą właściwość, na przykład przyczepia się do ubrania. I to dzieci zapamiętują, to jest dla nich ciekawe. Najważniejsze to pokazywać dzieciom, że świat przyrody jest ciekawy – niekoniecznie przez sypanie nazwami, tylko po prostu przez pokazywanie im tego wszystkiego, co w przyrodzie fascynujące.

Anka Chomczyńska: Chodzi o to, żeby dzieci zaciekawić, żeby chciały zobaczyć, dotknąć, poczuć, powąchać.

K.Cz.: Dzieci najbardziej otwierają się na przyrodę, kiedy mają poczucie, że nie muszą wszystkiego wiedzieć. Po prostu się bawimy, szukamy. Nauczyciele, z którymi rozmawiałem, też obawiali się, że nie będą potrafili czegoś nazwać, że właściwie nie wiedzą nic takiego, co mogliby przekazać dzieciom. A później mówili, że kiedy już wyszli z nimi w teren, to jednak okazywało się, że mają im bardzo wiele do powiedzenia, że potrafią wykorzystać w terenie wiedzę ze swoich dziedzin, nawet jeśli nie uczą przyrody, tylko na przykład języka polskiego.

Kasia Kępska: Przychodzą mi do głowy takie dwie sceny. Idzie nauczyciel, koło niego grupka dzieci i nauczyciel rzuca hasłami: „Widzicie, tu jest niepylak mnemozyna, a tam jest glistnik jaskółcze ziele". I wyobrażam sobie, jak dzieci coraz bardziej odchodzą od tego nauczyciela i zaczynają się zajmować swoimi sprawami. A idzie drugi nauczyciel, który gdzieś coś zobaczył i wykrzykuje: „Wow, patrzcie jakie to jest śliskie, jakie to ma mięciutkie liście, a jakie to jest delikatne!". I w tym momencie wszystkie dzieci są już przy tym nauczycielu i nie odstępują go na krok. Myślę, że taka postawa jest dużo ważniejsza niż nasza wiedza. W ogóle w zawodzie nauczyciela nie jest ważne, ile on wie, tylko czy ma – nazwijmy to – postawę badawczą. Czy

potrafi wzbudzić w dzieciach zaciekawienie, ale przede wszystkim czy sam ma w sobie ciekawość. Jeśli ją ma, to wszystkiego co potrzebne, nauczy się w praktyce.

Jak w takim razie widzicie rolę nauczyciela w procesie edukacji terenowej? Jeśli nie musi być autorytetem, to kim?

A.M.: Większość nauczycieli, których miałam okazję obserwować podczas zajęć w terenie, wchodziła w rolę partnerów uczniów a wychodziła z roli dydaktyków i mentorów. To świetnie wpływało na grupę i proces integracji dzieci z wychowawcą. Uczniowie mieli okazję poznać swojego nauczyciela z innej strony. Ten nauczyciel, który na co dzień ich ocenia i wykłada im wiedzę, tu wspólnie z nimi bawi się i śmieje. To było bardzo budujące.

A.Ch.: Bo poznawali człowieka, a nie nauczyciela. I to było dla nich coś zupełnie nowego.

K.B.: Rolą nauczyciela, który jest z dziećmi w terenie, jest to, żeby pomóc dzieciom uruchomić ukrytą w ich głowach wiedzę.

A.Ch.: O tak! Jestem zafascynowana tym, ile dzieci mają, jak ja to nazywam, „nieuświadomionej wiedzy". Najczęściej wystarczy im zadać kilka pytań pomocniczych i okazuje się, że nie trzeba niczego wykładać, ani tłumaczyć, bo one same potrafią do bardzo wielu rzeczy dojść. Czasami potrzebują na to trochę czasu, ale jeśli zada im się pytania w odpowiedni sposób, naprowadzi na jakiś ciąg przyczynowo-skutkowy, to odnajdują tę wiedzę w sobie.

Wyobraźmy sobie nauczyciela, który podąża za waszymi radami. Wychodzi z dziećmi w teren i bardzo chce uruchomić u swoich uczniów te utajone zasoby wiedzy i wrażliwości. Tymczasem tuż za progiem szkoły dzieci dostają tak zwanego „małpiego rozumu" – uruchamia się wulkan skumulowanej, dziecięcej energii. W takich warunkach trudno przekazywać wiedzę.

K.Cz.: Cóż, ja sam jak wychodzę w teren, to dostaję tego „małpiego rozumu". To przez wielką liczbę bodźców. W terenie wszystko jest potencjalnie interesujące i zazwyczaj faktycznie takie się okazuje. Na dzieci działa to tak samo. Na początku po prostu rzucają się w wir zabawy. Żeby zacząć właściwe zajęcia, trzeba więc i sobie, i im dać sporo czasu. Jeśli idziemy w teren na godzinę czy dwie, to trudno jest sobie poradzić z tym nadmiarem nagle uwolnionej energii. Ale jeśli mamy kilka godzin lub kilka dni, to wystarczy dać dzieciom czas, żeby pobyły z tym wszystkim, co nagle się w nich pojawiło, pozwolić im dotknąć, posłuchać... I wtedy otworzą się na to, co chcemy im przekazać.

A.Ch.: Miałam klasy, w których prowadziłam cykl zajęć i całe pierwsze, kilkugodzinne spotkanie poświęcałam na szaleństwo, bieganie i gry zespołowe. Nie było możliwości zrobienia czegokolwiek innego. Dzieci musiały przejść przez etap wyszalenia się. Ale następne zajęcia wyglądały zupełnie inaczej. Kiedy już nasycili się tym szaleństwem i nagłą wolnością, to później sami otwierali się na coś nowego i pytali: „A może dzisiaj zrobimy coś innego?".

K.B.: Dzieci są zamknięte w klasach, zamknięte w domach, mało wychodzą na podwórko, więc naturalne jest, że kiedy zyskują możliwość wyszalenia się i spuszczenia z siebie tej energii, to będą to robić. Nie ma wtedy sensu zmuszać ich do udziału w zajęciach. To jest naturalny proces, nie warto sztucznie go przerywać ani na siłę formować inaczej.

A.Ch.: Takim formowaniem moglibyśmy je znowu zniechęcić. Kiedy kipią energią, chcą robić coś innego, a my niejako znowu je sadzamy w ławce i mówimy: „Nie, teraz będziesz słuchał o roślinkach, albo teraz będziesz oglądał tego owada", a one po prostu chcą biec, to może to w dzieciach wzbudzić frustrację. I kolejny raz nie będą już chciały z nami wyjść w teren, bo nie dostały tego, czego potrzebowały, nie zostały zaspokojone ich potrzeby. Budzi się też przekora – nawet jeśli to, co mamy do przekazania jest bardzo ciekawe, ale ktoś czuje się zmuszony do słuchania, to nie będzie chciał tego przyjąć. A kiedy potrzeby dzieci są zaspokojone, wtedy otwierają się na inne doświadczenia.

Kasia Kępska: Dlatego warto wychodzić z dziećmi jak najczęściej i spędzać w terenie jak najwięcej czasu. Warto też planować zajęcia w cyklach. Dzieci obserwują wtedy cały ciąg przemian, na przykład zgodny z upływem pór roku, same są świadkami zmian jakie zachodzą w przyrodzie i jest to jeszcze bardziej wartościowe.

K.Cz.: Patrząc na sprawę dość pragmatycznie: zbyt długie siedzenie w klasie powoduje, że dzieci robią się senne, zmęczone, a w takich warunkach trudno zainteresować je czymkolwiek. Wyjście na dwór oznacza dotlenienie i zastrzyk energii. Łąki, w przeciwieństwie do klasy, nie trzeba wietrzyć.

Łatwo powiedzieć: trzeba wychodzić częściej. Tymczasem nauczyciele pracują pod dużą presją. Muszą zrealizować podstawę

programową, a liczba godzin lekcyjnych, które mają do dyspozycji jest wyliczona „na styk". Każda godzina w terenie burzy tę karkołomną konstrukcję.

K.B.: Faktycznie, nauczyciele często boją się, że przez zajęcia terenowe wypadną z rytmu narzucanego przez podstawę programową. Ale tak naprawdę w terenie można zrealizować każdy temat, dowolnie dopasować zajęcia do każdego zagadnienia z dowolnego przedmiotu. To tylko kwestia zastanowienia się: aha, teraz w podstawie programowej mam to i to, więc mogę opowiedzieć o tym w lesie na przykładzie jakiejś rośliny czy zjawiska. Młodsze dzieci mogą na przykład dodawać żołędzie na trawie zamiast cyferek w zeszytach. Można to wszystko pięknie połączyć. Ale nauczyciele bywają tak przytłoczeni tymi podstawami, planami, siatkami godzin, że czasami zamyka im się w głowie jakaś klapka i stają się więźniami szkolnej rutyny. Warto się w takim momencie zatrzymać, dać sobie chwilę na refleksję. Wtedy łatwiej będzie dostrzec, że naprawdę każdy temat można zrealizować w przyrodzie. Jest wielu nauczycieli, którzy to z sukcesem robią.

K.Cz.: Często, kiedy prowadzę zajęcia, niechcący opowiadam o czymś, co – jak się później okazuje – jest w podstawie. Wtedy nauczycielka czy nauczyciel zawsze mówi: „Słuchajcie, bo to będzie w tej i tej klasie, zapamiętajcie!". Świadczy to o tym, że podczas zajęć terenowych realizuje się tę podstawę, nawet jeżeli tego nie planujemy. A jeżeli się to zaplanuje, można zrobić naprawdę wiele.

K.B.: Problematyczne bywa też to, że nauczyciele jednego przedmiotu niechętnie oddają swoje godziny lekcyjne nauczycielom innego przedmiotu, zwłaszcza na wyjścia w teren, bo później jest im trudno nadgonić z materiałem. Wiem, że to jest idealistyczne, ale warto edukować całe grono pedagogiczne, przekonywać, że te wyjścia są cenne dla wszystkich i trzeba się tak dogadać, żeby można to było zrobić. Bo właściwie dlaczego nauczyciel muzyki nie może wyjść z dziećmi do lasu, posłuchać śpiewu ptaków, skonstruować instrumenty z tego, co tam znajdą? Tak jak mówiłam wcześniej, każdą lekcję można poprowadzić w terenie, więc warto mówić o tym też innym nauczycielom, nie tylko tym od przyrody.

A.M.: Nauczyciele są też często związani tym, czego wymagają rodzice, którzy chcą widzieć efekty i wymierne konkrety, na przykład – ile stron w ćwiczeniach jest zapisanych. A kiedy słyszą, że dzieci były w lesie, to pytają: „Ale co w tym lesie właściwie robiliście? Pewnie tylko biegaliście i nic się ciekawego nie działo".

K.K.: Nie zgodzę się z Tobą. Dzieci teraz bardzo dużo czasu spędzają w szkole, zwłaszcza te młodsze, które do późna siedzą w świetlicach. I wielu rodziców byłoby przeszczęśliwych, gdyby opiekunowie wzięli je raz na jakiś czas na zewnątrz, na świeże powietrze. Myślę, że rodzice bardzo doceniają nauczycieli, którzy to robią. Oczywiście nie wszyscy, są i tacy, którzy uważają, że nauka to tylko klasa. Ale znaczna część rodziców bardzo sobie ceni nauczycieli, którzy dużo robią, organizują ciekawe wyjścia, są aktywni – wtedy zyskują plusa u rodziców.

A.M.: Ale później przychodzi moment rozliczeń i jeśli dziecko ma z czymś problem, z jakiegoś przedmiotu dostaje gorszą ocenę, to rodzice często obciążą odpowiedzialnością nauczyciela. Bo może za dużo wychodził z ich dzieckiem do lasu, a za mało czasu spędzał nad podręcznikami. Rodzice niby chcą, żeby dzieci wychodziły poza szkołę, ale z drugiej strony wielokrotnie mi się zdarzyło – czym byłam przerażona – że dzieci płakały, bo się wywróciły, pobrudziły i rodzice będą źli.

K.K.: Bo rodziców też trzeba przygotować.

W jaki sposób?

K.K.: Dobrze ich poinformować. Wychodzimy, będziemy robić to i to, potrzebujemy taki i taki ubiór. Zadaniem szkoły jest także edukowanie rodziców. Warto więc podkreślać na zebraniach wartość takich wyjść, przekonywać rodziców, że edukacja terenowa przyniesie dużo więcej korzyści niż siedzenie w klasie. Trzeba oswajać z pomysłem edukacji w przyrodzie, nawet tych rodziców, którzy są trochę przewrażliwieni. Przekonywać, że ich dzieciom to dobrze zrobi.

K.Cz.: Jeżeli nauczyciele czują presję, że powinni się rozliczyć przed rodzicami z tego, czego dziecko nauczyło się na zajęciach w terenie, to niech zaproszą ich do udziału w takich zajęciach. Rodzice, uczestnicząc w tym procesie, mają szansę na refleksję: „OK, moje dziecko może nie dostanie kolejnej piątki, ale to co tu robi i przeżywa ma jakieś znaczenie, jest dla niego dobre". Z doświadczenia wiem, że takie wspólne zajęcia wychodzą super. Będzie to też pomocne dla nauczyciela, uspokoi go, da mu szansę pokazania rodzicom, że to co robi, to nie jest szarlataństwo.

K.K.: Pewnie ci rodzice, będąc jeszcze dziećmi, sami sporo czasu spędzali na dworze – czasem się pobrudzili, czasem mieli oberwane spodnie. Ale wtedy to był standard. A w tej chwili nastały czasy dzieci absolutnie sterylnych i bezpiecznych. Jest silna presja społeczna na to, by dziecko wyglądało

ładnie i było idealnie czyste. To bardzo smutne. Naszym zadaniem jest więc przekonywać, że ten bezpośredni kontakt z naturą, ten „brud" to jest coś pozytywnego; że to nie podlega ocenie i jest właściwe dla pewnego etapu w rozwoju każdego dziecka. Jeśli rodzice zobaczą, że inne dzieci w grupie też bawią się w kałuży z błotem i też są brudne, to pomyślą sobie: „OK, nie tylko moje dziecko wygląda jak kocmołuch". To tak działa, tylko wymaga zmiany mentalnej. Niestety, od jakiegoś czasu, rodziców którzy wypuszczają dziecko na podwórko, uważa się za nieodpowiedzialnych. Jest silna presja: rodzic musi strasznie chuchać na dziecko i jeśli tylko nie patrzy na nie non stop, to już jest złym rodzicem. Teraz panuje obsesja bezpieczeństwa.

Czy obserwujecie podczas zajęć, że ten strach rodziców przenosi się na dzieci?

K.B.: Tak, dzieci się boją. Oczywiście nie wszystkie, bywają i takie, które są przyzwyczajone do kontaktu z przyrodą, ale u wielu dzieci wyjście w teren budzi strach. Obsesje rodziców przenoszą się na nie. Niektóre boją się usiąść na trawie, dotknąć jakiejś rośliny, bo może jest trująca i trucizna zostanie im na palcach, a zanim wyjdą do lasu, wypsikują na siebie pół butelki środka na komary i kleszcze – bo kleszczy boją się chyba najbardziej. Tak – dzieci mają bardzo dużo fobii. Ale trzeba ten strach przełamywać.

Jak można to robić?

K.B.: Przez stały kontakt z naturą i pokazywanie im, że to nie jest nic strasznego, że przyroda jest ciekawa, nie zrobi nam krzywdy, a przynajmniej – nie celowo. I że nie ma się czego bać. A to można osiągnąć tylko przez kontakt z nią.

K.K.: Ale należy też uważać, żeby nie przesadzić w drugą stronę, bo przed naturą trzeba czuć respekt.

K.Cz.: Często strach jest bezpodstawny. Dlatego wiedza i poznawanie są takie ważne. Jeśli powiemy dzieciom, żeby nie wymachiwały rękami i nie krzyczały, kiedy zobaczą osy, bo wtedy osy czują się zagrożone i faktycznie mogą użądlić, to po krótkim czasie dzieci same zaczynają sobie to powtarzać. I kiedy widzą, że koleżanka czy kolega reaguje panicznie, to mówią mu: „Spokojnie, ona szuka pożywienia przed zimą, dlatego jest taka aktywna, nie wymachuj rękami, bo osa się wtedy boi i może zaatakować". Jeśli dzieci mają wiedzę, patrzą na zagrożenia bardziej realnie, potrafią ocenić co faktycznie im zagraża.

Czy macie jakiś sprawdzony sposób na udane zajęcia?

K.Cz.: Najważniejsza jest uważność, obserwacja dzieci i dawanie im tego, za czym rzeczywiście chcą podążać.

A.Ch.: Warto dzieci po prostu pytać. One bardzo dobrze na to reagują. Może nie od razu, nie na pierwszych zajęciach, ale jak się już trochę poznamy z grupą i któryś już raz idziemy wspólnie w teren, to można spytać: „A co byście chcieli zrobić następnym razem, o czym chcielibyście porozmawiać?". Kiedy dzieciaki czują moc sprawczą, świetnie to na nie działa. I jeśli faktycznie przygotuje się zajęcia zgodnie z ich prośbami, to one wtedy niesamowicie na nie czekają. Kiedy coś od nich zależy, nastawienie jest zupełnie inne: „To na pewno będzie super! Będzie fascynujące! Bo to jest coś, czego my chcemy!".

Spotkałam się z sytuacją, w której nauczycielka poszła o krok dalej i zaproponowała uczniom, żeby samodzielnie zaprojektowali warsztaty, w których chcieliby wziąć udział i nawet samodzielnie poprowadzili te zajęcia. To było bardzo fajne.

K.Cz.: Zawsze powtarzam, że im dłużej prowadzi się zajęcia w terenie, tym ma się mniej pracy. Na początku trener wyszukuje różne rzeczy, zadaje pytania, próbuje zainteresować, a potem tę rolę przejmują same dzieci – one wyszukują ciekawe rzeczy, przynoszą, pytają i wystarczy zaspokoić ten głód wiedzy. Tylko tyle.

K.K.: Wyjścia w teren są też okazją do tego, na co rzadko jest okazja w klasie, a mianowicie do mówienia o swoich odczuciach. Nie tylko o tym, co się wydarzyło i co zobaczyłem, ale też jak się z tym czułem. Dla niektórych dzieci to zaskakujące, kiedy pytam je nie o to, co widziały, ale jak się z tym czuły. Na początku nie rozumieją o co chodzi, ale później już same z siebie zaczynają mówić o odczuciach. To jest cenne: w lesie nie uczymy się tylko patrzeć, widzieć i zdobywać wiedzę, ale też odczuwać.

A.M.: Udane zajęcia czasem nie wymagają żadnego planowania, bo to co najbardziej wartościowe wydarza się niejako przy okazji. Mówię na przykład o zmianach relacji w grupie. Często obserwowałam, że w klasie był jakiś negatywny bohater, osoba, która odstawała, outsider. A w czasie zajęć terenowych to dziecko wyrastało na bohatera pozytywnego. Inne dzieci zmieniały zupełnie swój stosunek do niego: „Jesteś fajny, cool, chodź do nas, zróbmy coś razem!". Taki był efekt ćwiczeń zespołowych. Oni wtedy sami poznawali siebie na nowo, u wielu dzieci objawiały się nowe umiejętności – takie, o których klasa wcześniej nie wiedziała. Fajne jest też to, że wobec natury

oni wszyscy są równi. Nie liczy się markowa bluza czy telefon, wszyscy są ubrani na sportowo, tak samo brudni, skupieni na zadaniach. Dla mnie te procesy grupowe były najcenniejsze, choć zupełnie niezaplanowane.

Czy myślicie, że ta zmiana ról, którą obserwujecie podczas zajęć, jest trwała? Przenosi się później do codziennej szkolnej rzeczywistości?

K.K.: To zależy od nauczyciela. Czasem jest tak, że nauczyciel widzi dzieci w terenie po raz pierwszy w sytuacji innej niż szkolna. I mówi: „Nie spodziewałam się tego po tej osobie!". Bardzo dużo zależy od sposobu, w jaki przeniesie to zadziwienie na klasę i tego, czy sam zmieni swój stosunek do tego dziecka.

A.Ch.: Zdarzyło się, że w mojej grupie był chłopiec, który zawsze dostawał dwójkę z przyrody. A podczas zajęć edukacji terenowej okazał się tej przyrody bardzo dobry. Recz w tym, że był mocny akurat z czegoś, czego nie omawiano u niego na lekcjach. Swoją wiedzą mógł się podzielić dopiero w terenie. I na koniec roku zamiast dwójki, jak zwykle, dostał czwórkę. To bardziej przykład odkrycia niż nagłej zmiany. Bo w tym dziecku to było, ale w szkole nigdy nie dostałby przestrzeni, żeby podzielić się swoją wiedzą, bo ona po prostu wykraczała poza program. Edukacja terenowa stwarza okazję dla takich odkryć.

Wyjazdy terenowe są często traktowane jak zwieńczenie danego etapu edukacji, sposób na pożegnanie nauczyciela z klasą. Tymczasem z tego co mówicie wynika, że edukacja terenowa to nie tylko okazja do przekazania wiedzy, ale też, a może przede wszystkim, do zbudowania zgranej grupy. Czy nauczyciele nie powinni więc w ten sposób raczej rozpoczynać niż kończyć pracę z klasą?

K.B.: Zdecydowanie tak. Wtedy i oni dowiedzieliby się więcej o dzieciach i dzieci o sobie nawzajem. Ale nauczyciele często nie chcą nigdzie wychodzić z nowymi dziećmi, które dopiero dostali pod opiekę. Wydaje im się, że najpierw muszą je lepiej poznać, poobserwować w klasie, zobaczyć czego można się po nich spodziewać. A później okazuje się, że nauczyciel pracuje z grupą uczniów od kilku miesięcy, już myśli, że je zna, wreszcie wychodzi z nimi lub wyjeżdża i... nagle okazuje się, że w ogóle ich nie zna. Prowadziłam kiedyś taką grupę. To był wrzesień, pierwszaki, dzieci dopiero przyszły do szkoły i od razu wyjechały ze swoją nową nauczycielką na zieloną szkołę. I to była świetna decyzja dla wszystkich. Nauczycielka była bardzo zadowolona, bo dowiedziała się mnóstwo o uczniach, dzieci świetnie się nawzajem poznały, a przy okazji także czegoś się nauczyły. Ten wyjazd miał same plusy. Wszyscy byli naprawdę bardzo zadowoleni, że zdecydowali się wyjechać już na samym początku.

K.Cz.: Nie bez powodu w ankiecie końcowej po zielonych szkołach, nauczyciele zaznaczają jako najcenniejszy efekt wyjazdu właśnie integrację grupy.

A.Ch.: Myślę, że nauczyciele, którzy boją się przełamać i nie chcą wyjeżdżać daleko, mogą zacząć od bliższego terenu: wyjść do przyszkolnego ogródka czy najbliższego parku. To jest mały krok, ale daje już jakiś obraz grupy i tego na co trzeba zwracać uwagę. Dla nauczyciela wyjścia w teren staną się wtedy stopniowo prostsze. Jeśli nauczyciel, który od dawna pracuje według sprawdzonych metod, chciałby spróbować czegoś nowego, to faktycznie może czuć strach. Niech więc spróbuje małymi krokami. Nie trzeba od razu decydować się na kilkudniową leśną szkołę.

Podsumowując naszą rozmowę, powiedzcie, co jeszcze można osiągnąć w edukacji terenowej, czego nigdy nie osiągniemy zostając z dziećmi w klasie? Jakie możliwości otwierają się przed grupą i przed nauczycielem?

A.Ch.: Myślę, że w klasie nie można nauczyć prawdziwej pasji do przyrody i dbania o nią – dbania nie dlatego, że pani każe wyrzucić papierek do niebieskiego pojemnika, ale zachowania, które wynika z rzeczywistej potrzeby i wewnętrznego przekonania. Żeby dzieci naprawdę zrozumiały po co mają segregować te przysłowiowe papierki, muszą złapać bakcyla. Pasji, zaangażowania i dostrzegania w przyrodzie czegoś fajnego, nie nauczymy się z podręcznika, nawet z najpiękniejszymi zdjęciami i najbardziej fascynującymi historiami.

K.B.: Żeby chcieć chronić przyrodę, trzeba ją i lubić, i cenić. Nie nauczysz się szacunku, nie nawiążesz bezpośredniego kontaktu z przyrodą, jeżeli nie pójdziesz w tę przyrodę. A jeżeli nie nawiążesz kontaktu, to ona nie będzie dla ciebie ważna. Nie da się myśleć o ochronie przyrody w oderwaniu od bycia w przyrodzie. Tego się nie zrobi inaczej, jak tylko przez zabieranie dzieci w teren i stworzenie im przestrzeni do nawiązania osobistej więzi z naturą. Tylko wtedy zaczną ją cenić i chronić.

NATURALNA ORKIESTRA

Poproś dzieci o stworzenie swojego instrumentu z tego, co znajdą w przyrodzie. Może to być coś prostego np. kamienie, gałęzie, szyszki, szeleszczące liście. Może ktoś potrafi zagrać na źdźble trawy? Zwróć uwagę, by były to materiały naturalne, a nie na przykład znaleziona w lesie puszka czy butelka. Kiedy każdy ma swój instrument, podziel dzieci na dwie grupy i poproś o rozpoczęcie koncertu. Wygrywa grupa, która jest głośniejsza!

Po zakończeniu konkursu stwórzcie wspólną orkiestrę. Najpierw wybieramy dyrygenta, który decyduje czy orkiestra gra głośno, cicho czy całkiem milknie. Zapoznajemy muzyków z sygnałami – uniesione do góry ręce dyrygenta – grać jak najgłośniej, ręce opuszczone – grać cicho, ręce schowane za plecami – cisza.

PRZYRODĘ TRZEBA MIEĆ PRZEDE WSZYSTKIM UŁOŻONĄ W SOBIE

z RYSZARDEM KULIKEM

ROZMAWIA IRKA JAZUKIEWICZ

Wywiad z psychologiem, Ryszardem Kulikiem, o więzi z przyrodą i byciu miejscem, o nazywaniu i improwizacji, o naszych lękach i „nudach" w lesie oraz o wychowaniu dzieci bez wychowywania. Rozmowę przeprowadziła Irka Jazukiewicz.

Irka Jazukiewicz: Co drugi człowiek na świecie mieszka w mieście i ta tendencja się pogłębia. Natura, która stosunkowo niedawno witała nas tuż za oknem, wycofuje się dziś na peryferia i trzeba pokonywać coraz większą odległość, żeby pobyć w jej otoczeniu. Zmienia się nasz styl spędzania czasu wolnego, a las jako plac zabaw wymyka się z doświadczenia dzieciństwa. Jak kontakt z przyrodą wpływa na rozwój psychiczny dziecka, umiejętność radzenia sobie w życiu, jego świadomość siebie i kontakty społeczne?

Ryszard Kulik: Mam na początek taką refleksję, że nasza rozmowa jest znakiem czasu, bo musimy udowadniać innym i sobie, że kontakt z przyrodą jest dla dzieci ważny. A jest to tak oczywiste, że aż czasem się dziwię, że dorośli w ogóle o tym rozmawiają, że są przeprowadzane badania i organizowane konferencje na ten temat. To pokazuje poziom szaleństwa, któremu ulegliśmy. W XXI wieku musimy się przekonywać, jak istotne jest, by dziecko wyszło na dwór i spotkało się z trawą, liśćmi, sikorkami, by zaznało ruchu na świeżym powietrzu.

Dziecko jest całością. Manifestuje się jako człowiek w różnych, połączonych ze sobą sferach – poprzez fizyczność, emocje, funkcje poznawcze i społeczne oraz wymiar duchowy, o którym najmniej się mówi, choć moim zdaniem to akurat szczególnie ważny obszar. Natomiast kontakt ze światem naturalnym, bycie na zewnątrz jest jedyną okazją, żeby te wszystkie sfery zostały pobudzone i użyte do doświadczenia rzeczywistości. Po drugiej stronie mamy nasze mieszkania, pomieszczenia szkoły czy biura – środowiska, które obcinają to doświadczenie, czyniąc je niepełnym. Tymczasem prosta zasada mówi, że im ono jest pełniejsze, tym lepiej dla rozwoju, bo rozwój karmi się zróżnicowaną, jeśli chodzi o bodźce, stymulacją.

Wspominasz o wymiarze duchowym – jaką wrażliwość rozwija przyroda w tym zakresie?

Kontakt z przyrodą pozwala na odkrycie, że jest coś większego od nas, pozwala dotknąć tajemnicy życia, które trwa od miliardów lat i tworzy zadziwiający, harmonijny, samopodtrzymujący się układ. Wnikliwa obserwacja przyrody konfrontuje nas z doświadczeniem „nie wiem", z tajemnicą i potęgą przekraczającą nasze możliwości zrozumienia i ogarnięcia tej całości. Te aspekty posiadają wymiar duchowy.

Myślę też o tym wymiarze w kontekście naszej relacji z Ziemią i postawy wobec niej – tego, że zgadzamy się na jej niszczenie. To coś niezwykle istotnego. Mówiąc krótko: jesteśmy w stanie chronić i dbać o to, z czym mamy pewną relację. Dopiero wtedy przestajemy być obojętni. Powstaje sprzężenie zwrotne: im bardziej się izolujemy i wycofujemy, stajemy się obojętni na niszczenie przyrody – tym bardziej się od niej oddalamy i obojętność wzrasta. W drugą stronę to też tak działa: im silniejszą nawiązujemy relację, tym mocniej się angażujemy, troszczymy i kochamy to, co wokół nas, chcemy to poznawać i pogłębiać więź.

Poza warsztatami psychologa, prowadzisz również zajęcia przyrodnicze dla dzieci. Jaką one mają postawę wobec przyrody?

Podejście dzieci do przyrody jest dokładnie takie, jak podejście dorosłych, czyli po prostu katastrofalne. Kilkanaście lat temu, a niewiele się pod tym względem zmieniło, pracowałem w miasteczku edukacji ekologicznej na peryferiach Śląska – w przyjemnym otoczeniu, gdzie nie ma nachalnej cywilizacji. Dzieci przyjeżdżały tam na kilka dni. Zaraz po rozpoczęciu zajęć, gdy właśnie mamy iść do lasu, padały pierwsze pytania – gdzie tu jest najbliższy sklep i kiedy tam pójdziemy. Moim zdaniem to kwintesencja stosunku współczesnego człowieka do świata, do siebie samego, do przyrody i do Ziemi. Czyli, krótko mówiąc, konsumpcyjne szaleństwo, któremu ulegliśmy, a dzieci obserwując nas, dokładnie je naśladują.

Echo tego podejścia słychać w stwierdzeniu: przyroda ma być „po coś". Dla niektórych dzieci rozpoczynających dopiero swoją przygodę z zajęciami w terenie, początkowo nie wydawała się wartością. „Po co tu przyszliśmy?" – pytały w lesie – „Przecież tu nic nie ma!". Potem i owszem – same były zaskoczone, że jest tam tak ciekawie, wystarczy poobserwować i dotknąć.

Zauważyłem jeszcze jedno: przyroda ma być pełna atrakcji, jak wesołe miasteczko. W związku z tym jest takie oczekiwanie, że gdy przyjdziemy do lasu, staniemy i rozejrzymy się – wszędzie będą zwierzęta, które chodzą, żerują, kochają się, gonią, polują, zjadają siebie nawzajem. Ma być jak

na filmach przyrodniczych, gdzie lampart rozrywa pazurem swoją ofiarę. Tymczasem idziemy do lasu i nic się nie dzieje. Nuda, że hej! Drzewa, żadnych zwierząt i w ogóle jakoś cicho. W tym sensie jesteśmy konsumentami wrażeń i to intensywnych. Ma być jak w wesołym miasteczku. A jeśli tak nie jest, to trzeba iść do sklepu, bo tam na pewno jest więcej atrakcji.

Dla niektórych las bywa też „straszny": pełen mrówek, pajęczyn i nieokreślonych szelestów.

Te lęki są powszechne, również u dzieci: „Do lasu?! Przecież tam są komary, muchy, coś gryzie, lata, przeszkadza i mrówki łażą". Pamiętam kuriozalną pod tym względem sytuację, która rozegrała się nie podczas zajęć z dziećmi, tylko ze studentami ochrony środowiska. Warsztaty odbywały się w terenie, w ciepły, suchy dzień. Idziemy piękną łąką. „Usiądźmy tutaj" – proponuję. A tu niespodzianka, ponieważ studenci nie chcą usiąść na trawie. Okazało się, że boją się, że się pobrudzą albo, że coś tam łazi, że wszędzie są kleszcze. Potem oczywiście kolejne osoby zaczęły kucać i wreszcie usiadły. Ale nikt nie chciał usiąść bezpośrednio na trawie – coś sobie trzeba podłożyć zawsze, żeby się odizolować od tego, co „zagraża".

Czyli od czego właściwie?

Żyjąc w kapsułach, jakimi są nasze mieszkania, zadbaliśmy o to, żeby były sterylne. Tam się nie prześlizgnie niemal żaden żywy organizm, nawet bakterie. Używamy takich środków czyszczących, które – jak informują nas w reklamach – zabijają 99% bakterii, grzybów i wirusów. Zero życia. Trawa i łąka są przeciwieństwem – tam wręcz od życia kipi. Trudno się dziwić, że się tego boimy, skoro stworzyliśmy świat, który jest sterylny.

Sterylność jest promowana jako konieczność wśród czyhających na nas drobnoustrojów. Podobne obawy są raczej nabyte i wyuczone niż instynktowne.

Dzieci mają mnóstwo lęków i uczą się tego, obserwując dorosłych. Choć niewielka ich część ma uzasadnienie ewolucyjne – gdy boimy się na przykład węży czy ciemnego lasu. Odziedziczyliśmy je po naszych przodkach. Trzeba uczciwie powiedzieć, że chociaż przyroda to nasz dom, warunek przetrwania i dzięki niej zaspokajamy wszystkie nasze potrzeby – pod tym względem zawsze budziła szacunek, a nawet cześć w religijnym wymiarze. Ta sama przyroda była, jest i będzie źródłem naszego cierpienia, bólu fizycznego i ostatecznie śmierci. Dobrze jest o tym pamiętać. Ludzie od początku mieli ambiwalentny stosunek do natury: z jednej strony ją podziwiali, z drugiej – widzieli jako największe zagrożenie, więc pewne lęki są głęboko utrwalone. Tyle że przesadzamy w kwestii zabezpieczeń, myśląc złudnie, że niwelując te zagrożenia, zbudujemy świat, na którym nam zależy.

W jaki sposób dorośli przekazują swoje obawy i jak, mimo lęków, zachęcać dzieci do przyrody?

Jeśli chodzi o wychowanie dzieci, jestem zwolennikiem takiego podejścia, w ramach którego właściwie ich nie wychowujemy. Dzieci uczą się poprzez doświadczenie, jednocześnie obserwując i naturalnie starając się naśladować znaczących dla nich dorosłych. Jesteśmy pod lupą: patrzą jak mówimy, jak patrzymy, jak chodzimy, jak reagujemy w różnych sytuacjach, jak spędzamy czas. To najsilniejsze wpływy, które je kształtują, czyli podstawowy mechanizm socjalizacji, uczenia się przez dzieci życia – modelowanie. Jeśli chcemy, by dziecko doceniło przyrodę, chciało aktywnie spędzać czas na zewnątrz, nie ma lepszego środka niż w ten sposób żyć. Jako dorośli najzwyczajniej dajemy dziecku przykład swoim zachowaniem.

Jeśli rodzic chce, żeby dziecko wyszło na dwór, poszło do lasu, kochało przyrodę, a cały dzień siedzi przed komputerem i jest na Facebooku, to po prostu się nie uda. Inny przykład daje aktywny rodzic, który jeździ na rowerze, chodzi na spacery, nie boi się albo właśnie boi i te lęki przekracza. Robi swoje i na przykład siada na trawie, gdy ma na to ochotę. Przecież nie jest tak, że jeśli się boimy, to mamy zrezygnować z jakiejś aktywności. To tylko pomarańczowe światło, które nas o czymś informuje. Adekwatny sposób radzenia sobie z lękiem, to dostrzec, że światło jest tylko ostrzegawcze i zrobić swoje. Mogę powiedzieć, że boję się lasu, ale idę tam spać. Nawet, jeśli się boję – wiem, że ostatecznie nic mi się nie stanie.

Dorosły – rodzic, opiekun czy nauczyciel – może zostać również dobrym przewodnikiem po przyrodzie, starając się obudzić ciekawość, skłonić do obserwacji, stawiania pytań, do doświadczenia różnymi zmysłami. Jak zainspirować dziecko do własnych odkryć w naturze?

Przyrodę trzeba mieć przede wszystkim ułożoną w sobie. Mówiąc naukowo – mieć jej złożoną i bogatą reprezentację we własnym umyśle. Polega to na tym, że mamy dużo kategorii, w oparciu o które postrzegamy rzeczywistość. Las nie jest dla mnie wyłącznie zbiorem drzew, a gdy w nim jestem,

potrafię dostrzec bardzo wiele różnych elementów i zależności. Dzięki temu, że wcześniej się czegoś nauczyłem i stworzyłem sobie pewną mapę lasu w umyśle. Im ta reprezentacja jest bardziej złożona i bogata, tym więcej dostrzegam i tym bogatszy jest świat, który widzę. Widzimy tylko to, co jest reprezentowane w naszym umyśle w postaci kategorii. Dlatego będąc przewodnikiem dla naszych dzieci, trzeba się tymi kategoriami dzielić. Na zajęciach warto tworzyć okazje, żeby dzieci tę reprezentację powoli kształtowały. Na przykład umiały w oparciu o zmysły rozpoznawać różnego rodzaju wrażenia i układać z nich zróżnicowany obraz rzeczywistości.

Gdy taki człowiek już jako dorosły pójdzie do lasu, nie będzie to dla niego płaskie środowisko – z jakimiś, ale nie wiadomo jakimi drzewami – tylko zróżnicowany świat, w którym można się zachwycić wieloma rzeczami, bo w ogóle się je dostrzega! Tym się różnią miłośnicy przyrody od tych, którzy jej nie znają albo mają z nią mały kontakt. Dla kogoś, kto ma ubogą reprezentację świata naturalnego w lesie nic nie dzieje, jest nuda i banał. Dla mnie z kolei to fascynująca rzeczywistość, gdzie mam mnóstwo wrażeń, potrafię odebrać sporo różnych bodźców, które mnie zachwycają, a czasami przerażają i to jest wielowymiarowe doświadczenie. Ktoś, kto się zna na muzyce, usłyszy na koncercie dziesięć razy więcej niż ja, laik w tej dziedzinie.

Poza niezaprzeczalną inspiracją, jaką wnosi przyroda, coraz więcej się mówi o jej wymiarze terapeutycznym. Jest wymieniana jako ważny element wspierający powrót do zdrowia fizycznego i psychicznego.

Przeprowadzono dużo badań na ten temat. Na przykład zaobserwowano, że osoby po operacji kardiologicznej szybciej i sprawniej wracały do zdrowia, jeśli w ich szpitalu za oknem był widok na park albo na drzewa. Jeśli chodzi o wymiar psychologiczny – znowu udowadniamy coś, co chyba intuicyjnie wszyscy wiemy. Idziemy do lasu, szukamy kontaktu z przyrodą, bo działa na nas uspokajająco, kojąco i pozwala lepiej radzić sobie z napięciem i stresem. Ten kontakt jest ważny z punktu widzenia higieny psychicznej. Potrzebujemy takich doświadczeń na co dzień, żeby się dobrze czuć. Na wakacje też raczej pojedziemy gdzieś na łąkę, do lasu, nad rzekę, nad morze, a nie do centrum miasta, by posiedzieć przy ruchliwej ulicy.

Środowisko naturalne dostarcza znakomitych okazji do budowania więzi z miejscem. Wielu z nas pamięta z dzieciństwa ulubioną łąkę, wzgórze czy drzewo, do których się często wracało, z którymi związane były spotkania i zabawy z rówieśnikami. Czy dzieci nadal tworzą własne miejsca czy kryjówki w przyrodzie? Jakie z tego płyną korzyści?

Jesteśmy skonstruowani w ten sposób, że po prostu potrzebujemy takich map. Tyle że, skoro świat się tak zmienia, to pewnie też inne elementy odgrywają rolę kotwic, wokół których buduje się swoje poczucie miejsca. Coraz rzadziej będą to na przykład drzewa, a coraz częściej place zabaw czy jakieś obiekty architektury użytkowej. W ślad za zmieniającym się światem, zmieniają się też te reprezentacje. Kłania się tu jedna z podstawowych prawd psychologicznych – człowiek jest taki, jakie jest jego doświadczenie. Jeśli kiedyś naszym doświadczeniem był kontakt z przyrodą, to nosiliśmy ten świat w sobie i tacy byliśmy. Teraz w naszym doświadczeniu przeważają wrażenia związane z metalem, szkłem, betonem. Tacy więc się stajemy, takie są nasze opowieści, poczucie miejsca, świata, no i siebie.

Warunkiem pełnego zakorzenienia jest relacja z miejscem w jego fizycznym wymiarze, w tym z elementami przyrody. Ludzki świat, sztuczny w domyśle, też jest zakorzeniony w przestrzeni fizycznej z określoną charakterystyką: z krajobrazem, roślinami, zwierzętami, klimatem – jest w nim wiele naturalnych elementów, więc im ta reprezentacja i kontakt są pełniejsze, tym silniejsze poczucie zakorzenienia i bycia w miejscu. Bycia miejscem. Dlatego, gdy kogoś poznajemy i przedstawiamy się, to jednym z pierwszych pytań jest: „skąd jesteś?". Tak jakby człowiek nosił to miejsce w sobie, a to, skąd pochodzi, jakoś o nim świadczy.

Ostatnio częściowo przenieśliśmy się na wieś pod Wadowice – znane z tego, że urodził się tam papież Jan Paweł II. Dotąd, gdy mówiłem: „Jestem ze Śląska, z Katowic", słyszałem w odpowiedzi: „Ze Śląska? Wy tam jeszcze potraficie w ogóle oddychać?". Gdy mówię natomiast, że jestem spod Wadowic, widzę po reakcji na twarzy: „Swój Ci on!", jakby nagle cząstka tej papieskości, autorytetu była też moim udziałem. W tym sensie jesteśmy miejscem. Chociaż dramatem związanym ze współczesnością jest to, że się wykorzeniamy i coraz mniej się z miejscem utożsamiamy. Ludzie sprawiają wrażenie, jakby byli wszędzie i nigdzie zarazem, ciągle podróżują albo się przeprowadzają. A skutkiem jest to, jak kontaktują się z otoczeniem, w którym żyją, jak je „czują", jak o nie dbają.

Projekt, który zachęca dzieci do budowania więzi z przyrodą, jest świadectwem i odpowiedzią na niepokojące odsunięcie od środowiska naturalnego. Myślę, że dla jednego, dwóch pokoleń wstecz byłoby to

co najmniej dziwne, bo po szkole i tak ciągle biegało się po podwórku, łące czy po lesie...

Jak wołali do domu, to było za karę.

Dziś jednak dziecko nie ma przeważnie przyzwolenia na spędzanie czasu poza domem samo. Mimo że zwiększają się środki ostrożności, paradoksalnie wzrasta także lęk rodziców, że ktoś ich dziecko skrzywdzi, a nawet może porwać, jeśli na chwilę zostanie samo. Funkcję swobodnych zabaw z rówieśnikami na podwórku przejmują więc zajęcia pozalekcyjne, kółka i dodatkowe warsztaty. Dziecko w ten sposób ma ograniczony czas na własne pomysły i ograniczony wybór, co do tego, jak ten czas spędzi.

Czytałem o badaniach, w których zwraca się uwagę na znaczenie, jakie ma spontaniczna zabawa dla dzieci. To, co my nazywamy teraz marnowaniem czasu albo zbijaniem bąków, okazuje się niezwykłą wartością. Dzieci potrzebują takiego nieustrukturalizowanego czasu, żeby mogły go same twórczo spożytkować. Gdy czas jest zorganizowany i zaplanowany tylko przez dorosłych, gubi się gdzieś duch dzieciństwa, które powinno być manifestacją swobody. Nie „odtąd-dotąd", bo nawet jeśli zajęcia są twórcze, to ciągle jest propozycja dorosłych. Z punktu widzenia rozwoju dziecka, zawsze jest bardziej korzystne to, co dziecko wymyśla samo i jak samo organizuje dla siebie czas. Oczywiście ważne, by dorosły tworzył bezpieczne warunki, w których ten proces może zachodzić oraz by podążał za dzieckiem i umożliwiał mu rozwój własnego potencjału.

Richard Louv w książce Ostatnie dziecko lasu pisze o powiązaniu między czasem wolnym, nudą i zabawą twórczą. Konstruktywnie znudzony umysł samodzielnie wymyśli za chwilę jakieś wciągające zajęcie, ale warunkiem do tego jest czas, którego dziecku brakuje, bo ma być spędzony produktywnie.

Z punktu widzenia rozwoju dziecka, dobrze jest przyjąć taki pogląd, że dziecko nigdy nie marnuje czasu. To znaczy, że każde doświadczenie jest wartościowe, cenne i każde czegoś uczy. Rozwój to właśnie umiejętność czerpania z tych doświadczeń, a to oznacza, że bezproduktywne, spontaniczne zabawy zawsze niosą jakąś naukę. Nuda może być impulsem do twórczej aktywności – jest też czasem potrzebna, żeby w ogóle coś się wykluło.

Wyobraźmy sobie dziecko, które dorasta na zamkniętym osiedlu w typowej zabudowanej przestrzeni miejskiej, w otoczeniu „sterylnych" trawników i uporządkowanych parków, z szeregiem zajęć pozalekcyjnych – jak się realizuje i rozwija w porównaniu z dzieckiem, które dużo czasu spędza w naturalnym otoczeniu na zewnątrz?

Łatwo przyjąć, że w tym przypadku może mu czegoś ważnego zabraknąć. Oczywiście, nie wiemy, jakie to są zajęcia, bo one również mogą angażować do kontaktu z przyrodą. Ważne, by w tym, co dziecko robi, było ono całe. Czyli, żeby rozwijało wszystkie aspekty własnej osoby: fizyczność, ciało, emocje i psychikę w sensie rozwoju poznawczego i duchowego.

Które z zajęć pozaszkolnych są w stanie angażować tak w całości? Nawet jeśli są zaplanowane przez kogoś, ale w sposób twórczy angażują cały potencjał dziecka, to dobrze. Chociaż najlepiej by było, gdyby w zajęciach mogła się ujawnić jakaś inwencja twórcza samych dzieci. Teraz organizujemy warsztaty ekologiczne, żeby pójść z dziećmi do lasu i czegoś się nauczyć, podczas gdy one same kiedyś organizowały swoje grupy w lesie i spędzały czas, wspinając się na drzewa i poznając przy okazji przyrodę. A to, co my teraz robimy, to próbujemy jakoś zrekompensować brak naturalnych zabaw dzieci, które same organizowały sobie czas w swoim środowisku... Trzeba zakasać rękawy i ratować, ile się da, mając jednak świadomość, że to wszystko są zamienniki spontanicznych i naturalnych działań, które kiedyś były codziennością dla dzieci.

Dziecko, które dużo czasu spędza na fizycznej aktywności w terenie, ma okazję się powspinać, pobiegać, pospadać i powywracać się, a przy okazji przekonać się, że gałąź może się załamać. Dzięki temu poznaje lepiej swoje ograniczenia i możliwości. Louv dowodzi w swojej książce, że swobodna, a więc i ryzykowna czasem zabawa w przyrodzie sprzyja budowaniu sprawczości i pewności siebie u dziecka.

Ostatnio byłem na konferencji na temat outdoor education. To ruch, który odkrywa starą prawdę, że najlepiej dla dzieci rozwijać się nie w zamkniętych pomieszczeniach, tylko w aktywności na zewnątrz. Wiele mówiono tam o jej pozytywnych skutkach dla poczucia własnej wartości, sprawstwa, samooceny i rozeznania, co do swoich możliwości. W efekcie – dla budowania własnej tożsamości, czyli: ja wiem, kim jestem, na co mnie stać i na co mogę sobie pozwolić. To tak, jak w cytacie z wiersza Szymborskiej: „Tyle

wiemy o sobie, ile nas sprawdzono". Najlepiej się tego dowiedzieć działając w realnym świecie, a nie zastanawiając się nad tym przed monitorem.

Ale rodzic czy opiekun dziecka po wyjściu z nim w teren chciałby przede wszystkim przyprowadzić je z powrotem w dobrej kondycji. Jak w tej sytuacji ma sobie poradzić dorosły, który widzi, że dziecko właśnie kombinuje coś ryzykownego, co różnie może się skończyć, a z drugiej strony – nie chce ograniczać z powodu swego lęku każdej zabawy?

Potrzebny jest złoty środek. Jest niezwykła książka, którą można polecić w tym wypadku – nosi tytuł W głębi kontinuum. Jean Liedloff opisuje swoje doświadczenie życia wśród Indian z plemienia Yequana w wenezuelskiej dżungli, m.in. obserwacje na temat wychowywania dzieci. Rodzice z dużym zaufaniem podchodzą tam do ich różnych pomysłów na aktywność, pozwalając, żeby dzieci same eksperymentowały i uczyły się. Zauważyła, że dzięki temu mają dobrze rozwinięty naturalny instynkt samozachowawczy i odpowiedzialność. To, gdy my się już boimy i czegoś zakazujemy, jest nadmierną reakcją, bo dzieci nie pchają się intuicyjnie w sytuacje, które są dla nich beznadziejne i mogą się zakończyć tragicznie. Tak Liedloff zaobserwowała to w warunkach życia plemienia Yequana. Może inaczej jest w naszym świecie, gdzie mamy innego rodzaju zagrożenia i w sensie ewolucyjnym nie zostaliśmy wyposażeni w system alarmowy. Mam na myśli na przykład wybieganie na ulicę – brakuje nam tutaj pewnego bezpiecznika.

Przekaz jest jednak taki, że w naszej kulturze za bardzo się boimy i chronimy dzieci, co powoduje więcej problemów niż korzyści. Podczas gdy one potrafią same dozować sobie poziom ryzyka adekwatny do możliwości. Psychologowie mówią poza tym, że w procesie rozwoju ważne są także frustracje, czyli również doświadczenie bólu czy niepowodzenia. Na zasadzie: jak się nie przewrócisz, to się nie nauczysz. To doświadczenia wpisane w egzystencjalną kondycję człowieka i jeśli chcemy, żeby nasze dzieci były nadmiernie chronione przed bólem, to również jest to rodzaj sterylności w kontekście braku przykrych doświadczeń. Chcemy, żeby nie obiły sobie kolan, nie potłukły się, nie uderzyły, ale – co to za życie? Podobnie jest z naszymi mieszkaniami, które są czyste i wypieszczone, a po drugiej stronie mamy zanieczyszczone rzeki i powietrze. Pamiętajmy, że ostatecznie powoduje to dla nas spore zagrożenie.

Człowiek jako gatunek przez tysiące lat rozwijał się, pozostając w ścisłym związku z naturą: z jej darami i zagrożeniami, dniem i nocą, ze zmienną pogodą i porami roku, do których trzeba było się dostosowywać. Teraz związek między wiedzą, codzienną pracą a rytmem przyrody powoli zanika. Pojęcie pracy dla wielu z nas obecnie oznacza postukiwanie w komputer. Jak brak kontaktu z bodźcami naturalnymi, wysiłkiem, przyrodą zmienia nasze mechanizmy poznawcze?

Widzę tu pewną degenerację w formie procesu, który polega na tym, że coraz bardziej odcinamy się i separujemy od rzeczywistości. Jest jakiś realny świat, i stanowi on źródło wielu potencjalnych zagrożeń. Sposobem na życie staje się ich pacyfikacja, co pozwala nam czuć się komfortowo i bezpiecznie. Cała cywilizacja staje się narzędziem, które ma służyć coraz większemu ograniczaniu możliwości cierpienia. Gdy jesteś przed komputerem i spędzasz tak całe dnie, możesz załatwić tam prawie wszystko. To absolutny stopień oddzielenia. Zamiana tego, co rzeczywiste na to, co wirtualne. I to wirtualne jest całkowicie bezpieczne, bo tam się nie potkniesz, nie potłuczesz, nie zachorujesz. Wymyśliliśmy sposób na życie, który polega na nadmiernym chronieniu się przed nim i osiągamy w tym zadziwiający sukces, a jednocześnie jest to nasza największa porażka. Odcinanie się od życia powoduje dla nas katastrofalne konsekwencje – w sensie zdrowia psychicznego, fizycznego i jakości środowiska, które po odcięciu wydaje się zupełnie zbędne, niepotrzebne i obojętne. Paradoks polega na tym, że im bardziej nasz sztuczny świat staje się oddzielony, tym bardziej zależy od tego naturalnego. Nic tak nie zależy od przyrody jak drapacze chmur w Nowym Jorku.

Nasz świat jest kontynuacją świata przyrody.

Nie jesteśmy w stanie istnieć bez przyrody. To my potrzebujemy przyrody, a nie ona nas. Zmierzamy do jakiegoś poziomu absurdu. Za chwilę, moim zdaniem, nadejdzie przesilenie, które zweryfikuje ten kierunek na zasadzie: „Sprawdzam!". I tu się okaże, że gramy tak, jakbyśmy mieli najlepsze karty, a po prostu nie mamy nic.

Chociaż jesteśmy wyposażeni w intuicyjny wymiar rozumienia przyrody, szacunek do niej jest ściśle związany – jak tłumaczy Louv

w swojej książce – z naszą wiedzą, umiejętnością rozpoznawania i nazywania jej elementów.

Nazywanie jest ważnym narzędziem na pewnym poziomie. To jest sposób na budowanie formy reprezentacji poznawczej świata. Istnieje jednak pewien rodzaj doświadczenia, który przekracza ten poziom, otwierając na inny wymiar, duchowy. Nie chodzi o to, żeby wszystko potrafić rozpoznać. Dotykam tajemnicy, kiedy jestem z czymś w kontakcie i nie nazywam tego, bo nazywanie jest rodzajem kontroli – ja wiem, co to jest i to już jest opanowane. W takim sensie czuję się bezpieczniej, a tu mówimy o otwarciu na coś pozostającego poza kontrolą, nawet jeśli budzi lęk. Chodzi tu o inną relację niż określanie „To jest liść klonu, takie drzewo, taki krajobraz, taki las". Być w tym miejscu i przez chwilę nic nie mówić, pozostać w ciszy i w takim właśnie niepoznaniu doświadczać rzeczywistości.

Kto wie, może tego rodzaju doświadczenie jest najważniejsze? Jego warunkiem jednak jest stworzenie przedtem fundamentu w postaci rozbudowanej reprezentacji poznawczej środowiska. Przypomina to wypuszczenie się w nieznane rejony, a wypuścić się można dopiero, gdy ma się mocne korzenie. Tak jak w muzyce: improwizuje się nie wówczas, gdy się uczymy grać i ćwiczymy gamę. Możemy latać po klawiaturze, ale improwizacja jest możliwa dopiero wtedy, gdy potrafimy już zagrać dobrze, mamy podstawę, bo ćwiczymy gamy i pasaże przez lata, a potem wypuszczamy się poza nie, w przestrzeń, w której nie ma reguł i znaczeń.

Tworzenie podstawy w budowaniu relacji z otoczeniem jest również źródłem radości dla dziecka, które dopiero wydobywa znane z nieznanego. Frajdą jest przecież rozpoznać samodzielnie drzewo, odwołać się do jego uzgodnionej nazwy z poczuciem, że ja już znam klony i mówiąc o nich, trafnie wywołuję ich obraz.

Na tym etapie dzieci tego potrzebują i naszym zadaniem jest je w tym wesprzeć. Natomiast potem, dla bardziej zaawansowanych i zapewne już nieco starszych, dobrze jest podjąć próbę doświadczenia przyrody w takiej właśnie tajemnicy. I doświadczyć osobistego przeżycia: „Nie wiem".

Wszystkie grupy wyruszyły na spacer – to było chyba dwadzieścia najbardziej stresujących minut w moim życiu! Bardzo się bałam, że się zgubią, albo coś im się stanie. Wolę jednak mieć dzieci na oku, chociaż wiem, że powinni mieć przestrzeń na samodzielne „doznawanie lasu". Oczywiście uczniom nic się nie stało, za to znaleźli dużo bardzo ciekawych rzeczy. Zastanawiałam się też czy puszczeni sami sobie będą faktycznie wykonywać zadanie czy usiądą w krzakach i zrobią sobie przerwę? I znów bardzo mnie zaskoczyli, ponieważ bardzo zaangażowali się w szukanie śladów zwierząt.

Anna Chomczyńska

Dzieci odkryły, że pod kamieniem znaleźć można świetnie zorganizowane „miasteczko". Zainspirowało je to do szukania odpowiedzi na coraz bardziej skomplikowane pytania. Jak wyglądają mieszkające tam stworzenia, jak się odżywiają, jak się poruszają, aż wreszcie jak się nazywają i jakie jest ich miejsce w królestwie zwierząt?

Urszula Ankiewicz
Szkoła Podstawowa w Nadbrzeżu

SIEDMIOKIERUNKOWY WIERSZ

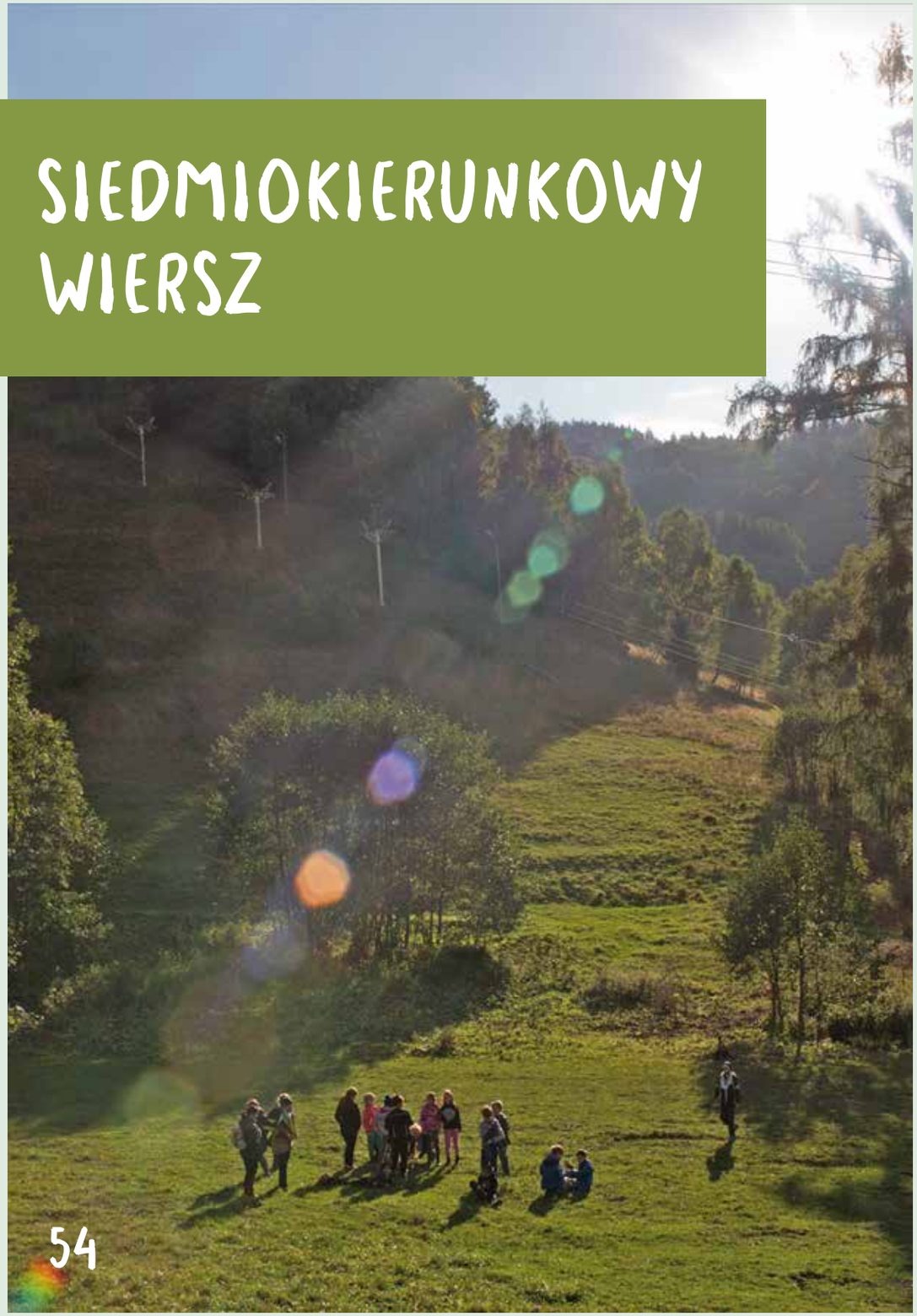

Siedmiokierunkowy wiersz piszemy na łonie natury, najlepiej o wschodzie słońca. Potrzebne będą kartki i coś do pisania oraz podkładki do siedzenia, jeśli ziemia jest zimna lub wilgotna. Usiądźcie skierowani na wschód – tak, aby każdy miał przestrzeń wokół siebie. Kiedy wszyscy już znajdą sobie miejsce, powiedz dzieciom, że za chwilę zabawią się w poetów i będą pisać wiersz używając swoich zmysłów. Poproś, aby napisali na górze strony tytuł: „W stronę wschodu". Aby pisanie wiersza było łatwiejsze pomóż dzieciom skupić się na tej chwili i poczuć więź ze światem zewnętrznym. Zróbcie kilka głębokich oddechów z zamkniętymi oczami. „Czy wyczuwacie jakiś zapach? Czujecie powietrze wchodzące do waszych płuc? Czujecie albo słyszycie bicie waszego serca? Wyobraźcie sobie ciepłe, miękkie promienie, takie jak promienie słońca, wychodzące z waszego serca i dotykające wszystkiego dookoła. Z każdym oddechem zaczerpnijcie nieco inspiracji do waszego serca i poczujcie się połączeni ze światem dookoła. Z ciągle zamkniętymi oczami, przygotujcie długopisy i notesy, a teraz otwórzcie oczy! Opiszcie w wierszu cokolwiek widzicie, słyszycie lub czujecie."

Poprowadź grupę przez resztę wiersza prosząc o dokończeniu każdej linijki:

Na wschodzie (ja)...
Na południu (ja) ...
Na zachodzie (ja)...
Na północy (ja)...
Ponad sobą ...
Pode mną ...
W środku czuję ...
Cały/cała jestem ...
Dziękuję za wszystko, co jest.

Możesz zaproponować dzieciom udekorowanie wierszy naturalnymi barwnikami uzyskanymi z trawy, ziemi, kwiatów, jagód. Pozwól poetom podzielić się swoją pracą między sobą – kiedy wiersz będzie gotowy, zbierz wszystkich, usiądźcie w kręgu i ktokolwiek zechce, może przeczytać swój wiersz.

AKTYWNY WYPOCZYNEK JEST LEPSZY OD NAJWYGODNIEJSZEJ KANAPY

z IZABELĄ TARCZOŃ

ROZMAWIA IRKA JAZUKIEWICZ

Ze specjalistką pediatrii, Izabelą Tarczoń, o zmianie stylu życia, lękach rodziców i powiązaniach między zdrowiem, ruchem i przyrodą rozmawia Irka Jazukiewicz.

Irka Jazukiewicz: Jak ruch i zabawa w terenie wpływają na rozwój fizyczny dziecka?

Izabela Tarczoń: Bardzo pozytywnie – to najprostsza odpowiedź. W szerokim zakresie są niezbędne do prawidłowego rozwoju dziecka, rozwoju układu mięśniowego i właściwego funkcjonowania kośćca – chodzi o to, żeby dziecko miało prawidłowe parametry wzrostu. Rozwijają również strefę emocjonalną, bo wiadomo, że ruch i wysiłek fizyczny oznaczają dla organizmu dobór różnego rodzaju substancji, które wspomagają pracę mózgu i układu nerwowego, sprzyjając poznawaniu świata. Nie mówiąc już o tym, że regularnie wykonywany wysiłek, jakaś forma treningu pomagają dziecku kształtować charakter, ucząc systematyczności i wytrwałości.

Wojciech Oczko, nadworny lekarz polskich królów i autor powiedzenia: „Ruch jest w stanie zastąpić prawie każdy lek, ale wszystkie leki razem nie zastąpią ruchu" z pasją zalecał aktywność fizyczną na powietrzu w ramach profilaktyki zdrowotnej już w XVI wieku. Czy zdarza się Pani w praktyce zawodowej również doradzać małym pacjentom więcej kontaktu z przyrodą, wychodzenia w teren i zabawy na zewnątrz?

Oprócz tego, że jestem pediatrą, jestem również mamą i aktywnym członkiem polskiego społeczeństwa. Nie trzeba być lekarzem, żeby zauważyć, że nasz styl życia ulega „westernizacji": jemy przetworzone produkty, dzięki dobrodziejstwom technologii mamy wszystko w zasięgu ręki, zmniejsza się nawet zwykły, codzienny wysiłek fizyczny. Skracają się dystanse do pokonania na piechotę – choćby odległości do przystanku, a poza tym sami rodzice ograniczają aktywność dziecka, podwożąc je wszędzie samochodem. Dziecko jeździ windą, a nie wchodzi po schodach. Krótko mówiąc: oszczędza swoje mięśnie. Swoją drogą, zabawy na powietrzu rzadko dziś należą do zainteresowań dzieci – królują za to komputer, wirtualny świat czy telefon, w których rozgrywają się kontakty towarzyskie z rówieśnikami. Zamiast wspólnej wycieczki rowerowej, młodzież zamyka się w pokojach i gra online z pięciu odległych od siebie stanowisk komputerowych. Nie trzeba nawet wychodzić z domu, żeby się spotkać. Nawet w połączeniu ze zdrowym odżywianiem, brak aktywności fizycznej to wciąż niekorzystny czynnik. Oznacza po prostu brak profilaktyki, która chroni przed rozwojem chorób cywilizacyjnych. Różnych: otyłości, cukrzycy, a w przyszłości – chorób układu krążenia. Styl życia, który przyjęliśmy, stał się naszym wrogiem.

Proszę popatrzeć na sposób spędzania wolnego czasu – głównie wtedy, kiedy mamy go więcej również dla naszych dzieci. Mam tu na myśli weekendy. Popularnym weekendowym zajęciem stało się robienie zakupów. Nie mówię o większości, żeby nie stworzyć reguły. Jednak w czasie gorszej pogody lub w sobotnie popołudnie – sama to obserwuję, bo niestety też bywam zmuszona czasem robić wtedy zakupy – po prostu widać, że hipermarkety pękają w szwach.

Jak kilkugodzinny pobyt w centrum handlowym wpływa na naszą wydolność i samopoczucie?

Spędzamy czas w dużej, klimatyzowanej przestrzeni z masą ludzi w sztucznym środowisku, które na pewno nie jest otoczeniem promującym zdrowie. Przebywanie w nim przez kilka godzin kompletnie nas odwadnia i wpływa niekorzystnie na naszą termoregulację. Nie jest to w każdym razie to, co nam daje trzydziesto – czy pięćdziesięciominutowy spacer. Pięćdziesięciominutowego spaceru po hipermarkecie absolutnie nie można porównać do spaceru na świeżym powietrzu!

Z drugiej strony dziecku towarzyszą często pełne troski, nadgorliwe przestrogi: „Nie biegaj, bo się spocisz", „Nie siadaj na trawie", „Nie bierz do ręki, bo się pobrudzisz". Nasze domy stały się sterylne, pełne antybakteryjnych mydeł i środków czyszczących, co paradoksalnie może przyczyniać się do uruchomienia alergii. Czy obiegowe szczęśliwe, brudne dziecko, które wszystkiego dotknie i sprawdzi, nie jest jednocześnie dzieckiem zdrowszym?

Ani bardzo higieniczne dziecko, ani oczywiście – bardzo brudne nie jest przykładem najlepszych wzorców rozwojowych. Dziecko musi wiedzieć, na czym polega kontakt z ziemią i z błotem, ale wiadomo, że lepiej, by nie brało do ust znalezionych na ziemi przedmiotów. To działa też w drugą stronę: jeśli mówimy o takiej higienie jaką jest mycie rąk, to z pewnością jest to ważna czynność. Gdy jednak przeradza się ona w natrętny, często powtarzalny nawyk, zaczyna być niebezpieczna i może wręcz stać się przyczyną zaburzeń nerwicowych. Zdrowy rozsądek podpowiada, żeby nie unikać ruchu ani

kontaktu i po prostu umyć się wtedy, gdy człowiek pobrudzi się czy spoci przy jakiejś czynności. Zmienia się natomiast profil chorób, z którymi w tym momencie mamy do czynienia. Wśród tak zwanych chorób cywilizacyjnych, coraz częściej mówi się o alergiach jak o nowej fali, epidemii. Alergie dlatego bardzo się rozpowszechniają, ponieważ staramy się chować dzieci w nadmiernie higienicznych, wyjałowionych warunkach, a przy okazji za wszelką cenę unikamy kontaktu również z dobrymi bakteriami. Z takimi, z którymi nasz układ immunologiczny powinien sobie w zupełności poradzić, o ile rozwój dziecka przebiega w prawidłowy sposób. Znajdziemy je na zwykłym podwórku, na którym dziecko bawi się w piaskownicy i gdzie ma kontakt z trawą. Oczywiście ważne są czynniki genetyczne, ale zmiana stylu życia prowadzi do tego rodzaju chorób cywilizacyjnych, których jest i będzie coraz więcej.

Czy są jakieś istotne różnice pomiędzy nawykami, aktywnością oraz zdrowiem dzieci dorastających na wsi i mieszkających w mieście?

Jeśli porównamy w tym momencie środowiska miejskie ze środowiskami wiejskimi, to profil dzieci i młodzieży ze wsi, które bez względu na pogodę są zmuszone do pokonywania większych odległości, choćby do przystanku autobusowego, wypada lepiej. W mieście te odległości są krótsze, a gdy pada deszcz, wszystkich rozwozimy autem do przedszkoli. Miejskie dziecko w zasadzie jest narażone na mniejsze działanie środowiska zewnętrznego.

Wracając do chorób alergicznych, musimy stwierdzić, że w zakresie astmy oskrzelowej, alergicznego nieżytu nosa czy atopowego zapalenia skóry zdecydowanie prym wiodą duże aglomeracje miejskie. Jest dostrzegalna dysproporcja w tym, że te choroby częściej dotykają dzieci, które są wychowane właśnie w środowiskach zurbanizowanych. Poza tym, choroba alergiczna w dużym stopniu ogranicza rozwój dziecka. Może na przykład sprawiać trudności podczas uprawiania sportu. Powstaje w ten sposób błędne koło: młodzież, która ma alergie, unika później świadomie czy podświadomie jakiegokolwiek ruchu, a rodzice ją w tym wspierają.

Z podobnych przyczyn unikamy niepogody i wolimy chronić dziecko w domowym cieple zamiast zabierać na spacery, kiedy jest szaro, zimno, pada albo śnieży. Z drugiej strony, takie wyzwania pomagają zbudować odporność.

Niewątpliwie, oprócz mechanizmów zapobiegawczych, które w pewien sposób możemy poprawiać dzięki szczepieniom, witaminom i odpowiednim zapasom antyoksydantów, które powinniśmy zjadać regularnie w naszej diecie – mamy jeszcze bardzo pierwotny układ immunologiczny, który jest naszą podstawową barierą ochronną. Takie czynniki jak wysiłek fizyczny i kontrolowane hartowanie ciała za pośrednictwem zmiany temperatury są dla niego ogromnym dobrodziejstwem. Wiadomo, że w tym wypadku również liczy się zdrowy rozsądek. Inaczej podchodzimy do dziecka z problemami zdrowotnymi niż do w 100% zdrowego dziecka, które chodzi do szkoły i dwa do trzech razy w sezonie zapada na infekcje wirusowe, przechodzi je w sposób normalny – czyli gorączkuje i samoogranicza infekcje.

Dla niektórych ochrona oznacza również unikanie terenów naturalnych, czyli lasu i jego pogranicza w okresie wzmożonej aktywności kleszczy. Jak sobie radzić z podobnymi dylematami, kiedy chcemy uniknąć niepotrzebnych zagrożeń, a z drugiej strony – nie dać się zwariować?

Wszystko zależy od punktu widzenia. Jeżeli ktoś ma świadomość, że idzie na łąkę akurat w okresie, gdy jest sezon aktywności kleszczy, a zima była niezbyt mroźna i wiadomo, że będzie ich dużo, to rzeczywiście musi sobie zdawać sprawę z tego, że ryzyko ukąszenia przez kleszcza jest większe. Pytanie, co z tym zrobimy. Możemy je zmniejszać, stosując środki ochronne, czyli repelenty, które powodują, że stajemy się dla kleszczy nieatrakcyjni. Jesteśmy w stanie się zaszczepić na przenoszone przez nie zapalenie mózgu, ale już niestety przeciw boreliozie – nie. To raczej od nas zależy decyzja, jak chowamy nasze dzieci i czy wolimy takie ryzyko podjąć czy też ewentualnie zabraniamy wówczas chodzenia do lasu. Jeśli sami się bardzo tego boimy, to nasz spokój psychiczny jest ważny i zamiast lasu wybierzemy w tym okresie boisko szkolne. Gdy wybieramy się w daleką podróż też podejmujemy pewne ryzyko, ale również możemy się przygotować. Przychodzimy wcześniej do przychodni, gdzie informują nas o szczepieniach, które należy wykonać przed wyjazdem. Po prostu zawsze warto ocenić stosunek ryzyka do osiągniętych korzyści.

Dużo się mówi o terapeutycznym wymiarze przyrody. Sam widok z okna na park czy drzewa wspomaga szybszy powrót do zdrowia nawet u pacjentów po trudnej operacji.

Dla mnie wydaje się to oczywiste i choć niektórzy lepiej czują się w domu, faktycznie dla większości z nas kontakt z żywą przyrodą jest bardzo

korzystny pod tym względem. Tyle że nie dla każdego będzie oznaczał to samo. Ktoś się wybierze do parku, dla kogoś będzie to wejście na Giewont albo na inną wysoką górę. Ktoś inny będzie potrzebował morza czy lasu. Chodzi o to, żeby po prostu jak najbardziej zbliżyć się do naszych pierwotnych, wynikających z rozwoju potrzeb. Odetchnąć pełną piersią, być zmoczonym przez prawdziwy deszcz, nieskażony żadnymi chemikaliami – a jak wiadomo, taka woda może mieć również lecznicze, oczyszczające dla nas znaczenie. Dla innych dużą wagę będzie miało ziołolecznictwo, które też jest rodzajem spotkania z przyrodą.

To wszystko jest lepsze niż siedzenie w domu przy komputerze i wpatrywanie się w ekran, bo po prostu nie jesteśmy stworzeni do jednostajnego wykonywania tej samej czynności. Dużo się mówi teraz również o tym, że aktywna starość polega na wykorzystaniu naszych możliwości ruchowych do samego końca. Ostatnio popularne stały się ćwiczenia nordic walkingu. Dbając o profilaktykę zdrowia oraz utrzymanie aktywności jak najdłużej, ludzie pokonują nawet pewne utrudnienia – choćby bóle mięśni czy stawów i po prostu bardzo dużo spacerują z kijkami lub bez nich. To dobry znak, ale powszechna świadomość tego, że ruch jest ważny i każda forma aktywnego wypoczynku będzie zdecydowanie lepsza niż najwygodniejsza kanapa, jest wciąż za mała.

Zajęcia zaczęły się od przejścia przez rzekę. Mimo że zadanie polegało tylko na zdjęciu butów, podciągnięciu nogawek i przejściu przez płytką, kamienista rzekę, to dzieci były z tego bardzo zadowolone i chciały nawet wracać tą samą drogą.

Julia Jankowska

Ustawiliśmy się w kręgu. Zwróciłam uwagę dzieci na miejsce, w którym byliśmy – na drzewo, które dawało nam cień. Poprosiłam, żeby rozłożyli swoje karimaty i wygodnie się na nich położyli, zwracając uwagę na oddech. Z wielką przyjemnością patrzyłam na dzieci leżące na karimatach na tle pięknej zielonej trawy. Miałam wrażenie, że jesteśmy jedną wielką rodziną, która wybrała się na wakacyjny wyjazd. Niesamowite było to, że byliśmy tak blisko miejskiego zgiełku, a zupełnie nam to nie przeszkadzało. Słoneczne promienie padały na twarze dzieci i dawały wrażenie bycia daleko od miasta. Po kilku minutach bardzo bliskiego kontaktu z Naturą, poprosiłam dzieci o podzielenie się swoimi wrażeniami. Niektórzy bardzo chcieli przedłużyć ten czas beztroskiego leżenia na trawie. Zadałam dzieciom kilka pytań związanych z oddychaniem: Czym oddychamy? Czy oddech łączy ludzi z przyrodą? Czym oddycha drzewo? Usiedliśmy pod naszym drzewem i podczas powolnych wdechów i wydechów próbowaliśmy sobie wyobrazić jak wymieniamy się powietrzem z drzewem. Dzieci same wyjaśniły, że drzewo dostarcza nam tlenu, a my mu dajemy dwutlenek węgla. Zwróciłam uwagę dzieci na problem przebywania wielu osób w małych pomieszczeniach oraz skutki częstego siedzenia w domu przed telewizorem lub komputerem.

Danuta Kotula
Szkoła Podstawowa nr 2 w Skawinie

STRAŻNICY DRZEW

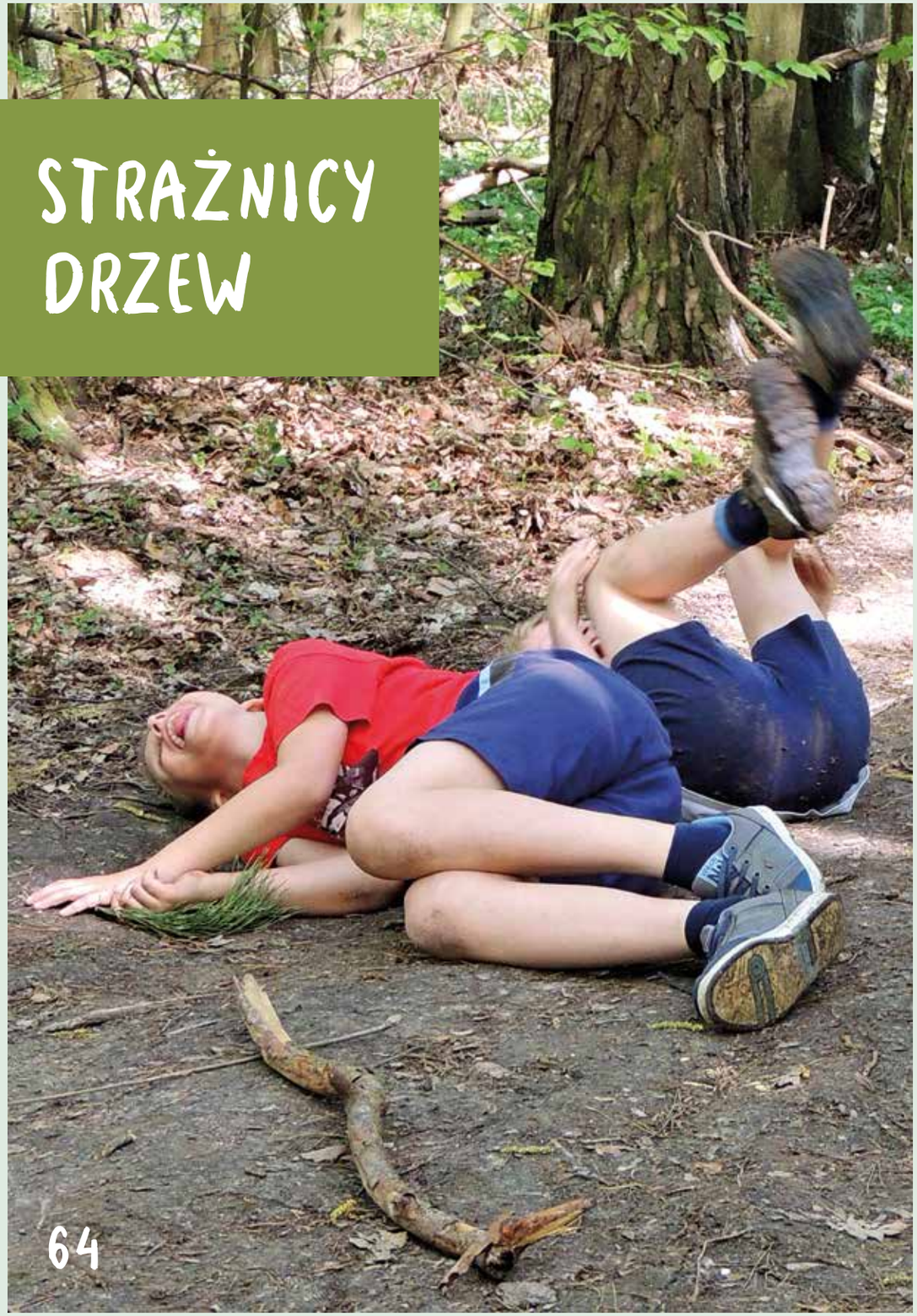

To zabawa na upalny dzień – potrzebne będą pistolety na wodę o dużym zasięgu i opaski na oczy dla strażników drzew. Każdy strażnik wybiera drzewo, którego chce bronić przed dotykiem „podwójnego demona". Dzieci nie będące strażnikami drzew dobierają się w pary (jedna osoba kładzie dłonie na talii drugiej osoby) i stają się podwójnymi demonami – ich zadaniem jest zakraść się do wybranego drzewa i dotknąć go obiema rękami – wtedy drzewo usycha. Strażnicy wykorzystają zmysł słuchu, aby zlokalizować, oblać i zniszczyć demony. Demony muszą unikać opryskania wodą, gdyż wtedy giną i odpadają z gry.

W MIASTACH SZUKAJMY PRZYRODY W MINIATURZE

z ANNĄ KOMOROWSKĄ
ROZMAWIA MARTA KARBOWIAK

Wywiad z Anną Komorowską – architektką krajobrazu, pedagożką, propagatorką projektowania przyjaznych dzieciom, opartych na naturze miejsc do zabawy na świeżym powietrzu.

Marta Karbowiak: Polskie miasta to miejsca, w których niezwykle łatwo jest stracić kontakt z przyrodą. Stara, dobra, urbanistyczna reguła mówi, że parki powinny być rozmieszczone w taki sposób, żeby każdy mieszkaniec mógł do nich dotrzeć w ciągu kilku minut spaceru. W naszych metropoliach rzadko się to udaje. Dodatkowym problemem jest silna presja inwestorów i chęć zabudowania każdego skrawka zieleni. Jak w takich warunkach prowadzić edukację przyrodniczą? Może po prostu wszyscy powinniśmy czym prędzej uciekać na wieś?

Anna Komorowska: Boże broń, bo wtedy nasze wsie będą wyglądać tak, jak wyglądają teraz nasze miasta. A tego byśmy nie chcieli. Jeśli chodzi o dostęp do przyrody, to nie demonizowałabym miast. Większość polskich miast to miasta historyczne, w których zieleń jest obecna – są w nich publiczne parki, pozostałości dawnych prywatnych ogrodów, są też ogrody przyklasztorne, fakt, że dzisiaj często niedostępne, ale jednak istnieją. Mamy w Polsce zupełnie inną sytuację niż np. w Stanach Zjednoczonych, gdzie duże metropolie powstawały od zera i gdzie często zapominano o zieleni. U nas jest pod tym względem dużo lepiej.

Poza tym warto doprecyzować co mamy na myśli, mówiąc o edukacji przyrodniczej. Jeśli uważamy, że pełnoprawna edukacja przyrodnicza, to tylko zajęcia w parku narodowym, to faktycznie, tego miasto nigdy nie zaoferuje. Jednak w każdym mieście jest mnóstwo mniejszych terenów, gdzie króluje przyroda – to często dzikie, zarośnięte, niezorganizowane skrawki zieleni, które są doskonałym miejscem do prowadzenia zajęć. Jestem przekonana, że mądry pedagog znajdzie takie wartościowe, często niepozorne miejsca, w których można prowadzić fascynującą edukację przyrodniczą. Zawsze przy tej okazji cytuję historię Marii Montessori, przytoczoną w książce The Joyful Child Susan Stephenson: „Pewnego dnia nowy nauczyciel powiedział dr Marii Montessori, że wokół jego miejskiej szkoły nie ma nic godnego odkrywania. Maria Montessori wyprowadziła więc dzieci przed budynek. Po godzinie nie odeszły one nawet trochę dalej niż sięgał mały zachwaszczony ogródek. Znalazły tam niezliczone oznaki życia, które ich całkowicie zafascynowały”.

Powinniśmy więc szukać uważnie, bo nawet tuż za rogiem możemy znaleźć kawałek inspirującej przestrzeni – takiej „przyrody w miniaturze”, która może stać się pretekstem do wielu twórczych zajęć. Szukajmy, bo w mieście przyroda jest obecna, tylko w różnej skali.

Jednym ze sposobów szukania przyrody w miastach jest wyprawa nauczyciela i uczniów do parku, lasu czy na przedmieścia. Drugim wyjściem jest stworzenie przyrodniczej enklawy wokół szkoły. Z tym jednak nie jest u nas najlepiej. Otoczenia szkół są projektowane w bardzo schematyczny sposób.

Główny problem polega na tym, że one nie są w ogóle projektowane. Trudno zaplanowanie boiska o określonych wymiarach nazwać projektowaniem. O przestrzeniach przyszkolnych się nie myśli, bo w Polsce w ogóle mało myśli się o architekturze i architekturze krajobrazu. Buduje się budynki, a o tym – co pomiędzy – pomyśli się kiedyś. Powinniśmy sobie uświadomić, że tak jak ogród przydomowy jest przedłużeniem domu, miejscem, w którym spędzamy wolny czas i do którego przenosimy pewne domowe funkcje, jak choćby jedzenie czy zabawę, tak ogród przyszkolny jest przedłużeniem szkoły i taką właśnie funkcję powinien pełnić. To powinno być miejsce, które służy do prowadzenia zajęć dydaktycznych. Realia są jednak takie, że na dworze realizowane są głównie zajęcia sportowe, więc boisko staje się przedłużeniem sali gimnastycznej. Tymczasem także inni nauczyciele powinni mieć możliwość skorzystania z tego terenu. Powinien on być zaprojektowany w taki sposób, żeby stwarzać warunki do nauczania przyrody czy matematyki – w tym celu można stworzyć matematyczny plac zabaw z grami, które pomagają w nauce liczenia. Teren, którym dysponuje szkoła może i powinien być lepiej wykorzystywany.

Jak więc dobrze zaprojektować najbliższe otoczenie szkoły tak żeby służyło nie tylko nauczycielowi wychowania fizycznego?

To bardzo szeroki temat, ale na pewno warto zaprosić do współpracy nauczycieli różnych przedmiotów oraz porozmawiać na ten temat z dziećmi, rodzicami i zaproponować im współtworzenie projektu, opowiedzenie o swoich pomysłach i potrzebach. Warto też wcześniej pomyśleć nad mądrą strategią, która pozwoli „przerzucić” część zajęć z wnętrza szkoły do ogrodu i uwzględnić te plany podczas projektowania. Wiadomo, że prowadzenie zajęć w terenie czy nawet w ogrodzie przyszkolnym jest trudniejsze niż prowadzenie

zajęć w zamkniętej sali, gdzie dzieci mniej się rozpraszają i grupa znajduje się pod kontrolą. Edukacja przyrodnicza na pewno nie obędzie się bez aktywnych, zaangażowanych nauczycieli, którzy muszą to wziąć na siebie.

Rzeczywistość jest taka, że szkolne budżety często ledwo się domykają. W tej sytuacji urządzenie przyszkolnego ogrodu dla wielu dyrektorów jest kuszącą, ale kosztowną i odległą perspektywą.

Oczywiście, jest to konkretna inwestycja, ale nie muszą to być ogromne pieniądze. Urządzanie terenów przyszkolnych kojarzy nam się z dużymi wydatkami. Patrzymy na takie działania przez pryzmat boisk, które faktycznie kosztują bardzo dużo lub gotowych placów zabaw kupowanych z katalogu, które także nie należą do tanich. Dyrektorom każda kolejna inwestycja kojarzy się więc z ogromnymi wydatkami. Warto jednak pamiętać, że nie wszystko musi tyle kosztować. Niektóre zmiany można wprowadzić nawet pomimo niewielkiego budżetu, małymi krokami, z pomocą rodziców czy lokalnych instytucji, z którymi moglibyśmy współpracować. Warto choćby spytać w pobliskim sklepie ogrodniczym, czy nie mógłby zasponsorować jakichś roślin. Podam przykład. W zeszłym roku braliśmy udział w projekcie, prowadzonym przez Dziecięcą Akademię Przyrody KUMAK, zatytułowanym: „Przyrodnicze azyle w miejskich przedszkolach". W ramach projektu, krok po kroku, przedszkola dowiadywały się jakie elementy przyjazne naturze mogą wprowadzać w swoim najbliższym otoczeniu. Przedszkolaki dostawały narzędzia, nasiona, sadzonki i wspólnie z nauczycielami wykonywały zadania: wysiewały łąkę, tworzyły skrzynki z roślinami, konstruowały domki dla owadów, zakładały ogródek warzywny. To były proste rzeczy, których stworzenie jest w zasięgu wielu polskich szkół i przedszkoli.

Wspomniała Pani o placach zabaw – „gotowcach" z katalogów. Faktycznie, jak Polska długa i szeroka, place zabaw wyglądają identycznie. Wszędzie można zobaczyć wyspy piratów, statki, palmy i inne, powiedzmy wprost, kiczowate i mało kreatywne konstrukcje.

Z placami zabaw mamy ten sam kłopot, co z terenami przyszkolnymi – one nie są projektowane. Ustawienia pierwszej lepszej zabawki z katalogu nie można nazwać projektowaniem, to raczej zaprzeczenie idei projektowania. Bo projektowanie bierze się z konkretnego miejsca, z kontekstu. Plac zabaw na wsi nie może wyglądać tak samo, jak ten w mieście, a ten nad morzem, tak samo jak ten w górach. Plac zabaw przy przedszkolu powinien być zaprojektowany w zupełnie inny sposób niż ten przy szkole, bo będzie z niego korzystać inna grupa wiekowa, a więc dzieci o zupełnie innych potrzebach. Powinniśmy więc przede wszystkim czerpać z konkretnego miejsca, w którym projektujemy, a także dostosować projekt do konkretnej grupy użytkowników.

Jaka jest alternatywa dla masowej produkcji?

Mnie najbliższe są tak zwane naturalne place zabaw, które maksymalnie czerpią z miejsca, w którym się znajdują i wykorzystują naturalne ukształtowanie terenu czy istniejącą roślinność. Jeśli w miejscu przyszłego placu zabaw rosną drzewa, to będą one wykorzystane w projekcie – zarówno jako element kompozycyjny, ale też funkcjonalny, jako „urządzenia" do zabawy. Pojawią się tam też takie naturalne elementy jak głazy, drewniane kłody do balansowania czy naturalna nawierzchnia, która jest równie bezpieczna jak syntetyczna. Ale przede wszystkim pojawia się roślinność, której zdecydowanie brakuje na placach zabaw. Rośliny mogą zastąpić ogrodzenie, które w polskich realiach często przybiera formę klatki, w której zamyka się dzieci. Mogą to być drzewa, które dadzą cenny cień, bo nadmierna ekspozycja na słońce to problem na wielu polskich placach zabaw. I wreszcie mogą to być rośliny „patygonenne" – takie, z których dzieci mogą bez wielkiej szkody ułamać patyczek, urwać szyszkę czy żołędzia i wykorzystać je do zabawy, choćby w gotowanie leśnej zupy.

Jak przekonałaby Pani dyrektorów, żeby zdecydowali się na takie rozwiązanie, zamiast sięgać po ofertę z katalogu?

Wszystkie katalogowe place zabaw są identyczne. Tymczasem te naturalne bywają bardzo różnorodne, tak jak różnorodne są miejsca, w których powstały i z których czerpał projektant. Co więcej, standardowy plac zabaw raz urządzony, nie będzie się zmieniał, tymczasem plac naturalny ulega ciągłym przeobrażeniom – zupełnie inaczej wygląda wiosną, a inaczej jesienią, inaczej w rok po założeniu, a inaczej 10 lat później. Znajdują się na nim też mobilne elementy, które dzieci mogą dostosowywać do swoich potrzeb i przestawiać w zależności od tego, jaka grupa korzysta z placu i w co chce się bawić. Co bardzo ważne, naturalne place zbaw są znacznie tańsze niż katalogowe. Owszem, wymagają utrzymania i trzeba ich doglądać częściej niż tych standardowych, jednak sama budowa naturalnego placu zabaw jest w zasięgu finansowych możliwości wielu dyrektorów, samorządów czy nawet organizacji pozarządowych.

Czy naturalny plac zabaw jest tak samo bezpieczny dla dzieci? Czy spełnia wszystkie rygorystyczne normy, przewidziane przez prawo dla tego typu miejsc?

Kwestie bezpieczeństwa i certyfikatów są zazwyczaj podnoszone przez tych projektantów, którym nie chce się zbytnio wysilać. Często dzwonią do nas klienci, którzy mówią, że chcieli niesztampowego placu zabaw, ale architekci powiedzieli im, że się nie da, bo norma na to nie pozwala. Robimy wtedy wielkie oczy. Trzeba wyraźnie powiedzieć, że zarówno katalogowy, jak i naturalny plac zabaw mogą być zgodne z normą, ale mogą też być z nią niezgodne. Normy mówią bardzo wyraźnie, jakie powinny być otwory, jakie odległości między urządzeniami, jaka nawierzchnia. I wszystkie te zapisy można z powodzeniem zrealizować przy naturalnym placu zabaw. Mówię to z pełną odpowiedzialnością, bo takie właśnie place zabaw projektujemy i wszystkie są zgodne z normą, co potwierdza certyfikat dopuszczenia ich do użytkowania.

Norma mówi też, że bezpieczny plac zabaw, to takie miejsce, z którego dziecko nie wyjdzie kalekie. Jest w niej wprost zapisane, że wszelkie zadrapania, guzy, siniaki czy nawet drobne złamania są jak najbardziej naturalnym elementem dzieciństwa i mogą się zdarzyć nawet na najbardziej bezpiecznym placu zabaw. Nie można powiedzieć, że jeśli dziecko złamało rękę, to plac zabaw jest niebezpieczny i trzeba go zamknąć. Przepisy trzeba więc czytać uważnie, bo one nie wykluczają i nie ograniczają możliwości, wręcz przeciwnie, dbają o podstawowe bezpieczeństwo dzieci.

Co ciekawe, wiele osób nie wie, że chcąc zadbać o bezpieczeństwo, nie trzeba wcale sięgać po najdroższe rozwiązania. Przykładem mogą tu być syntetyczne nawierzchnie – drogie, nieekologicznie a jednak, chyba głównie dzięki silnemu lobby producentów, bardzo chętnie wybierane przez dyrektorów. Tymczasem równie dobrze spisuje się kora, odpowiednio obrobione kawałki drewna, czy choćby żwir.

Gdzie pani widzi zarówno jako architektka, jak i jako mama największe pole do zmian w polskich miastach? Co można zrobić, żeby znalazło się w nich więcej miejsca dla przyrody?

Najłatwiej byłoby uciąć to pytanie, odpowiadając że projektowaniem miast zajmują się urbaniści i my, zwykli mieszkańcy, niewiele możemy zrobić. Ale duża siła tkwi w oddolnych inicjatywach i w tych mieszkańcach, którzy chcą coś zmienić. Anna Nacher powiedziała kiedyś, że naszą przyszłością jest miasto. Po prostu, czy chcemy czy nie, nie ma szans, żebyśmy nagle wszyscy wrócili na wieś. Tylko od nas zależy, czy będziemy chcieli w tym mieście żyć, czy będzie ono dobrze urządzone czy przeciwnie – będziemy tylko siedzieć i narzekać. To przede wszystkim kwestia mentalności i zmiany sposobu myślenia.

Jest coraz więcej mieszkańców, którzy działają, organizują oddolne akcje, walczą o zagrożone tereny zielone. Siła tkwi właśnie w takich ludziach. Każdy z nas, choćby w drobnej skali, może coś zmienić. Można dołączyć do tworzenia ogrodów społecznych, których w całej Polsce jest coraz więcej, zagospodarować bezpański, zaniedbany skrawek ziemi, na przykład w ramach partyzantki ogrodniczej. Myślę, że każdy powinien się zastanowić, co może zrobić dla swojego miasta, a nie tylko czekać, aż ONI zrobią coś dla nas.

Bardziej jako mama niż architektka, rozpoczęłam inicjatywę „Idziemy na pole", w ramach której staram się zachęcać innych rodziców do szukania ciekawych miejsc do spędzania wolnego czasu na świeżym powietrzu. Chodzi o miejsca w mieście, nie na wsi, bo nie każdy ma możliwość, aby wyjechać. Wiem, że wiele osób korzystało z moich inspiracji. Nagle odkrywali, że za ich wygładzonym parkiem z równo przyciętym trawniczkiem znajduje się kawałek dzikiego terenu, gdzie jest mnóstwo żyjątek, które można godzinami obserwować.

Skąd u Pani to zainteresowanie naturalnymi placami zabaw i projektowaniem wprowadzającym przyrodę do miast? Źródła tkwią w dzieciństwie, a może zainteresowała się Pani tymi sprawami, kiedy sama została mamą?

Zajęłam się tą tematyką na długo przed zostaniem mamą. Wychowałam się w Krakowie i zawsze mieszkałam w mieście. Jestem rasowym mieszczuchem, nie wyobrażam sobie możliwości mieszkania w miejscu, w którym nie ma tramwaju. Ale dzieciństwo spędziłam w lesie i na łące. Moje osiedle graniczyło z lasem, blok stał wśród drzew. Dzisiaj polana, na której spędziłam dzieciństwo jest już zabudowana a drzewo, na którym mój ówczesny chłopak wyciął serce z naszymi inicjałami, dawno ścięto. Ale ten las wciąż tam jest. I będzie. To właśnie tam tkwią źródła moich dzisiejszych zainteresowań.

ŚCIEŻKA BOSYCH STÓP

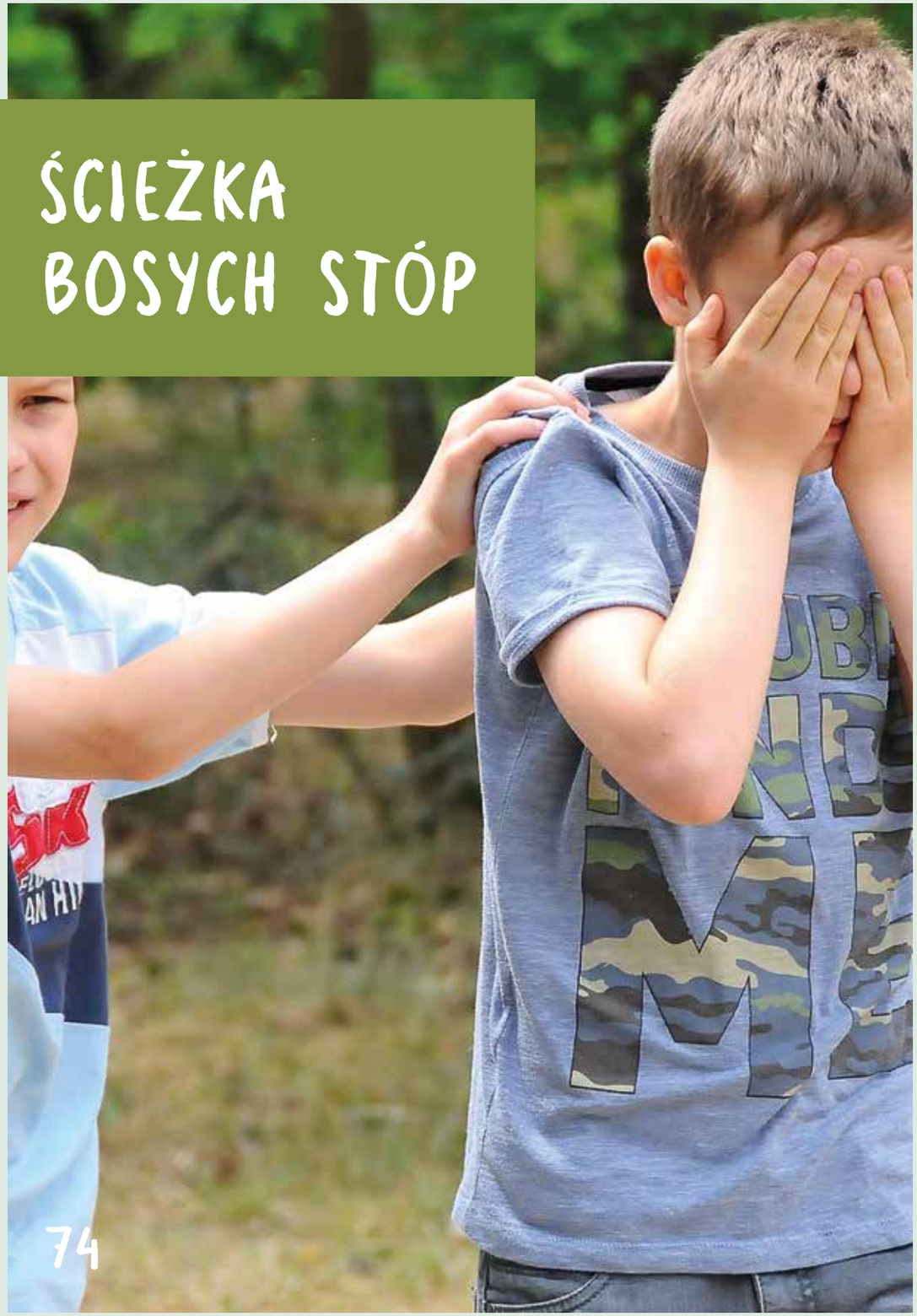

Ścieżkę tworzą same dzieci. W najprostszej wersji rysujemy patykiem na ziemi pas szerokości ok. pół metra i długości 3–4 metrów i dzielimy go na 40–50 cm odcinki. Wypełniamy poszczególne odcinki tym, co znajduje się w okolicy: piaskiem, ziemią, trawą, liśćmi, szyszkami (modrzewiowe są najbardziej miękkie), gałązkami drzew iglastych (np. z jodeł) i liściastych, żwirem lub otoczakami, kasztanami. Dzieci stąpając gołymi stopami po zróżnicowanej powierzchni poznają i różnicują faktury, angażując przy tym zmysł dotyku. Przejście po ścieżce jest też testem na wytrzymałość. Dzieci mogą chodzić po niej również z zawiązanymi oczami i odgadywać po czym w danym momencie idą.

DZIKA STRONA MIASTA

ANNA KOMOROWSKA

Nawet jeśli na każdym osiedlu powstanie naturalny plac zabaw nic nie zastąpi dzieciom bezpośredniego kontaktu z dziką przyrodą. Oczywiście wyprawy w góry czy nad morze są bezcenne, ale nie zawsze możliwe. Zabawa na świeżym powietrzu powinna być codziennością, a nie wydarzeniem „od święta" i w wakacje. Jak więc zapewnić dzieciom odpowiednią dawkę „witaminy N" mieszkając w mieście? **Czasami wystarczy pójść dalej...**

Nigdy nie zadowalały mnie spacery po wyasfaltowanych alejkach, po których krążą po kilkadziesiąt razy mamy (rzadziej ojcowie) z pociechami w wózkach. Przychodziłam do parku, dochodziłam do końca i szłam dalej. Czasami okazywało się, że za kępą drzew jest jakieś osiedle albo ruchliwa ulica (ale taka, której w ogóle się tam nie spodziewałam, co też było ciekawym odkryciem). A czasami... ułożone alejki przeradzały się w leśne ścieżki, nasadzenia parkowe w bujną zieleń, rządy przyciętych krzewów w chaotyczne i przerośnięte krzaki. A wraz z nimi – ślimaki, robaki, mrówki i inni mieszkańcy lasu, których można godzinami obserwować.

Po pierwszym takim odkryciu pomyślałam, że to przypadek, ale gdy zaczęliśmy zwiedzać kolejne parki historia się powtarzała – równe chodniczki, standardowy plac zabaw, ławeczki, a dalej łąka, las, kamieniołom zalany wodą... Każde wyjście „na spacer" stało się więc wyprawą. Poznaliśmy najbliższą okolicę, przyszedł czas na dalsze wycieczki, z autobusem miejskim w roli głównej. W ruch poszła mapa – gdzie jedziemy następnym razem? Co może oznaczać ta pusta zielona przestrzeń? Czy można tamtędy przejść? A po powrocie – a, to tu wyszliśmy, mogliśmy iść tędy... Nigdy nie używaliśmy mapy w trakcie wyprawy. Dawaliśmy się ponieść nogom i drodze (lub bezdrożom).

Oczywiście mając pod opieką grupę przedszkolną czy szkolną trudno pozwolić sobie na taką spontaniczność. Teren warto zbadać wcześniej, ale nie musimy mówić o tym dzieciom. Niech dla nich będzie to nadal wyprawa w nieznane!

Trzeba to sobie powiedzieć jasno – to nie jest zabawa dla każdego. Dziecko nie skorzysta z wycieczki, gdy wciąż za uchem będzie słyszeć marudzenie rodzica, który marzy tylko o tym, żeby usiąść na ławce przy placu zabaw i poczytać książkę. Nie każdy wózek da radę. Z chustą było nam łatwiej, a gdy ciężar Franka przekroczył moje możliwości przerzuciliśmy się na wózek „terenówkę". Minusem może być też brak towarzystwa, ale co stoi na przeszkodzie, żeby na wspólne wyprawy umówić się z innymi rodzicami? Może się okazać, że na trasie nie znajdziemy sklepu, więc o prowiancie trzeba pomyśleć wcześniej. Nie wiedząc dokładnie, gdzie jesteśmy możemy nie zdążyć schować się przed deszczem – na to również trzeba się przygotować. Innymi słowy – musi więc nam się chcieć.

Nie należy jednak zapomnieć o niewątpliwych zaletach takiego rozwiązania. Jak pisze Tom Hodgkinson w książce „Być rodzicem i nie skonać": „nie sposób przecenić wygody, jaką rodzicowi na luzie daje przyroda. (...) zauważyliśmy, że kiedy dzieci same bawiły się na plaży, panowała całkowita harmonia; dokazywały, zbierały kamyki i muszelki, taplały się w morzu. Układały kamienne kręgi. Ledwo jednak dotarliśmy na molo – ze sklepami, zabawkami i pokusami – rozpoczęło się marudzenie, błagania, by kupić to czy tamto, walka, kto ma być kierowcą, a kto ma być drugi w kolejce. Rozczarowania, łzy i kłótnie. Toteż rodzic na luzie musi zabierać dzieci w miejsca możliwe najdziksze i jak najdalej od sklepów".

Z czasem możemy rozszerzyć nasz „repertuar" o wypady za miasto. Czy kiedykolwiek sprawdzaliście dokąd dojeżdżają miejskie autobusy? Na przykładzie Krakowa – wystarczy 20–30 minut, żeby znaleźć się w Tyńcu, w Dolinkach Podkrakowskich, na Zarąbiu, na Łąkach Nowohuckich. Rzeka, góra, las – to żywioły, które dają nieskończenie wiele możliwości zabawy, które uczą o złożoności świata przyrody, które pozwalają poczuć zmienność natury, rytm pór roku, które pobudzają wszystkie zmysły. Wystarczy się odważyć i... pójść dalej.

Bawiliśmy się w słuchanie: co mówią ptaki, drzewa, kamienie i ziemia? Nawet moi nadruchliwcy uwielbiali kłaść się na ziemi, podnosić np. kamyk i przykładać go sobie do ucha, czy przytulać się do drzewa i je czuć. Należało wytrzymać minutę. To było wyzwanie dla niektórych. Wierzę, że naprawdę słyszały korniki. Jednak wyobraźnia, to potęga.

Małgorzata Filbrandt
Szkoła Podstawowa Zespołu
Szkolno-Przedszkolnego w Marzęcinie

PODAJ DALEJ

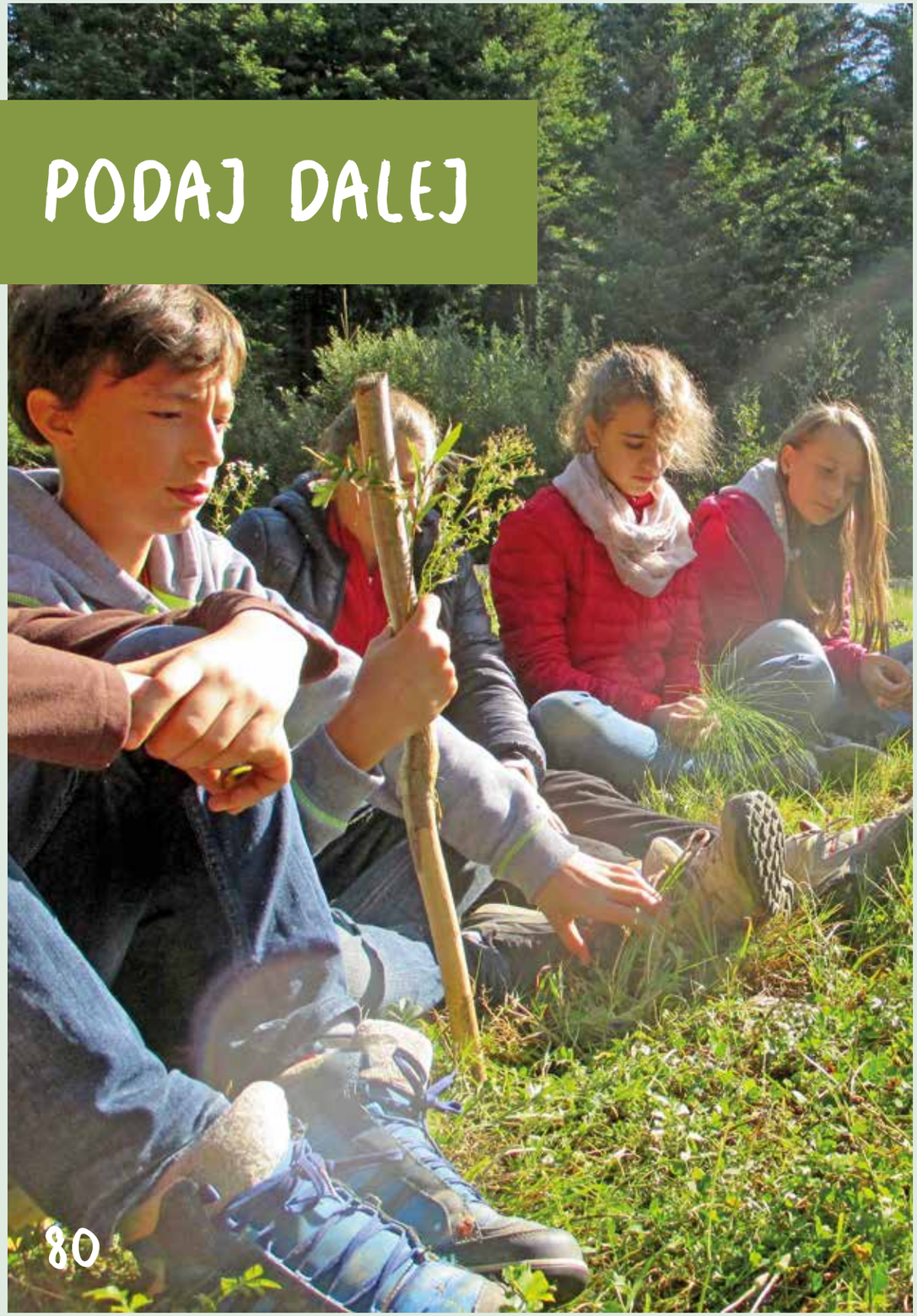

Zadanie dla grupy co najmniej 6-osobowej. Siadamy w kręgu na ziemi. Potrzebny będzie patyk, większy kamień, szyszka lub kawałek kory. Pierwsza osoba, siedząc, chwyta nogami nasz przedmiot i nie pomagając sobie rękami, podaje go następnej osobie, która również musi go chwycić stopami. Przedmiot nie powinien upaść na ziemię. Zabawę w ciepłe dni można przeprowadzić z gołymi stopami – jest wtedy łatwiejsza, ale pojawiają się dodatkowo wrażenia dotykowe. Przy dużej grupie po okręgu mogą przemieszczać się dwa lub trzy przedmioty.

MOŻE KUPISZ DZIKĄ RÓŻĘ, BO JUŻ DOJRZAŁA?

z DOROTĄ KOMASĄ

ROZMAWIA ANNA CHOMCZYŃSKA

„Kiedy dzieci mają wybór czy chcą być w budynku czy w lesie, to po ich wyborach możemy naprawdę ocenić jak czują się w przyrodzie". Z Dorotą Komasą, mentorką w Naturalnej Szkole – Bukowy Dom, rozmawia Anna Chomczyńska.

Anna Chomczyńska: Opowiedz, proszę, jak funkcjonuje Bukowy Dom. Macie jakiś budynek czy dzieci są cały czas na zewnątrz?

Dorota Komasa: Tak, mamy budynek, z którego korzystamy, kiedy dzieci przychodzą do szkoły: tam zaczynamy dzień, jemy posiłki i mamy na przykład zajęcia przy komputerze. Kiedy dzieci nie mają ochoty przebywać na dworze to również mogą z tego budynku skorzystać, jeśli ktoś z dorosłych może w tym czasie z nimi zostać. Teraz jest taka piękna, jesienna pogoda – dzieci po prostu chcą być cały czas na zewnątrz. Zazwyczaj wychodzimy około godziny 10 i do 12 uczniowie mają zajęcia edukacyjne. Dzieci przedszkolne eksplorują teren tak, jak mają na to ochotę. Czasem pracujemy w ogrodzie – mamy swoje grządki, więc dzieci uczą się uprawiać warzywa, przy okazji poszukują dżdżownic, patrzą co tam żyje, obserwują. Dzieci szkolne mają wtedy zajęcia prowadzone metodą projektową. Na przykład, kiedy mieliśmy zajęcia o chmurach, korzystałyśmy z materiałów i dzieci obserwowały chmury na dworze. Później zastanawiały się czy to już jest cumulonimbus, czy jeszcze nie. Czasami wracamy do domu, żeby swoje wnioski spisać czy coś dodatkowo jeszcze zrobić. To jest płynne i zależy od potrzeb dzieci.

A kiedy pada deszcz?

Zdarza się, że dzieci nie chcą wyjść na dwór, bo jest zimno lub pada, ale zazwyczaj większość z nich nie ma żadnego problemu z pogodą i chętnie wychodzą też w czasie deszczu. Mamy również altanę, gdzie dzieci mogą się skryć. Wszystko można zaaranżować tak, żeby pogoda nie była naszym wrogiem, ale sprzymierzeńcem. Wiele tutaj zależy od chęci i otwartości dorosłego.

Czy wszystkie dzieci chętnie uczą się na powietrzu?

Biorąc pod uwagę sposób w jaki funkcjonujemy, zdarzają się nam pojedyncze jednostki, które nie chcą wychodzić na dwór. Mamy dziecko, które wcześniej nie lubiło wychodzić i wszyscy postrzegali je jako domatora. Natomiast w tej chwili cały czas chce być na dworze! I to jest piękne: obserwować jak dzieci uczą się różnych rzeczy. Widzimy tyle plusów z przebywania na zewnątrz, że chcemy z tej przestrzeni jak najwięcej korzystać. Są jednak takie rzeczy, które musimy zrobić w domu, na przykład – używając komputera czy szukając informacji – nie wszystko da się wynieść na zewnątrz. Czas spędzany w budynku jest jednak stosunkowo krótki. Zdarzało się nam nawet jeść zimą zupę w ogrodzie przy ognisku. Nie boimy się zimna – dzieci nabierają odporności. Zachęcamy je do przebywania na zewnątrz, ale z drugiej strony nie zmuszamy. Jeśli więcej dzieci chce iść do budynku, to idziemy.

Czyli uczniowie sami decydują o tym, gdzie będą zajęcia?

Zdarza się, że część dzieci chce wyjść, a kilkoro woli zostać. Zdarza się też, że nie możemy wyjść na dwór, bo na dwójkę dorosłych przypada tyle dzieci, że nie jesteśmy w stanie się rozdzielić. Dzieciaki mają wybór, ale nie zawsze mogą wyjść czy wrócić w tym dokładnie momencie, w którym by chciały. Jest to wolnościowe, ale nastawione z uważnością na innych, bo przecież nie zawsze wszystko da się zrobić. Czasami idziemy na spacer i jedno dziecko jest zmęczone, chciałoby już wrócić, ale jesteśmy całą grupą. Wtedy staramy się tak zachowywać, żeby tej jednej osobie było w tym czasie dobrze, staramy się pogodzić jej oczekiwania z oczekiwaniami reszty grupy. Dzieci mają wybór co do tego, czy chcą brać udział w zajęciach, czy nie. Czy chcą wyjść na dwór, czy wolą zostać w budynku. Jednak w naszej szkole/przedszkolu dzień ma pewien rytm. To są ramy, w których się poruszamy. Odpowiadając na Twoje pytanie, czy uczniowie decydują o tym, gdzie będą zajęcia – to zazwyczaj zależy od pory dnia, charakteru zajęć, ilości dorosłych i dzieci. Jeśli mamy czas swobodnej aktywności, to w dużej mierze dzieci decydują, gdzie ten czas chcą spędzić. Jeśli to są zajęcia przygotowane przez mentora, to on decyduje, gdzie je przeprowadzi. Bywa, że ustalamy to wspólnie z dziećmi. Kiedy dzieci przygotowują coś dla innych, przedstawiają pomysł i miejsce realizacji.

Czy dzieci z waszej placówki boją się lasu, przyrody?

Kiedy byliśmy pierwszy raz w lesie w tym roku w ogóle się nie bały, ale to efekt rocznej pracy z większością. A jak już większość jest oswojona, to pozostałe podążają za nimi i czują się bezpieczniej. Raczej odważnie chodzą i sprawdzają, co gdzie jest. W zeszłym roku dzieci były raczej rozproszone,

mało skupione, niektóre chciały od razu wracać. W tym roku dzieci same się przygotowały. Miały swoje zeszyty do rysowania tego, co zobaczą w lesie i już wcześniej były podekscytowane tym, co tam spotkają. Nawet nie zbierały skarbów, tylko je rysowały. Potrafiły spędzić pół godziny nad jednym owadem, samodzielnie odnajdując jego nazwę w atlasie. Taki jest efekt pracy nastawionej na otwieranie się i bycie w przyrodzie. Inspirujące jest w niej to, że obserwuje się rozwój dzieci, zachodzącą w nich zmianę – różnicę między tym, jak było na początku, a jak jest teraz. A po drugie, kiedy one mają wybór czy chcą być w domu, czy w lesie to wtedy można tak naprawdę stwierdzić jak czują się w przyrodzie.

I chętniej wybierają?

Przebywanie na dworze. W tej chwili potrzebują również zajęć w domu, bo same mówią, że tego chcą. Przypuszczam, że w pomieszczeniu jest po prostu mniejsza ilość bodźców. Jednak obserwujemy, że najprzyjemniej jest im słuchać opowieści, uczyć się i doświadczać na dworze.

Czego można uczyć w lesie lub w ogrodzie? Czy jest tam przestrzeń do nauki innych przedmiotów poza samą przyrodą?

Zdecydowanie tak. To może być matematyka. To nie tylko nauka w przyrodzie, ale też korzystanie z materiałów, jakie przyroda daje – warto zbierać kasztany jako materiały edukacyjne do liczenia, co większość dzieci lubi. W ten sposób można zrealizować plastykę, zajęcia ze sztuki, muzyki. To bardzo inspirujące. Można zrobić WF jakiego dzieci w szkołach systemowych nie doświadczają: uczą się koordynacji, trzymania czy łapania po prostu wchodząc na drzewo. Samo zbieranie różnych skarbów natury pozwala nam uczyć się zarówno o zbiorach, jak i o zbieranych elementach, na przykład o owocach, liściach, grzybach. Fizykę czy chemię też się da przeprowadzić w plenerze, nawet niektóre doświadczenia bezpieczniej jest robić na zewnątrz, bo w budynku coś może się rozlać i zniszczyć. Czasami dzieci uczą się historii, bo kiedy jesteśmy w jakimś miejscu, zastanawiamy się, ile to drzewo ma lat, jak można rozpoznać jego wiek i jaka historia wiąże się z tym terenem. Przy okazji uczymy się polskiego: czytania czy budowania zdań. Zwykły liść może być inspiracją do nauki opowieści – dzieci mogą opowiadać jego historię: co się z nim stało, kiedy spadł, jaką drogę przeszedł, dlaczego wcześniej był zielony a teraz jest pomarańczowy. Przy okazji widzą, że różne rzeczy są połączone, uczą się, że przyroda to przemijalność, że nic nie jest stałe, choć różne zjawiska można przewidzieć. Dzięki temu, kiedy uczą się później w budynku, są uważniejsi na to co dzieje się dookoła, na świat, na siebie, na innych. Tak naprawdę od przyrody można wyjść i wiele rzeczy dzięki niej zainicjować. Dzieci zrobiły na przykład w ogrodzie sklep z pamiątkami. Pamiątki to kamiennie, za które inni płacą liśćmi, więc jest to nauka matematyki, której żadne z nas, dorosłych, nie inicjowało. Dzieci zrobiły to same. Napisały przy okazji szyld: „Sklep z pamiątkami", więc uczyły się też pisania. One tam cały czas przygotowują coś nowego. „Co dzisiaj u mnie kupisz? Może kupisz dziką różę, bo już dojrzała?" – równocześnie uczą się rozpoznawać czy coś już jest dobre do jedzenia, czy jeszcze nie.

Czy widzisz jakieś rzeczy, których ewidentnie nie da się zrobić na zewnątrz? Sądzisz, że podstawę programową da się zrealizować w lesie?

Na pewno podstawa programowa dla klas I–III jest do zrealizowania, może poza zajęciami komputerowymi. W I klasie naturę można wykorzystać do rozwoju motoryki małej i dużej, bo od ruchu wszystko się zaczyna. Jeżeli dziecko prawidłowo rozwija się ruchowo, to w przyszłości będzie miało większą łatwość w pisaniu i w koncentracji. Później do nauki pisania potrzebne są kartki i miejsce, gdzie dziecko będzie pisać – to wymaga organizacji, choć nie znaczy to wcale, że nie da się tego zrobić w przyrodzie. Jeżeli chodzi o umiejętność pisania: początkowo wystarczy rysowanie na piasku, potem pisanie patykiem, ważne, aby rozwijać umiejętność prawidłowego chwytu. Zastanawiam się, jak to organizować w późniejszych klasach. Biorąc pod uwagę wnioski płynące z neuronauki, staramy się organizować dzieciom przestrzeń do uczenia się tak, by była to edukacja przyjazna mózgowi, czyli angażująca jak najwięcej zmysłów, emocji, głównie poprzez doświadczanie i w ruchu. Wystarczy zmienić swoje podejście: jeśli ja będę bardziej w ruchu jako dorosły – nauczyciel, mentor – to zobaczę też więcej możliwości nauki dla dziecka. Nie będę się tego bała i nie będzie to dla mnie ograniczające.

A czy korzystacie z podręczników? I czy są to podręczniki typowo szkolne?

Mamy podstawę programową do zrealizowania, więc korzystamy z różnego rodzaju podręczników, ale są one przeznaczone bardziej dla kadry, warto śledzić co pojawia się nowego czy inspirującego. Są też takie dzieci, które potrzebują zadań podręcznikowych, mieliśmy dziewczynki, które bardzo lubiły wykonywać takie zadania. Ważne jest dla nas, aby dzieci miały

wybór i dostęp do różnych form nauki i podręczników, ale nie realizujemy zajęć według programu, krok po kroku. Z podręczników wybieramy te rzeczy, które wydają nam się najbardziej wartościowe, korzystne, poza tym sięgamy do różnych źródeł. Mamy karty pracy, które są często inne niż w klasycznej szkole. I na bieżąco szukamy wartościowych materiałów, takich jak na przykład scenariusze zajęć opracowane przez Ośrodek Działań Ekologicznych „Źródła", które sięgają daleko poza podstawę programową, za to inspirują i są dostępne on-line. Tworzymy także własne materiały, na których dzieci się uczą, i które mogą same przygotować.

Zastanawiam się, czy realizacja podstawy programowej jest jakoś sprawdzana, bo jako nauczyciele musicie na pewno rozliczyć się z tego, co dzieci umieją?

W tej chwili nie jesteśmy jeszcze szkołą, dzieci uczą się u nas na zasadach edukacji domowej. Wygląda to tak, że uczniowie są zapisani do szkoły i ta placówka organizuje raz w roku egzaminy. W klasach I–III to jeden test, który różni się w zależności od polityki szkoły. Taki egzamin ma na celu sprawdzanie tego, co dziecko potrafi, czego nauczyło się przez ten rok. W klasach IV–VI i powyżej są to egzaminy z poszczególnych przedmiotów. W zależności od tego jak się ze szkołą dogadamy, egzaminy mogą się odbywać na przykład co dwa miesiące, nie wszystkie na raz. Jest to jedyna państwowa forma sprawdzenia wiedzy i umiejętności. Ponieważ w klasach I–III nie ma czegoś takiego jak promocja, dziecko przechodzi dalej z takimi umiejętnościami jakie osiągnęło. Powyżej III klasy, od tego na ile dziecko zda egzamin, zależy to czy przejdzie dalej. My organizujemy dzieciom takie formy sprawdzania wiedzy, które opierają się na podstawie podchodów czy różnych gier, ale też uczymy je, aby same sprawdzały swoją wiedzę. Dla chętnych wprowadziliśmy też cotygodniowe prezentacje tego, czego się nauczyły, nad czym przez ten tydzień pracowały.

Jak uczycie dzieci samo sprawdzania wiedzy?

W ubiegłym roku dzieci miały swoje teczki i tam wkładały karty pracy, a kiedy zbliżał się egzamin, sprawdzały co już z danego materiału potrafią, a czego jeszcze nie. W tym roku chcielibyśmy jeszcze wprowadzić segregatory z materiałami, aby mogły na bieżąco sprawdzić, co jeszcze zostało do opanowania. Na zajęciach z pisania czy angielskiego dzieci nawzajem sprawdzają sobie, co jest dobrze napisane. Potrafią też pytać siebie nawzajem, jeśli czegoś nie wiedzą. Mamy maszynę do pisania i pamiętam jak dali mi pierwszą zapisaną kartkę. Było tam strasznie dużo błędów, więc zaproponowałam im, żeby postarali się robić mniej błędów, bo oduczenie się pisania z błędami zajmie im więcej czasu niż nauczenie się od razu poprawnej pisowni. W tej chwili nie pytają już jak pisze się jakiś wyraz wyłącznie mnie, ale także siebie nawzajem lub sprawdzają w słowniku ortograficznym. Przy okazji uczą się jak samodzielnie można coś sprawdzić. Korzystają też z Internetu i uczą się zadawać pytania w taki sposób, żeby znaleźć interesującą je odpowiedź. Co tydzień chodzimy do biblioteki, pytam, czego chcieliby się nauczyć i szukamy odpowiednich książek. Gdy szliśmy na wycieczkę do lasu, sami znaleźli w bibliotece przewodniki, które ich interesowały, co pokazuje, że potrafią przygotować się do tego, czego chcą się uczyć. Nie daję im książek i nie mówię: „no, to teraz strona ta i ta, zadanie to i to". Pytam jakie tematy są dla nich ważne, interesujące. A kiedy podają jakiś temat, od razu zastanawiam się jak w to wpleść wszystkie umiejętności, które mamy ćwiczyć, na przykład pisanie czy liczenie. Ważne jest też pokazywanie, że właśnie teraz się jakiejś umiejętności uczą, bo zapytani czego się ostatnio uczyli, mówią: „przecież się nie uczyliśmy". Nie mają standardowych lekcji, więc myślę, że ważna jest, zwłaszcza dla starszych dzieci, świadomość, że nabywają nowe umiejętności.

Ciekawa jestem jak się odnajdują w Waszej szkole dzieci, które były już wcześniej w szkole systemowej i nagle trafiły do takiej szkoły, w której to wszystko wygląda zupełnie inaczej?

Dzieci różnie reagują. Niektóre przez pierwsze dwa miesiące mówią, że jest nuda, bo nikt im nie mówi, co mają robić. Jak ktoś im proponuje zajęcia o pisaniu, to nie chcą tego robić. Widać, że są do wielu rzeczy zniechęcone, doświadczyły już porażki i teraz nie wiedzą, co mogą zrobić a czego nie i czy jak coś zrobią źle, to zostaną ocenione. U jednych jest to okres zagubienia, a u innych testowania wszystkiego i sprawdzania granic. Albo zadawania pytań: czy ja muszę? A jeśli nie muszę, to co mam zrobić? Czy naprawdę mogę odmówić? Były takie dzieci, które przez jakiś czas nie chciały nic robić, ale zadziało się to dopiero po pół roku mrówczej pracy i robienia wszystkiego, co się pojawiło. Dopiero wtedy odkrywały, że mogą odmówić i korzystały z tego, kiedy tylko mogły. Przy czym okazywało się, że było im to bardzo potrzebne, bo przez to nauczyły się czegoś innego, co było dla nich trudne. Dzieci przechodzą przez te zmiany różnie w zależności od tego jakie miały wcześniej

doświadczenia. Teraz jest z nami chłopiec, który w poprzednim przedszkolu doświadczał wielu porażek, było mu bardzo trudno z faktem, że musiał różne rzeczy robić, mimo że nie miał ochoty, a teraz widać u niego rozkwit tego uczucia: ja mogę doświadczać też sam i sam decydować. Ten chłopiec teraz częściej się uśmiecha, jest twórczy, ale dalej potrafi powiedzieć, że nie umie czegoś zrobić, po czym okazuje się, że świetnie pisze wszystkie literki, ale wyniósł z poprzedniego przedszkola przekonanie, że tego nie umie, bo ktoś go tak ocenił i tak mu powiedział. Bywa, że dzieci czują się zgubione, bo nasz rytm jest zupełnie inny od poprzedniego. Odnalezienie się w nowym miejscu, w którym o wiele więcej można, bywa trudne, ale kiedy już się w tym odnajdą, to widać jak rozkwitają. Zaczynają korzystać ze swoich własnych zasobów, a nie z tych, o których posiadaniu czy braku ktoś im kiedyś powiedział. I to jest chyba najpiękniejsze do obserwacji w tych dzieciach.

Czy polscy rodzice są zainteresowani taką formą edukacji?

Osobiście obserwuję u rodziców pewien rodzaj tęsknoty za kontaktem z naturą, za relacjami opartymi na kontakcie, bliskości i myślę, że tacy rodzice do nas trafiają. Tacy, którzy uważają, że szkoła systemowa nie zaspokaja potrzeb dzieci, zwłaszcza na etapie przedszkolnym i klas I–III. Powstaje coraz więcej przedszkoli leśnych, a element kontaktu z naturą staje się coraz ważniejszy. Myślę, że takich ludzi jest dużo, tylko wcześniej nie słyszeliśmy o nich, bo nie było alternatywy. Czasami są to rodzice, którzy mają wolny zawód i widzą wartość w tym, żeby dawać dzieciom więcej wolności i wyborów. Mamy też takich rodziców, którzy doświadczyli tego, że sami najwięcej nauczyli się wtedy, kiedy chcieli, a nie kiedy musieli, więc szukają podobnej edukacji dla dziecka.

A czy rodzice mają jakieś obawy przed posłaniem dziecka do szkoły, w której ono samo decyduje czego się uczy?

Czy moje dziecko będzie chciało się uczyć czy będzie się tylko bawić? A jak sprawdzimy wiedzę? Czy ono sobie poradzi w dzisiejszym świecie? A co z liceum? A co ze studiami? Pracą? To są pytania, z którymi się spotykamy. Chcemy odpowiadać na potrzeby edukacyjne aż do liceum, do czasu matury. Mimo wszystko, studia są bardziej wolnościowe niż wcześniejsza edukacja. Obserwujemy w świecie taką tendencję, że dzieci po podobnych szkołach radzą sobie o wiele lepiej, bo uczą się czym jest wspólnota, relacja oparta na zaufaniu, na wspieraniu, na otwartości, na tym, że odmawiając, nie stracę na wartości u drugiej osoby. W moim odczuciu, one uczą się jak budować społeczność i jednocześnie jak rozwijać siebie. Być może te dzieci nie będą pracować w korporacjach, ale założą swoje kreatywne działalności w różnych dziedzinach.

A co jeśli moje dziecko dojdzie w takim systemie do szóstej klasy, a potem nie będzie już kontynuacji, więc będzie musiało pójść do gimnazjum systemowego? Czy ono tam nie zginie?

Z pewnością doświadczy zupełnie innego podejścia i będzie potrzebowało czasu, aby się odnaleźć, bo różnic jest wiele. Mamy jednak nadzieję, że to doświadczenie w szkole wolnościowej na tyle wzmocni dziecko, że przy odpowiednim wsparciu rodziców, poradzi sobie. Zwłaszcza że będzie umiało asertywnie odmawiać i komunikować się z innymi dziećmi. Pytanie – jak nauczycielom i rówieśnikom będzie z takim dzieckiem? Obserwując jednak rozrastający się nurt edukacji alternatywnej, jestem spokojna o to, że będzie coraz więcej możliwości wyboru. Już teraz w Polsce są szkoły demokratyczne, które przyjmują starszych uczniów, aż do matury. Starsze dzieci są bardziej odpowiedzialne za to, czego się uczą, są w stanie to ogarnąć i zaplanować. Wiadomo, że gimnazjalista w inny sposób niż licealista, bo inny jest też rodzaj pracy z takim dzieckiem. Kolejne etapy alternatywnej edukacji są ważne, nawet nie dlatego, żeby uniknąć pójścia do systemowej szkoły, ale żeby rozwijać się w tym nurcie jak najdłużej. Wiemy, że to sprzyja rozwojowi człowieka i dlatego, chcemy tę ciągłość zachować. Jesteśmy otwarci na przyjmowanie dzieci w różnym wieku, ponieważ to dla nas możliwość do sprawdzenia się i rozwoju, bo my rozwijamy się wraz z dziećmi, które do nas przybywają. To fascynujący rodzaj pracy dla mnie jako mentora. Uczę się nowych rzeczy od dzieci, one uczą się ode mnie. W tego typu szkole nawiązujemy relację ze sobą i dużo o sobie wiemy. Wiem o tych dzieciach wiele, bo obserwuję je przez cały dzień. Zresztą, nie tylko ja – jesteśmy grupą mieszaną i mamy w tej chwili kadrę składającą się z trzech osób. Mamy więc informacje o dziecku pochodzące z różnych źródeł i zaobserwowane w różnych działaniach, nie tylko w jednym i w ławce. To jest taka baza informacji, którą trudno znaleźć w klasie.

W jakie kompetencje powinien być wyposażony mentor?

Myślę, że doświadczenie czy studia pedagogiczne są ważne, ale najważniejszą rzeczą jest wewnętrzna dojrzałość, świadomość siebie i pasja do tego, co się robi. Uczymy się od siebie nawzajem, więc nie wszyscy muszą mieć

te same studia i te same umiejętności, wręcz dobrze, kiedy mamy je różne. Kolega jest muzykiem i wcześniej pracował głównie indywidualnie, ja pracowałam grupowo i z różnymi wiekowo dziećmi, artystycznie. Wymieniamy się tymi doświadczeniami i umiejętnościami. Ważne jest to, że jesteśmy pasjonatami. Dbamy o rozwój osobisty po to, żeby być świadomym, dobrym dorosłym, który pokaże też przy okazji jak żyć i jakie można wybrać drogi w życiu. Bardzo ważne jest, żeby robić w życiu to, co się kocha. Myślę, że to jest najważniejsze poza wykształceniem, bo wykształcenie zawsze można zdobyć, można się doszkolić, ale najważniejsza jest mądrość życiowa. Pracując z dziećmi uczymy się komunikować i porozumiewać bez przemocy – ważne, by to rozwijać. Warto uczyć siebie i dzieci języka empatii, bo dzięki temu wzmacniamy poczucie społeczności, ale też różnorodności, tego że ty możesz być inny ode mnie i nie musimy ze sobą walczyć, krzywdzić się czy odrzucać nawzajem. Jeśli będę świadomym swoich możliwości, pasji, zasobów i braków dorosłym, to będę wzmacniać w dzieciach ich samodzielny rozwój i tworzyć przestrzeń na to, co w tym dziecku naprawdę drzemie, zamiast projektować co powinno umieć, kim być i jak osiągać swoje cele.

Przystałam na propozycję dzieci, aby założyć hodowlę ślimaków. Przygotowanie domków z różnych pudełek i pojemników nie sprawiło nam kłopotu, bo mamy w klasie „magiczne pudło" ze wszystkim, co zbędne w domu, a nam się przyda. Wybraliśmy się na poszukiwania i udało nam się kilka ślimaków znaleźć. Na drugi dzień dzieci przyniosły więcej. Niektórzy rodzice zostali „zmuszeni" do spaceru z dzieckiem. Po dwóch dniach dzieci jednak stwierdziły, że ślimaki są nieszczęśliwe, bo nie czują trawy, ziemi i nie widzą nieba... Postanowiły je wypuścić.

Małgorzata Filbrandt
Szkoła Podstawowa Zespołu Szkolno-Przedszkolnego
w Marzęcinie

Znad Zalewu Wiślanego nadciągały gęste, kłębiaste chmury. Szybko przepływały nad naszymi głowami. Rozsiedliśmy się, gdzie kto mógł i przez około 30 minut, dzieci miały za zadanie bacznie przyglądać się niebu i obserwować co się na nim dzieje. Potem na podstawie kształtów chmur powstawały różne historie, których głównymi bohaterami były postaci czy rzeczy dostrzeżone na niebie. Opowieściom nie było końca. To było niezwykłe doświadczenie dla mnie i dla dzieci: po pierwsze – wyobraźnia dziecięca przeniosła nas w przeróżne miejsca, po drugie – okazało się, że każdy widział coś innego w tej samej chmurze, po trzecie – dzieci uważnie słuchały swoich kolegów z ciekawości o czym będzie jego czy jej historia. Dzieci same wyciągnęły wnioski: Nie myślałem, że umiem coś takiego wymyśleć. To fajny pomysł na zabawę „W wyobraźnię" podczas drogi, gdy jadę samochodem i się nudzę. Czy w szkole możemy zrobić zajęcia plastyczne i farbami namalujemy chmurne opowieści? Jakby spisać to, co usłyszeliśmy, powstałaby fajna książka. Uważnie, ale z uśmiechem, wsłuchiwałam się w wypowiedzi dzieci, a w mojej belferskiej głowie powstawały konspekty zajęć polonistycznych i społecznych. Potrzebowałam takiej inspiracji, aby tworzyć nie tylko ciekawe lekcje, ale takie by były częścią dzieła dzieci.

Dorota Życzkowska
Szkoła Podstawowa nr 18 w Elblągu

BADANIA PO SZNURZE

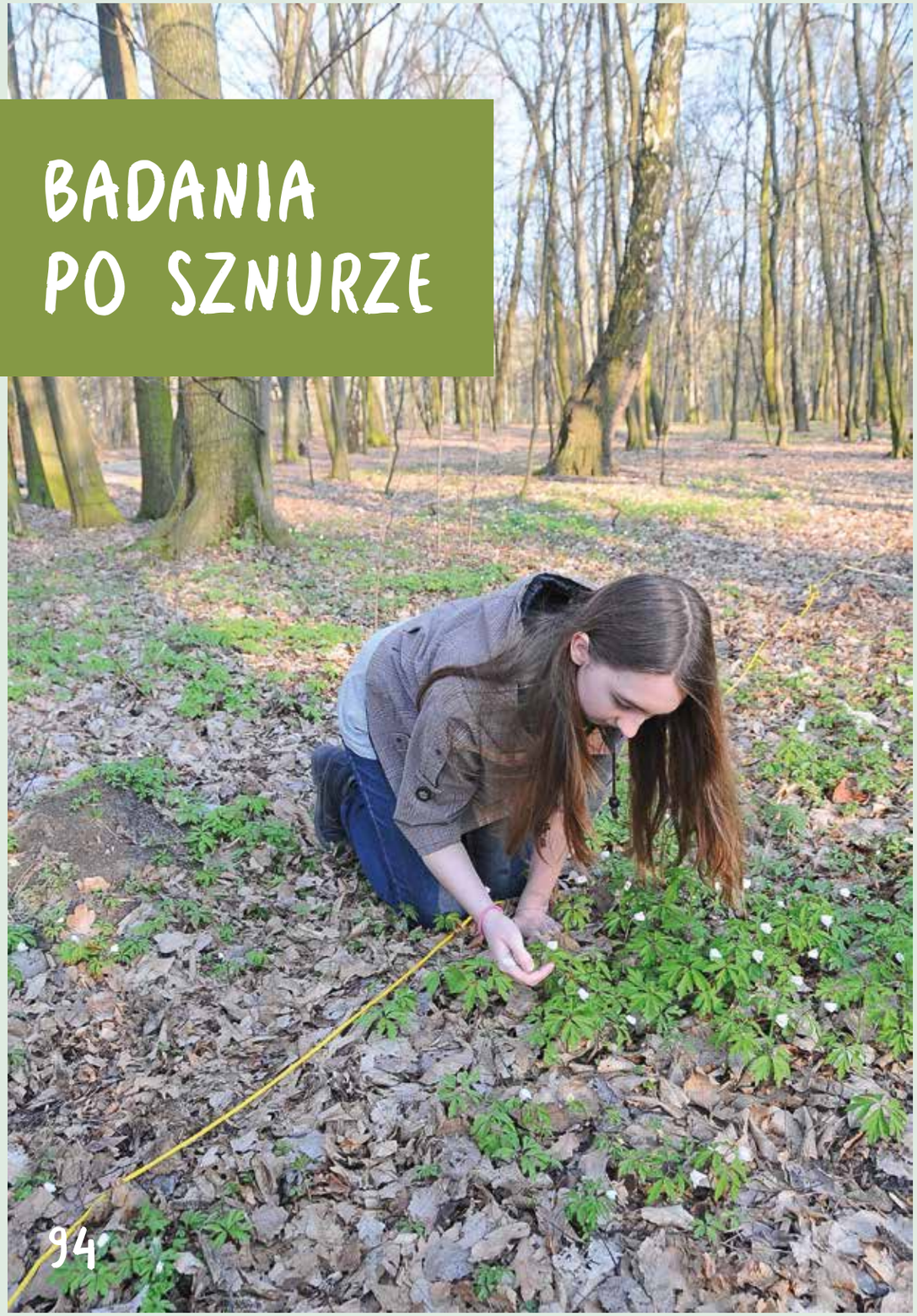

Zadanie można przeprowadzić pojedynczo, w parach lub małych zespołach do 4–5 osób. Najważniejszym elementem tego ćwiczenia jest zaciekawienie światem maleńkich stworzeń i roślin, który znajduje się pod naszymi stopami i często nie zdajemy sobie sprawy jak bogate życie się tam toczy. Każda osoba/grupa otrzymuje lupę, kartkę i ołówek do notatek oraz sznurek długości ok. 10 metrów, na którym w równych odległościach zawiązanych jest 5–10 węzłów. Dzieci rozkładają sznurek w linii prostej na ziemi. Zadaniem dzieci jest dokładnie przyjrzeć się ziemi w promieniu około 20 cm od każdego węzła i zanotować obserwacje. Jakie zwierzęta zauważyły, jakie rośliny, czy było tam coś nietypowego, jak wyglądała gleba. Po obejrzeniu okolic wszystkich węzełków prosimy o dokonanie porównania. Czy okolica któregoś z nich wyróżniała się, a może zmiana nastąpiła od któregoś węzła, co się zmieniło?

KTO ZOBACZY W LESIE DZIKA...?

z MACIEJEM MROZOWSKIM

ROZMAWIA ANNA CHOMCZYŃSKA

„To na nas, dorosłych, spoczywa odpowiedzialność za to, żeby przyswajać dzieciom tę przestrzeń [las], żeby pokazywać im, że my też jesteśmy częścią ekosystemu globalnego na planecie Ziemia". Z Maciejem Mrozowskim, pedagogiem, miłośnikiem leśnych przedszkoli, pracującym w przedszkolu waldorfskim w Krakowie, rozmawia Anna Chomczyńska.

Anna Chomczyńska: **Coraz częściej spotykam się z artykułami, książkami i teoriami, mówiącymi o potrzebie spędzania większej ilości czasu przez dzieci w przyrodzie, dlatego zainteresowała mnie koncepcja przedszkola zlokalizowanego w lesie. Wiem, że spędziłeś trochę czasu w Niemczech w takich placówkach. Opowiedz, proszę, jak wygląda leśne przedszkole?**

Maciej Mrozowski: To zależy od formy jaką dana placówka i osoby ją tworzące obiorą. Zazwyczaj jest to wydzielona przestrzeń w lesie lub ogólnie w przyrodzie, na przykład łąka czy polana zaadaptowana w odpowiedni sposób do działań pedagogiczno-wychowawczych odbywających się w ciągu dnia. Formy organizacji czasu też są różne. Może być tak, że dzieci cały czas są w lesie, ale może to również być forma mieszana, w ramach której dzieci część dnia spędzają w budynku, ale wychodzą minimum na trzy godziny dziennie na zewnątrz. Zazwyczaj w przestrzeni leśnej wydzielonej na potrzeby przedszkola nie ma budynków, często natomiast jest szałas, jurta lub barakowóz, z którego mogą korzystać zarówno dzieci, jak i pedagodzy. Trudno sobie wyobrazić, żeby dzieci jadły na zewnątrz podczas ulewy albo żeby siedziały w lesie podczas wichury, więc takie pomieszczenie jest potrzebne. Służy ono również jako magazyn, w którym przechowywane są materiały dydaktyczne.

A jeśli chodzi o samą lokalizację przedszkola? Czy są to przedszkola wiejskie, bo na wsi bliżej jest do lasu czy w miastach też można posłać dziecko do leśnego przedszkola?

W tym wypadku też nie ma reguły. Przedszkola leśne często znajdują się blisko miast i terenów zabudowanych. Myślę, że właśnie w przestrzeni miejskiej, gdzie dzieci mają ograniczony kontakt z przyrodą, są one bardzo potrzebne. Zazwyczaj przestrzeń na przedszkole wydziela się, konsultując miejsce z władzami miasta. Taki teren jest sprawdzany pod względem bezpieczeństwa przez odpowiednie służby leśne, które dopuszczają go do użytkowania. Znajduje się on również pod stałą opieką służb, które na przykład po każdej wichurze sprawdzają czy nie ma nadłamanych gałęzi, które mogłyby zagrażać dzieciom.

Co odróżnia leśne przedszkole od przedszkola w budynku?

Hałas [śmiech]. Pamiętam swój pierwszy dzień w leśnym przedszkolu. Wychodząc z przedszkola uświadomiłem sobie, że nie boli mnie głowa. Pomimo dużego natężenia zabawy, dzieci mogły śpiewać, krzyczeć, bawić się swobodnie, a ja na tym nie ucierpiałem. A skoro ja nie ucierpiałem, to dzieci także. Musimy pamiętać, że natężenie hałasu, intensywność otoczenia, bardzo mocno oddziałuje na dzieci. Tam nie ma ścian, od których odbija się dźwięk. Dzięki temu mój komfort pracy został zachowany. Jeżeli jestem zmęczony, boli mnie głowa, to zaczyna się we mnie rodzić frustracja, napięcie i mogę zacząć krzyczeć na dzieci, strofować je, powiedzieć na przykład: „teraz ma być cisza, idziemy do stolika i rysujemy", nie zwracając uwagi na to, że dzieci mają inną potrzebę, a takie działania niestety są dość powszechne. W lesie jest przestrzeń na dziecięcą radość i entuzjazm, które zazwyczaj są głośne. Jeżeli mamy 15 albo 20 dzieci w zamkniętej przestrzeni to przyzwolenie na ten głośny entuzjazm towarzyszący zabawie będzie miało z pewnością trudne skutki dla nauczyciela. Poza tym dziecko w leśnym przedszkolu może realizować swoją najważniejszą potrzebę na tym etapie rozwojowym – potrzebę nieskrępowanego, różnorodnego ruchu. Nie musi siedzieć w ławce, bo na przykład teraz mamy rysowanie, za chwilę będziemy się uczyć czegoś, potem będziemy robić wycinanki, albo przyjdzie pani/pan od rytmiki, a potem jemy obiad. Zamknięta przestrzeń i aktywności organizowane często przy stolikach wymagają siedzenia – „bezruchu", którego dzieci nie są w stanie znieść, bo potrzebują wyrzucić z siebie ten ogrom energii, który mają. Wiek od 0 do 7 lat, to najintensywniejszy okres rozwojowy człowieka. Wtedy kształtują się organy, następuje intensywny wzrost, tworzą się połączenia neuronalne w mózgu... Jeśli tam w środku wszystko jest w nieustannym i tak intensywnym ruchu, to dziecko tylko i wyłącznie odzwierciedla na zewnątrz procesy w nim zachodzące. Dlatego one tyle się ruszają i tak bardzo tego potrzebują.

A właściwie dlaczego wysyłać dzieci do lasu? Czy przebywanie w lesie dostarcza im konkretnych korzyści pomocnych w prawidłowym

rozwoju? Czy rodzice posyłający swoją pociechę do leśnego przedszkola mogą być spokojni o to, że poza bieganiem przez cały dzień z patykiem, dziecko czegoś się nauczy?

To bardzo ważne, żeby uświadomić rodzicom, że przestrzeń lasu nie pozbawia ich dziecka możliwości nabywania pewnych umiejętności, kompetencji czy wiedzy o świecie. Wręcz przeciwnie, las jest na tyle bogatym środowiskiem, że dziecko na każdym kroku ma okazję do badania świata. Nawet nie chodzi o sam aspekt badania organizowanego jako aktywność dydaktyczna, ale bardziej o wyzwolenie w dziecku chęci badawczej, chęci do odkrywania, zadziwienia tym, co widzi dookoła. To kształtuje w nim postawę badawczą, tak niebywale potrzebną w okresie szkolnym. Dzieci w wieku przedszkolnym mają naturalną potrzebę eksploracji rzeczywistości, głównie przez przekształcanie jej, eksperymentowanie. Świat poznają w toku aktywności własnej, polisensorycznie i na konkretnym materiale – potrzebują dotknąć, powąchać, zobaczyć, poczuć... Ten etap w rozwoju nazywa się rozwojem konkretno-obrazowym. Jeżeli my, dorośli ograniczamy ich możliwości poznawania świata, na przykład cały czas sadzając dzieci przy stoliku i wymyślając im zadania polegające na rysowaniu i oglądaniu obrazków, w momencie kiedy one potrzebują się ruszać i doświadczać, to blokujemy w nich ten naturalny pęd do poznawania rzeczywistości. Drugą niezwykle istotną dla mnie rzeczą jest fakt, że dziecko w wieku przedszkolnym, czyli w okresie złotego wieku ruchu i równowagi, potrzebuje stale być w ruchu, który jest jego podstawową potrzebą na tym etapie rozwojowym. To, że dziecko może skakać, biegać, wspinać się, turlać, kucać, wchodzić w różne zakamarki, przeciskać się jest bardzo istotne, bo dzięki temu nabywa ono świadomość własnego ciała i umiejętności planowania ruchu w przestrzeni. Ruch stymuluje również różne ośrodki w mózgu odpowiedzialne za uczenie się, koncentrację i umiejętność utrzymania uwagi. To wszystko wpływa bardzo harmonizująco na rozwój dziecka, przygotowuje je do późniejszych zadań na etapie szkoły. Poza tym w zróżnicowanym, obszernym i nieustrukturyzowanym otoczeniu leśnym, dzieci nieustannie ćwiczą koncentrację uwagi (w czasie niemal każdego wykonywanego ruchu), spostrzeganie, które odbywa się podczas stałej obserwacji zmiennego świata przyrody, pamięć, uzależnioną od dwóch poprzednich funkcji poznawczych oraz myślenie – dzięki niezwykle dużej ilości napotykanych na łonie przyrody problemów (zarówno motorycznych, jak i stricte kognitywnych). Powinniśmy również pamiętać, że czas przedszkolny to budowanie

nawyków, często na całe życie. Jeśli dziecko będzie wzrastało w przekonaniu, że świat przyrody to poniekąd jego dom, jako dorosły będzie z szacunkiem odnosiło się do tego świata.

Czy pozytywny wpływ przebywania w przyrodzie na dzieci widać? Można go zaobserwować?

Zdecydowanie tak. Taką zmianę zachodzącą w dzieciach na skutek przebywania w lesie miałem okazję zaobserwować, organizując półkolonie leśne, podczas których spędziliśmy z dziećmi w lesie dwa tygodnie. Na początku, w momencie kiedy wchodziły do lasu, nie widziały w nim absolutnie nic. Skupiały się tylko na tym, żeby przejść jak najszybciej z punktu A do punktu B. Ewentualną atrakcją było jeszcze znalezienie po drodze jakiegoś patyka, żeby nim pomachać jak rycerskim mieczem. Dopiero z czasem dzieci zaczęły dostrzegać świat, który jest wokół nich, zaczęły zwracać uwagę na szczegóły, wołały: „panie Maćku, tu jest pajączek!", „tu chyba ktoś mieszka", „proszę zobaczyć jakie drzewo". To było niesamowite obserwować jak dzieciaki z każdym krokiem, z każdym dniem coraz więcej zauważają i odkrywają. Zatrzymują się, żeby coś zobaczyć, poznać. Poza tym zwróciło moją uwagę to, że wchodząc do lasu były... „bardziej na zewnątrz" – tak bym to nazwał – to znaczy trochę hałaśliwe, niezwracające na nic uwagi, nie do końca skoordynowane. Mam wrażenie, że po jakimś czasie ta przestrzeń zadziałała na nie wyciszająco, pomogła im wejść w siebie, między innymi dzięki temu, że cały czas czuły swoje ciało: idą, potykają się, podnoszą ciężką gałąź, głaszczą drzewo, doświadczają siebie w świecie. Dzięki temu ćwiczą również koncentrację uwagi, zaczynają skupiać się na szczegółach. Nagle okazuje się, że jeden liść ma wiele kolorów, że w porównaniu z innym liściem można zauważyć różnicę kształtów, kolorów i faktury.

A miałeś jakieś konkretne, jednostkowe przykłady wpływu lasu na dziecko?

Miałem takie doświadczenie z dziewczynką, która miała różne deficyty z obszaru ruchu, równowagi i koordynacji ruchowej. To było niewiarygodne patrzeć na nią: każdego dnia wynajdowała sobie przedmioty w otaczającej przestrzeni po to, żeby ćwiczyć koordynację, czyli pracować dokładnie nad tymi trudnościami, które miała. Bardzo często widziałem ją, jak wchodzi na duży pień drzewa, albo chodzi po takiej „leśnej równoważni" – dużym powalonym konarze. Czasami próbowała coś przeskakiwać. Samo podłoże w lesie

jest nierówne, co zmuszało ją do balansowania, podskakiwania. Właściwie nie trzeba było organizować specjalnych, dodatkowych zajęć, aby z nią ćwiczyć, bo sama przestrzeń działała na nią i dawała jej to, czego potrzebowała w tym momencie dla swojego rozwoju. Zaspokajała jej potrzeby i jednocześnie dawała możliwość mierzenia się z trudnościami, które miała. Widzący te trudności pedagog, może z pewnością wykorzystać takie otoczenie do świadomej pracy w obszarze koordynacji ruchowej czy integracji sensorycznej.

Wspomniałeś o materiałach, w przedszkolach zazwyczaj jest dużo różnych zabawek i pomocy dydaktycznych – czy w lesie również to wszystko jest potrzebne?

Byłem w dwóch leśnych przedszkolach w Niemczech, we Freiburgu i w Poczdamie. W tym pierwszym nie było żadnych konkretnych zabawek: statków, samolotów, klocków. W zasadzie sama przestrzeń lasu i to co dzieci tam znajdują, wystarczała do tego, żeby mogły kreatywnie i twórczo spędzać czas. To jest fenomenalne, bo musimy pamiętać, że świat dziecka w momencie rozwoju przedszkolnego to fantazja, nieograniczona wyobraźnia. Jeżeli damy mu materiał, który ma ograniczoną formę i jest zadedykowany do konkretnego użycia, tak jak lalki, samolot czy statek, to dziecko zazwyczaj używa go zgodnie z przeznaczeniem. Natomiast jeżeli dziecko jest pozbawione takiej możliwości to w jego świecie wszystko może być wszystkim. Dziecko może dzięki swojej wyobraźni zamienić kawałek drewienka, deseczki, kamień we wszystko, co jest mu potrzebne w danym momencie do zabawy. Na przykład w tej chwili bawi się w rycerza i patyk jest jego mieczem, ale w następnej – potrzebuje łyżki do mieszania zupy i ten sam patyk może pełnić również taką funkcję. Natomiast kiedy trzyma gotowy miecz to raczej nie użyje go do mieszania wymyślonej zupy. Z jakiegoś powodu tak to działa, nie wiem dlaczego, ale nigdy nie zauważyłem, żeby samochód czy samolot był wykorzystywany przez małe dziecko do czegoś innego. To także interesujące w kontekście rozwoju twórczego myślenia, bo dzięki temu świat dziecka nie jest sprowadzany do pojęcia, do konkretnej rzeczy – ilość rozwiązań jest nieograniczona.

A co z podstawą programową? Czy w lesie jest też przestrzeń do uczenia takich rzeczy jak pisanie i liczenie?

Wszystko da się zrobić, jeżeli tylko się chce.[śmiech] Każda placówka przedszkolna musi mieć spisany program przedszkola, określone cele, które będą realizowane przez cały rok, co dotyczy również leśnych przedszkoli. We Freiburgu codzienny cykl zajęć obejmował zajęcia przygotowujące do podjęcia nauki w szkole, tak zwaną zerówkę. Na czas zajęć był rozkładany stolik i ławy, czasami dzieci uczyły się w barakowozie. Poza tym w lesie można z dziećmi liczyć, porównywać, różnicować, klasyfikować, robić operacje na zbiorach, a więc tworzyć sytuacje, w których realizowane są zadania zawarte w podstawie programowej, która notabene w naszym kraju dość często się zmienia. W tej chwili wygląda to tak, że za naukę czytania i pisania jest odpowiedzialna szkoła i moim zdaniem, tak to powinno wyglądać, gdyż przedszkole przeznaczone jest do zupełnie innych zadań rozwojowych dziecka. Ale to oczywiście może ulec zmianie.

W takim razie jakie są cele przedszkola? Na co powinno zwracać się szczególną uwagę na tym etapie rozwoju?

To, co jest ważne z punktu widzenia rozwoju dziecka na tym etapie, poza rozwojem społeczno-emocjonalnym i poznawczym, to rozwój małej i dużej motoryki. Oprócz korzystania z przyborów do pisania, powinno się zwracać uwagę na rozwój koordynacji, równowagę, ruch, bo tak naprawdę ćwiczenie tych umiejętności wpływa w bezpośredni sposób na późniejszą naukę w szkole, jak również na prawidłowe funkcjonowanie na co dzień. Tutaj odwołuję się do obszarów układów sensorycznych – im więcej nieinwazyjnych, zróżnicowanych jakościowo bodźców dziecko odbiera na tym etapie rozwoju, tym sprawniej jego mózg uczy się je przetwarzać. To procentuje, bo właśnie dzięki temu dzieci później nie mają trudności, żeby usiedzieć w ławce, dobrze czytać, pisać, biegać tak, aby się nie przewracać, potrafią wyczuć jakiej siły potrzeba, aby przesunąć czy podnieść jakiś przedmiot, nie poszukują mocnych wrażeń płynących z otoczenia – są gotowe do nauki. W zasadzie zadaniem przedszkola jest nie tylko przygotowanie dziecka do nauki w szkole, ale przede wszystkim wzmocnienie go na tyle, aby radziło sobie z podejmowaniem kolejnych wyzwań rozwojowych, które na nie czekają. Przedszkole nie jest po to, żeby dziecko idąc do szkoły umiało pisać i liczyć, tylko żeby idąc do szkoły, było gotowe, aby się tego wszystkiego nauczyć. Przez gotowość rozumiem nie tylko gotowość poznawczą, ale przede wszystkim społeczno-emocjonalną, umiejętność współpracy, słuchania, szacunku do pracy własnej i innych, otwartość i chęć do działania, do podejmowania wyzwań i umiejętność twórczego poszukiwania rozwiązań.

A co z bezpieczeństwem w lesie? Czy leśne przedszkole jest bezpieczne?

Z całą pewnością jest tak, że las może stwarzać więcej niebezpieczeństw niż sala w budynku, gdzie mamy większą możliwość kontrolowania tego, co się dzieje dookoła. Z drugiej strony nie powiedziałbym, że w standardowym przedszkolu nic się dziecku nie może stać, tam też może się przewrócić, coś może na nie spaść. W lesie natomiast różnorodne środowisko sprzyja uważności dziecka, jest ono bardziej wyczulone na to, co dzieje się dookoła, na to, że teren jest nierówny i trzeba bardziej kontrolować ruch podczas biegu i skakania. Oczywiście może się zdarzyć, że się przewróci, ale to może się zdarzyć wszędzie. Upadki są potrzebne, bo dzięki nim uczymy się wstawać. Mam wrażenie, że istotna jest tutaj rola dorosłego, który powinien mieć dystans do tego, że dziecko przebywa w lesie, chodzi po konarach i pieńkach. Jeżeli opiekun ma zaufanie do siebie i dziecka, jest uważny, ale nieprzepełniony lękiem, to z mojego doświadczenia wynika, że nic się dzieciom nie dzieje. Nie znaczy to, że wychowawca zwolniony jest od odpowiedzialności. Wręcz przeciwnie. Ze względu na otoczenie, powinien on pokazywać dzieciom odpowiednie, bezpieczne zachowania: nie biegamy z patykami, nie machamy nimi, są drzewa, na które się nie wspinamy, nie obrywamy roślin, jagód. Dzieci szybko się uczą i potrzebują jasno określonych granic do przestrzegania. Dzięki temu, że dorośli potrafią stworzyć dzieciom bezpieczną przestrzeń do tego, aby się wspinać, wskakiwać, schodzić, one są w stanie zbudować pewność siebie, która wynika z poczucia, że „ja potrafię". Poczucie własnej wartości zbudowane na doświadczeniach dziecka jest bardzo ważne, żadne słowa wsparcia od dorosłego nie zastąpią własnych osiągnięć, tego, że dziecko sprawdziło, że potrafi przeskoczyć pieniek, dało radę coś podnieść, przejść po powalonym drzewie i się nie przewróciło. Tak naprawdę to jest podstawą umiejętności radzenia sobie z późniejszymi problemami, które będą trudniejsze. Bezpieczeństwo wynika również ze świadomości siebie u obu stron, pedagoga i dziecka. Świadomość pedagoga opiera się na znajomości dzieci i ich możliwości, ale też na zapewnieniu bezpieczeństwa, na przykład podczas wichury. Ważna jest też świadomość rodziców, którzy wiedzą, że dziecko może mieć kleszcza i po każdym powrocie do domu trzeba je obejrzeć, że do lasu musi mieć odpowiednie ubranie. Nie bałbym się też zarazków i bakterii, bo tak naprawdę przebywanie na świeżym powietrzu wzmacnia system immunologiczny, buduje zdrowie i odporność dziecka na przyszłość.

A spotkanie z dzikim zwierzęciem? Hipotetyczna sytuacja: jesteś z dziećmi w lesie i do waszego przedszkola przychodzi dzik, co wtedy?

„Kto spotyka w lesie dzika, ten na drzewo zaraz zmyka" (śmiech).

Ale taka sytuacja może w ogóle zaistnieć?

To jest dobre pytanie. Teoretycznie może, chociaż prawdopodobieństwo jest niewielkie. Dziki raczej nie atakują ludzi, podobnie jak inne zwierzęta. No chyba, że byłaby to samica z młodymi, a dzieci zaczęłyby wykonywać w jej kierunku jakieś niekontrolowane ruchy, ale trudno mi uwierzyć, że samica dzika z młodymi z własnej woli znalazłaby się w pobliżu gromadki krzyczących i biegających po polanie dzieci. Oczywiście w takim momencie ważna jest reakcja i spokój opiekuna, który będzie potrafił przekazać ten spokój dzieciom i odpowiednio zareagować. Niemniej jednak to zwierzęta boją się bardziej ludzi niż ludzie zwierząt i raczej unikają kontaktu z człowiekiem.

Czy miejsce wydzielone na przestrzeń przedszkolną w lesie jest w jakiś sposób ogrodzone?

Dziecko uczy się świata, a dorośli wyznaczają mu granice, w których jest bezpiecznie. Uczymy dzieci, żeby nie dotykały gorącego piekarnika. Tak samo działa to w przestrzeni lasu. W leśnych przedszkolach, w których byłem, nie było płotu. Granice wyznaczono w sposób umowny, sięgały do powalonego drzewa z jednej strony, a do rowu z drugiej.

I dzieci tych granic przestrzegają?

Oczywiście, że na początku dzieci próbują przekraczać granicę, ale po czasie to wejdzie w nawyk i wystarczy im wtedy przypomnieć: „słuchajcie, ale umawialiśmy się, że dotąd możecie chodzić, ale dalej już nie". Dzieci naprawdę słuchają dorosłych, wiedzą, że jeżeli jest postawiona konkretna granica, to trzeba jej przestrzegać. W grupach rozwojowych jest często tak, że starsze dzieci pilnują, żeby młodsze nie wychodziły poza obszar przedszkola. Spotkałem się też z umową: „możesz odejść tak daleko, żebyśmy się widzieli". To umowa, która wiąże się z zaufaniem – obdarzam dziecko zaufaniem i dzięki temu daję mu wolną przestrzeń do zabawy. Dziecko o tym wie i z tego korzysta w granicach, które zaznaczyłem i za każdym razem nie muszę mu o tym przypominać. Dzieci wiedzą, co im wolno, a czego nie.

Czy każde dziecko odnajdzie się w leśnym przedszkolu?

Trudność mogłyby mieć dzieci z niepełnosprawnością ruchową, na przykład z mózgowym porażeniem dziecięcym, chodzące o kulach albo jeżdżące na wózku. Ale to obszar specjalnych albo integracyjnych placówek. Mam wrażenie, że dzieci zawsze świetnie się odnajdują w każdej przestrzeni. Tylko pytanie czy każda przestrzeń jest taką, która buduje i wspiera ich harmonijny rozwój? Dziecko świetnie się odnajdzie również w supermarkecie czy na głośnym, tłocznym koncercie, gdzie jest dużo intensywnych bodźców, pewnie nawet będzie się dobrze bawić. Tylko pytanie jak to wpłynie na jego układ zmysłowo-nerwowy? Las czy przyroda jest przestrzenią dla każdego dziecka, przede wszystkim dlatego, że w harmonijny sposób wspiera jego podstawowe potrzeby rozwojowe. Ponadto jest to przestrzeń dla wszystkich, a nie dla wybrańców. Podobają mi się słowa Buddy: Las jest organizmem nieograniczonej życzliwości i dobrodziejstwa, który niczego nie żąda na swoje utrzymanie i hojnie rozdaje swe dary, daje schronienie wszystkim, nawet cień niszczącemu go drwalowi.

A czy dzieci nie boją się w lesie?

Jeśli się boją, to należałoby się zastanowić nad przyczyną tego strachu. Dziecko boi się czegoś, co wynika z jego wcześniejszego doświadczenia. Może mieć złe doświadczenie albo nie mieć w ogóle zbudowanego doświadczenia związanego z lasem, a wtedy może się bać lasu jako czegoś nieznanego. A może jak było w lesie, to opiekun na każdym kroku mówił: „tego nie dotykaj, bo się zatrujesz, pobrudzisz, skaleczysz, tu mieszkają groźne zwierzęta". Gdybym ja cały czas słyszał takie komunikaty, pewnie zbudowałoby to we mnie poczucie lęku i zagrożenia. Richard Louv w książce Ostatnie dziecko lasu pisał o lęku przed naturą wynikającym z deficytu kontaktu dzisiejszych dzieci z przyrodą. One często nie znają przyrody, boją się jej jako czegoś obcego, innego, nieznanego. W lesie dzieci są wystawione na różne warunki atmosferyczne, różne rzeczy się ruszają, jest inna gra świateł niż w mieście, są inne odgłosy, doznania sensoryczne, a to może w nich wyzwalać lęk. To na nas, dorosłych, spoczywa odpowiedzialność za to, żeby przyswajać dzieciom tę przestrzeń, pokazywać im, że my też jesteśmy częścią ekosystemu globalnego na planecie Ziemia.

Czy leśny nauczyciel powinien być wyposażony w jakieś dodatkowe umiejętności, poza standardowym przygotowaniem do pracy w przedszkolu?

Musi mieć pasję, zaangażowanie i chęć bycia z dziećmi w takiej przestrzeni, bo tylko wtedy świat, który pokazuje dzieciom, jest prawdziwy. Dzieci potrzebują prawdziwości, bo dzięki niej budują swoje poczucie bezpieczeństwa. Przygotowanie pedagogiczne jest bardzo ważne i potrzebne przede wszystkim po to, żeby wiedzieć czego z dzieckiem nie robić, czego unikać, co może się dla niego okazać za dużym wyzwaniem. Dodatkowe kompetencje, jak na przykład wiedza przyrodnicza na pewno mogą być przydatne, bo wtedy na więcej rzeczy możemy dzieciom zwrócić uwagę. Więcej im pokazać, podpowiedzieć nazwy różnych roślin, ptaków, coś o nich opowiedzieć, wiedzieć, gdzie w ogóle szukać gniazda jaskółki czy nory lisa. Ważna jest też świadomość, że nie wszystko, co wiem, muszę od razu dzieciom powiedzieć. Trzeba mieć wyczucie do tego, kiedy lepiej zadać im kilka pytań, nakierować je czy wręcz zamilknąć, zostawić, aby same odkryły, zaobserwowały. Często okazuje się, że milczenie jest cenniejsze od mowy.

Dzieci zachwycały się leżącym pniem drzewa odartym z kory, w którym były wyryte korytarze – wracały do tego miejsca kilka razy, przyglądały się mu uważnie, dotykały i mówiły, że to jest skarb.

Agnieszka Długołęcka
Zespół Szkół Społecznego Towarzystwa Oświatowego w Warszawie, Społeczna Szkoła Podstawowa nr 5

PODĄŻANIE ZA DŹWIĘKIEM

Zabawę przeprowadzamy w lesie. Na początku wyjaśnij uczestnikom, że ich zadaniem będzie samodzielne dotarcie do wybranego przez prowadzącego miejsca z zamkniętymi oczami – tylko na podstawie słuchu. Dźwiękiem, za którym mają podążać będzie odgłos uderzania kijem o pień drzewa. Wyjaśnij, że w tej zabawie każdy odpowiada za swoje bezpieczeństwo i nie jest ważny czas dotarcia do celu, ale uważna wędrówka przez las z zamkniętymi oczami. Poproś uczestników, aby oddalili się na pewną odległość w głąb lasu i zamknęli oczy. Kiedy usłyszą uderzenia o pień drzewa – rozpoczynają wędrówkę. Na koniec, stańcie w kręgu i podzielcie się wrażeniami z tego doświadczenia. Można wpływać na poziom trudności ćwiczenia, zmieniając częstotliwość uderzeń, odległość do przejścia czy warunki terenowe. Można również rozpocząć zabawę od ustawienia uczestników w linii, wzdłuż drogi leśnej – wtedy to prowadzący wybiera miejsce w lesie, z którego nadaje sygnał dźwiękowy.

LAS TO ANTIDOTUM NA WIELE FRUSTRACJI

Z RICHARDEM IRVINE'EM

ROZMAWIA MONIKA KOTULAK

Z Richardem Irvine'em, absolwentem Uniwersytetu w Oxfordzie, trenerem Leśnych Szkół z ponad dwudziestoletnim doświadczeniem w pracy terenowej rozmawia Monika Kotulak.

Monika Kotulak: Czym jest etos Leśnej Szkoły i czego można się w niej nauczyć?

Richard Irvine: Dyskusje nad definicją leśnej szkoły zajęły Społeczności Leśnych Szkół w Wielkiej Brytanii ponad dwadzieścia lat. Definicja ta brzmi następująco:

„Leśna Szkoła jest inspirującym procesem, który oferuje WSZYSTKIM uczniom regularne możliwości osiągnięcia i rozwijania pewności siebie i poczucia własnej wartości poprzez praktyczne uczenie się przez doświadczenie w lesie lub w środowisku naturalnym z drzewami. Leśna Szkoła jest wyspecjalizowanym podejściem do uczenia, zakorzenionym w edukacji leśnej i terenowej, uzupełniającym ją w szerszym kontekście".

Mam nadzieję, że to jasno pokazuje, że leśne szkoły są całościowym podejściem do edukacji terenowej z mocnym naciskiem położonym na rozwój całego dziecka, a nie tylko edukacją akademicką. W rezultacie, możemy uczyć niemal wszystkiego! Czasem łączymy naukę z tematami, o których uczymy się w szkole, na przykład z Rzymianami, siłą tarcia, siedliskami, tym jak rosną rośliny. To wymaga od nauczycieli posiadania wyobraźni, a także współpracy z innymi nauczycielami uczącymi klasę w celu połączenia obu podejść [terenowego i teoretycznego – przyp. red.].

Co ważniejsze, wiele naszych działań inicjują dzieci. Dzieje się to dzięki obserwowaniu ich, podążaniu i kierowaniu ich zainteresowaniem w czasie, kiedy możemy zaangażować do nauki wewnętrzną motywację dzieci. Etos to dziecko postawione w centrum, brak osądzania, holistyczne podejście stwarzające okazję do swobodnej zabawy. Trudno to opisać słowami, ale łatwo rozpoznać, kiedy już widzimy ten stan.

Pracujecie z drewnem, ogniem, materiałami potencjalnie niebezpiecznymi, jak radzą sobie z tym dzieci, a jak rodzice? Przygotowujecie dzieci do tej pracy? Podobają im się takie działania?

Używanie narzędzi i ognia jest postrzegane jako ważna część Leśnych Szkół, ale nie zawsze stosowanie tych materiałów jest konieczne czy odpowiednie, możliwe jest też poprowadzenie programu bez nich. Edukacja z użyciem ryzyka, w ramach której pozwalamy dzieciom na podejmowanie kontrolowanego ryzyka, jest jednak ważną częścią etosu Leśnych Szkół. Możemy to robić przez działania z oczywistym elementem ryzyka, jak na przykład wspinanie się po drzewach czy cięcie drewna na ognisko, ale przecież każdy proces nauki wiąże się z podejmowaniem ryzyka. Naszym celem jest budowanie odporności w dziecku, z którym pracujemy, po to by potrafiło się pozbierać i pracować nad sobą, kolejny raz dążyć do tego, co chce osiągnąć.

W praktyce, w Wielkiej Brytanii mamy znacznie więcej obaw przed ryzykiem czy zasad bezpieczeństwa niż w wielu innych krajach w Europie. Jesteśmy przyzwyczajeni zarówno do wypełniania papierów szacujących ryzyko, jak i do oceny ryzyka w trakcie działania. Kluczem jest komunikacja z rodzicami i nauczycielami. Istnieje ważki argument przemawiający za tym, że zezwalanie na podejmowanie ryzyka w dzieciństwie, pozwala później nastolatkom lepiej sobie poradzić z tak ryzykownymi zachowaniami jak szybka jazda samochodem czy eksperymenty z alkoholem.

Lubię tłumaczyć, co dzieci mogą robić i dlaczego jest to dla nich korzystne. Ważną kwestią jest choćby posiadanie ciepłych i wodoodpornych ubrań i zrozumienie, że ubrudzenie się też bywa OK. Wiele razy słyszałem ubrudzone dzieci, mówiące: „mama mnie zabije, kiedy przyjdę do domu" – na szczęście rodzice spodziewają się brudu i zapachu dymu z ogniska.

Czasem, kiedy dzieci przychodzą do lasu po raz pierwszy, czują lęk. Na przykład wspominają bajki o wilkach i niedźwiedziach. To może być doskonały początek uczenia o ekologii lasu od najmłodszych lat. Później, wiadomości zwrotne od dzieci są niezwykle pozytywne. Mówią o poczuciu wolności w lesie, są bardziej rozluźnione w relacjach z dorosłymi, nie ma tego ciężaru podstawy programowej do odhaczenia czy stresu związanego z oceną. To pokazuje też, że takie działania nie są dla każdego, szczególnie jeśli wprowadza się wyprawy do lasu później niż w podstawówce czy gimnazjum, kiedy bariera przed wyjściem w teren jest już dobrze umocowana.

Ale czy te działania mają jakiś głębszy sens? Do czego potrzebna jest wiedza jak rozpalić ogień? O co w tym wszystkim chodzi?

Dla mnie najważniejszą rzeczą w takim podejściu do edukacji jest to, że las to antidotum na wiele frustracji, które dzieci czują w klasie, gdzie poddawane są testom, oceniane i słuchają dorosłych przez długi czas. W Leśnych Szkołach dzieci są zanurzone w bogatym, zróżnicowanym

i pięknym środowisku, które mogą poznawać z dorosłymi, traktującymi je z szacunkiem. Chcę zachęcić do zachwycania się, zadumania i miłości do świata przyrody oraz pokazać, że są inne metody wspólnego uczenia się. Wspólnota jest dla mnie bardzo ważna, a programy Leśnych Szkół wspierają to poczucie wspólnoty przez dzielenie się jedzeniem, wiedzą, doświadczeniem, zaufaniem, a przede wszystkim przez przebywanie w miejscu, gdzie dzieci mogą zadawać pytania, na które nauczyciele nie muszą znać odpowiedzi. I to jest OK.

W zimniejszych miesiącach rozpalanie ognia jest najważniejszą czynnością, żeby utrzymać ciepło, ugotować jedzenie, gorące napoje, zrobić węgiel drzewny czy wypalić naczynia z gliny. Ognisko to centralne miejsce w obozie, dające dzieciom możliwość praktykowania i nabierania kompetencji w tym trudnym zadaniu, jakim jest rozpalanie i utrzymanie ognia. Poczucie sukcesu i świadomość własnej wartości w trakcie robienia takich rzeczy są niezwykle ważne w rozwoju dziecka. Rozmowy przy ognisku zdecydowanie różnią się od innych rozmów, mogą mieć kojące oddziaływanie na niektórych ludzi. Dodatkowo jest to także szansa na nauczenie się czegoś o fizyce, chemii i doskonalenie nauki o bardziej zaawansowanych technikach rozpalania ognia.

W jaki sposób Leśne Szkoły wpływają na dzieci?

Istnieją nieliczne badania naukowe na temat wpływu programów Leśnej Szkoły. Jest za to wiele opinii na temat pozytywnego oddziaływania na dziecięcą samoocenę, entuzjazm, proces uczenia, zdrowie psychiczne, ale nie istnieją jeszcze szeroko zakrojone badania empiryczne na ten temat. Ideałem byłyby długotrwałe badania, które obejmują uczestników przed, w trakcie i po doświadczeniu Leśnej Szkoły, poddające analizie długotrwały wpływ na ich zachowanie, edukację i stosunek do przyrody. To jednak wymaga znacznego finansowania. Ostatecznie „po prostu wiemy", że dla dzieci dobrą rzeczą jest swobodna zabawa połączona z nauką w lesie. Niedawno opublikowano raport o badaniach, które potwierdzają efektywność edukacji terenowej w Wielkiej Brytanii, jest dostępny na stronie: bit.ly/2015-report-outdoor.

A jaki stosunek do Leśnych Szkół mają rodzice?

Ciężko mi generalizować na temat stosunku rodziców do takich inicjatyw jak Leśne Szkoły, ponieważ to w dużej mierze zależy od wychowania i przykładu jaki dają rodzice dzieciom, na przykład ci, którzy jako dzieci często wychodzili na dwór i bawili się swobodnie, często są za Leśnymi Szkołami. Jednak nie znam żadnych badań na ten temat.

Czy edukacja terenowa jest popularna w Wielkiej Brytanii? To część programu szkolnego?

Nieformalna edukacja terenowa ma w Wielkiej Brytanii długie tradycje, sięgające początków ruchu skautów, a nawet wcześniejszych. Do roku 1980 mieliśmy znacznie więcej przestrzeni na przygody i podążanie śladem uczestników. Jeden czy dwa śmiertelne wypadki spowodowały rozrost i zaostrzenie regulacji w sektorze edukacji terenowej i mam wrażenie, że w XXI wieku doświadczenia terenowe stały się raczej rekreacyjne niż edukacyjne. Gminne Centra Edukacji Terenowej, takie jak to, którym kiedyś zarządzałem, zostały sprzedane osobom prywatnym lub zamknięte, co spowodowało, że edukacja stała się towarem. Rezultatem jest osłabienie społecznego aspektu i przekształcenie relacji między edukatorem i uczestnikiem w relację sprzedawcy i konsumenta edukacji czy rekreacji. W 2006 roku rząd ogłosił manifest „Uczenie poza klasą" i teraz mamy niezależną Radę Nauki Terenowej, która promuje wszystkie formy uczenia w terenie.

Leśne szkoły są jednak coraz bardziej popularne w Wielkiej Brytanii. Ostatnie oszacowanie mówi o 10 000 tys. trenerów, którzy skończyli akredytowany kurs na praktyka Leśnych Szkół, jednak nie ma możliwości powiedzenia, ilu z nich obecnie pracuje na tym polu. Wielu z tych liderów pracuje w szkołach czy przedszkolach i tam wprowadza elementy Leśnych Szkół jako część swojej pracy. Inni są niezależni i oferują swoje usługi szkołom, przedszkolom, gminom i grupom prywatnym.

Edukacja terenowa nie jest obowiązkowa w szkołach powyżej 7. roku życia, jednak większość szkół docenia wartość uczenia w terenie i organizuje takie zajęcia, szczególnie w starszych klasach podstawówki. Świetlice szkolne są bardzo popularne jako miejsca opieki nad dziećmi w czasie pracy rodziców, jednak zajęcia terenowe nie są zagwarantowane w ich programie, zależą od przestrzeni i wyszkolenia pracowników.

Czy dostrzegasz różnice w edukacji terenowej w innych krajach?

Na pewno występują różnice w skali. Myślę, że duże zagęszczenie ludności w Wielkiej Brytanii i brak naprawdę dzikich miejsc sprawiają, że trudniej jest uprawiać tradycyjną edukację – z przygodą w tle – na większą

skalę. Praktycy z Wielkiej Brytanii patrzą z rozrzewnieniem na kraje skandynawskie, bo kultura edukacji w terenie (np. friluftsliv w Norwegii czy Era w Finlandii) przeniknęła do tamtejszego systemu edukacji. Wielu edukatorów ze Skandynawii, których spotkałem mówi o jednak tym, że nie zawsze się to udaje. Polityczne i ekonomiczne naciski opisane powyżej nie są obecne wyłącznie w Wielkiej Brytanii.

A jak wygląda szkolenie dla trenerów Leśnych Szkół?

Szkolenie dla trenerów Leśnych Szkół rozwijało się w Wielkiej Brytanii przez ostatnie dwadzieścia lat, ale teraz osiągnęło już pewien standard. Żeby prowadzić zajęcia ludzie muszą zdobyć 3 Poziom certyfikacji w prowadzeniu Leśnych Szkół. Ten kurs trwa zwykle około roku i wymaga 8 do 10 dni treningu pod okiem wykładowcy z praktycznych umiejętności: ekologii lasu, teorii edukacji, pedagogiki oraz logistyki organizacji i prowadzenia Leśnej Szkoły. Uczestnicy dodatkowo odbywają 110 godzin studiów samodzielnych, które zawierają planowanie, przeprowadzanie i ewaluację pilotażowego programu z grupą klientów oraz napisanie raportu, spełniającego kryteria oceny. Istnieje wspólny program, jednak wielu edukatorów prowadzi szkolenia w odmienny, specyficzny dla siebie sposób. Stowarzyszenie Leśnych Szkół rozwija system akredytacji dla organizacji trenerskich, aby zapewnić wysoką jakość ich pracy w całym kraju.

Jak zacząć prowadzić Leśną Szkołę, jeśli nie ukończyło się specjalnego szkolenia? Co robić? Jak powinny wyglądać zajęcia?

Możesz po prostu wyjść do lasu i zobaczyć co się stanie! Możesz też sprawdzić główne zasady Leśnych Szkół na stronie Stowarzyszenia Leśnych Szkół: www.forestschoolassociation.org/full-principles-and-criteria-for-good-practice/

Jakieś przygotowanie jest konieczne. Trzeba sprawdzić teren, żeby upewnić się, że grupa nie będzie miała żadnego negatywnego oddziaływania na florę i faunę, ale też sprawdzić czy istnieją jakieś zagrożenia dla zdrowia. Jeśli mielibyście ochotę rozwinąć program treningowy, który działałby w polskim systemie edukacji, chętnie pomogę w tym procesie.

Ważnym aspektem Leśnych Szkół jest to, że ich przebieg nie jest z góry ustalony w programie nauczania. To proces inicjowany i prowadzony przez dzieci. Dzieci mają pełną wolność eksplorowania, zadawania pytań, dociekania a my jako prowadzący pełnimy wiele różnych ról: od dbania o bezpieczeństwo po rozpalanie i utrzymanie ognia, uczenie umiejętności, prowadzenie gier, choć najważniejsze jest to, że jesteśmy towarzyszami naszych uczniów. Czasem ludzie mówią, że las jest programem nauczania i nauczycielem.

Jak Ty stałeś się trenerem Leśnych Szkół?

Moja droga do stania się trenerem Leśnych Szkół była długa! Zawsze interesowałem się drzewami i lasem, uzyskałem tytuł geografa a następnie pracowałem w centrum nauk terenowych na południu Anglii, gdzie prowadziłem zajęcia terenowe z geografii dla młodych ludzi. To doświadczenie pomogło mi zdecydować, że wolę raczej pracować w edukacji i patrzeć na długodystansowy rozwój dzieci, z którymi pracuję niż przeprowadzać z nimi intensywny kurs geografii przez tydzień. Wróciłem na uniwersytet, żeby zdobyć uprawnienia nauczycielskie, a potem uczyłem w gimnazjum przez 5 lat.

Myślę, że byłem zbyt optymistycznie nastawiony, wchodząc jako nauczyciel w system edukacji formalnej. Tęskniłem za byciem na zewnątrz, więc kiedy pojawiła się szansa na pracę w organizacji leśnej i trening dla edukatora Leśnych Szkół, wykorzystałem tę szansę. Dziesięć lat później, prowadzę własną działalność jako edukator terenowy i trener. Skupiam się na Edukacji Empirycznej, opartej na doświadczeniach w lasach i na terenach nadmorskich oraz prowadzę kursy dla innych edukatorów, pomagając im uzyskać jak najwięcej w pracy terenowej z młodymi ludźmi. Pod względem ekonomicznym, nie jest to najbardziej stabilna czy dobrze płatna praca, ale za to pracuję ze świetnymi ludźmi w pięknych miejscach i mam nadzieję, że choć w niewielkim stopniu pozytywnie wpływam na doświadczenia młodych ludzi i ich wizję lepszego świata.

Dziękuję za zaproszenie mnie do udziału w Waszym projekcie. Więcej o mojej pracy możecie dowiedzieć się na stronie: www.richardirvine.co.uk.

Pomysł leśnych szkół (ang. Forest School) narodził w Stanach Zjednoczonych w roku 1927. Od tego czasu stosowany jest w różnych formach zarówno w USA, jak i w wielu krajach europejskich. Zasada działania leśnych szkół jest prosta – przez jeden dzień w tygodniu nauka odbywa się w lesie, a nie w szkolnej sali. Dzieci spędzają w terenie cały dzień, wyodrębniamy więc tam dla nich miejsce do siedzenia przy ogniu, prowizoryczną kuchnię, w której przygotowywany jest obiad, toaletę. Lokalizacja miejsca na leśną szkołę musi być bezpieczna, oddalona od dróg szybkiego ruchu i innych potencjalnych zagrożeń. Nie powinno być to jednak miejsce sterylne czy wybetonowane, chodzi o to, aby uczniowie czuli się zarówno bezpiecznie i wygodnie, jak również mieli ścisły kontakt z przyrodą. Najważniejszą zasadą leśnych szkół, która całkowicie odróżnia je od codziennej edukacji szkolnej, jest sposób nauki. Uczenie się jest inicjowane przez uczestników i skupione na możliwościach, zdolnościach i zainteresowaniach dzieci w danym dniu. Sam proces „uczenia się" staje się w ten sposób zabawą i przyjemnością, w ogóle nie przypomina szkolnych lekcji.

Sesje leśnych szkół mają jednak swoją strukturę, a plan dnia typowej sesji w leśnej szkole wygląda następująco:

- Po przyjściu dzieci na miejsce przygotowywane są narzędzia przydatne do pracy w ciągu dnia, np. piła, dłuta, liny, plandeki, krzesiwa itp., porządkowane jest obozowisko, zbieramy drewno na opał;
- Następnie rozpalamy ogień, co robi zazwyczaj jeden z uczestników.
- Wszyscy siadają w kręgu, aby poczuć się jak wspólnota. Wtedy też przygotowywane są ciepłe napoje (dzieci zawsze pomagają w przygotowaniach), omawiamy plan dnia i ważne tematy, dotyczące leśnej szkoły, przypomina się o zasadach bezpieczeństwa, ustalamy jadłospis i rozdzielamy dyżury gotowania, opowiadamy ciekawe historie z minionego tygodnia;
- Czas na różnorodne działania, inspirowane przez dzieci np. obserwacje żab, wspinanie się na drzewa, lepienie z błota czy rozpalanie ognia;
- Wspólny posiłek przy ogniu;
- Kontynuacja nauki przez zabawę w lesie;
- Na zakończenie leśnej szkoły znów zbiera się „wspólnota", wszyscy siadają wokół ognia i opowiadają o tym, czego się nauczyli, co dziś ich zadziwiło itp.;
- Czas na sprzątanie, porządkowanie obozu. Pamiętamy, żeby nic po sobie nie zostawić!

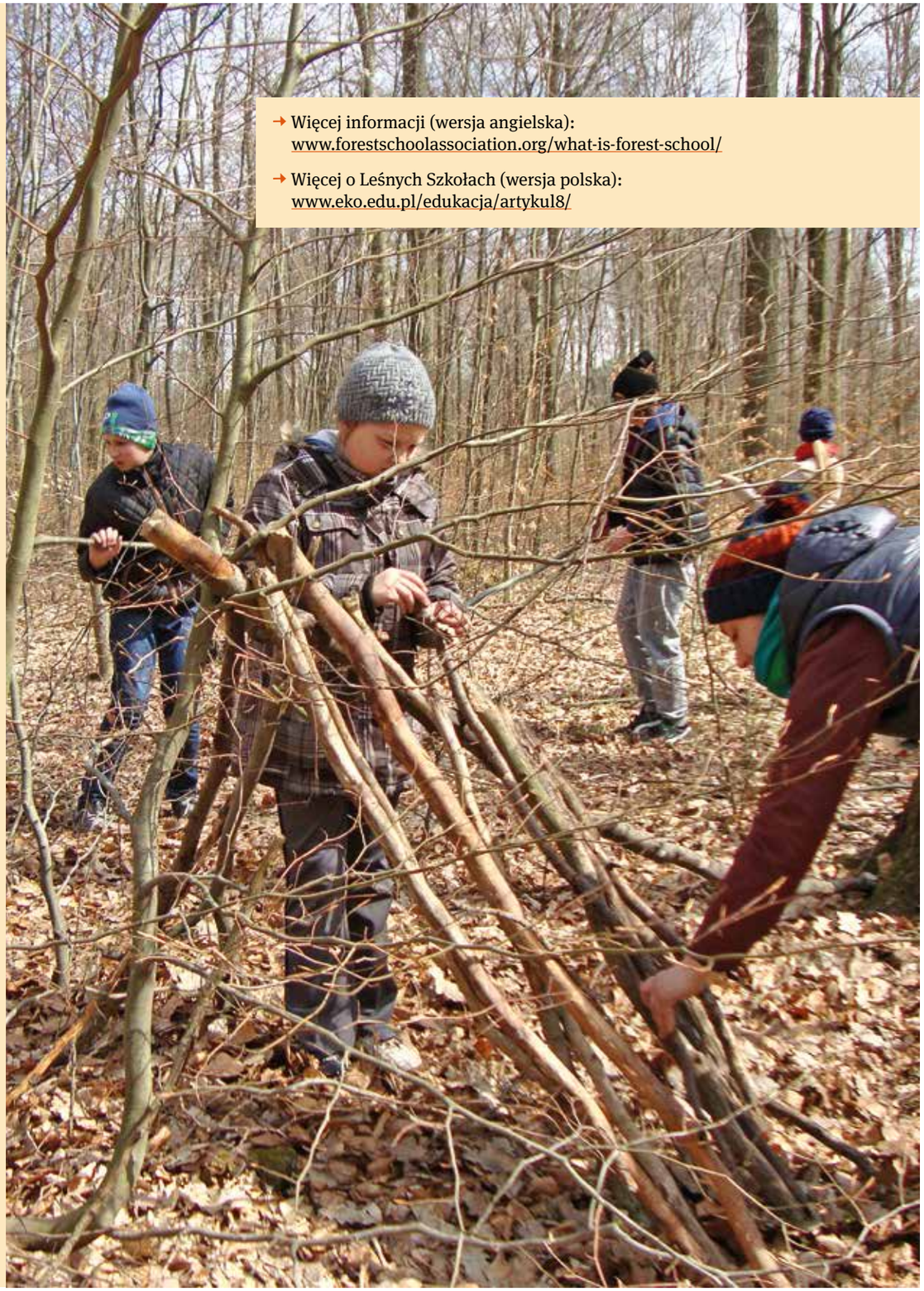

→ Więcej informacji (wersja angielska): www.forestschoolassociation.org/what-is-forest-school/

→ Więcej o Leśnych Szkołach (wersja polska): www.eko.edu.pl/edukacja/artykul8/

PODWAJANIE

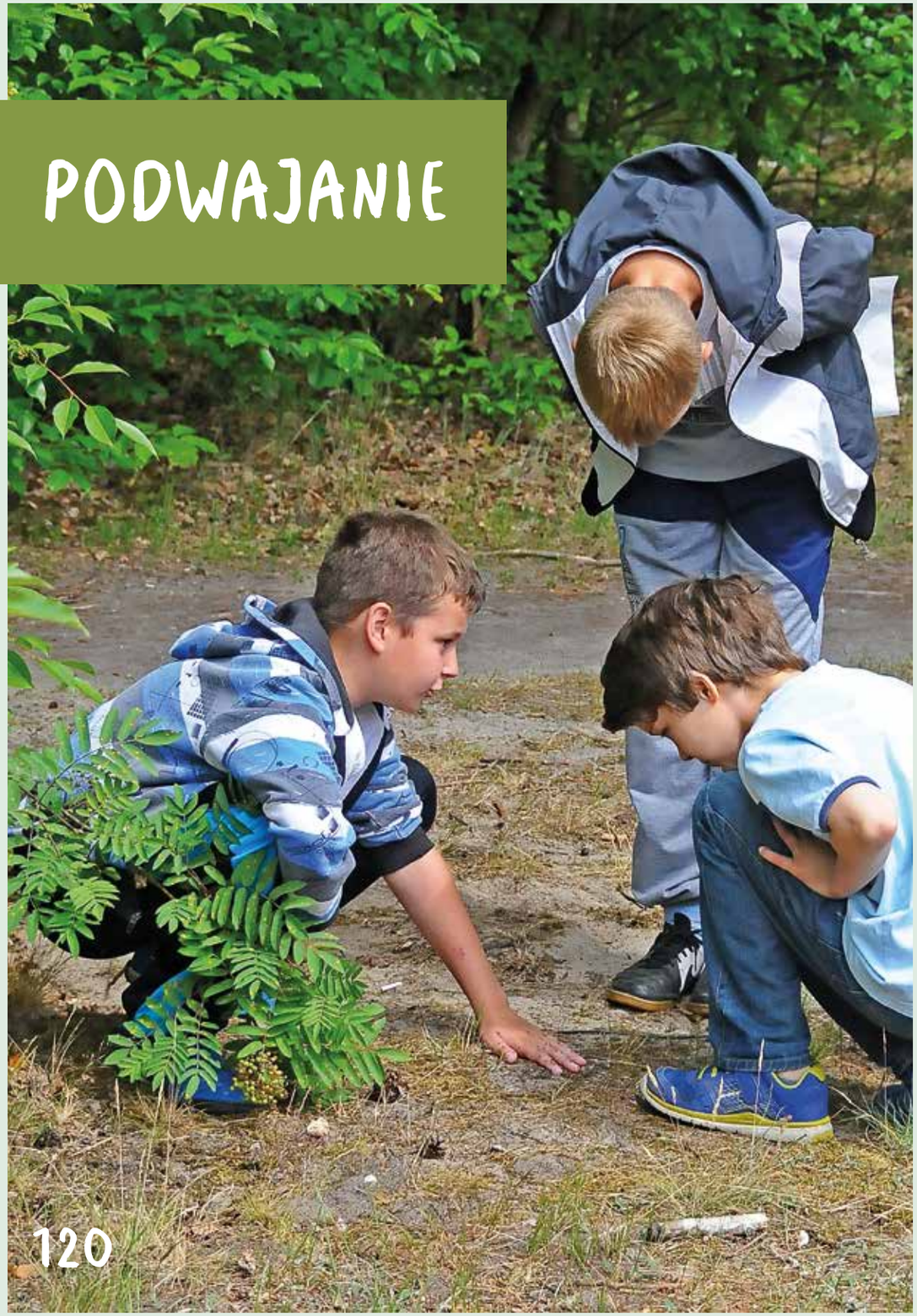

Zbierz w tajemnicy przed dziećmi około 10 przedmiotów charakterystycznych dla danego terenu, np. kamyki, nasiona, szyszki, części roślin, oznaki bytowania zwierząt. Połóż okazy na chustce i przykryj je drugą. Następnie zwołaj dzieci i powiedz im, że pod chustką jest 10 naturalnych przedmiotów, które można znaleźć w okolicy, a kiedy je odkryjesz, będą miały 25 sekund na to, aby im się przyjrzeć i dobrze je zapamiętać. Zadaniem dzieci będzie samodzielne zabranie w okolicy takich samych okazów. Po 5 minutach poszukiwań zwołaj dzieci. Teatralnym gestem wyciągaj okazy jeden po drugim, opowiadając o nich ciekawostki i sprawdzając, ilu dzieciom udało się znaleźć takie same przedmioty.

TURLAJMY SIĘ Z GÓREK I WBIEGAJMY NA NIE!

z GOSIĄ ŚWIDEREK

ROZMAWIA MARTA ZDANOWSKA

O tym jak przygotować siebie, dzieci i rodziców do wyjazdu na zieloną szkołę z Gosią Świderek, edukatorką, autorką programów edukacyjnych i prezeską Ośrodka Działań Ekologicznych Źródła rozmawia Marta Zdanowska.

Marta Zdanowska: W wielu szkołach na pierwszym w roku szkolnym zebraniu z rodzicami pojawia się temat organizacji zielonej szkoły dla dzieci. Co ważniejsze, to temat wywołujący duże emocje u rodziców i nauczycieli a dopiero później u dzieci, które o sprawie dowiadują się nierzadko jako ostatnie. Czym kierują się nauczyciele i rodzice wybierając wycieczkę?

Gosia Świderek: Wybór oferty jest trudnym zadaniem, ścierają się tu oczekiwania różnych osób – nauczycieli, poszczególnych rodziców. W niektórych szkołach przy wyborze oferty ważny jest też głos dyrektora. Podstawowe pytanie, które należy postawić, brzmi: jedziemy na wycieczkę czy na zieloną szkołę? Wycieczka zwykle jest krótsza, skoncentrowana na zwiedzaniu zabytków, muzeów, poznawaniu nowych miejsc. Dłuższe wycieczki mają często charakter objazdowy. Grupa przemieszcza się z miejsca na miejsce, by zwiedzić jak najwięcej w danej okolicy. Zielona szkoła to kilkudniowy wyjazd edukacyjno-wypoczynkowy dla całej klasy. Podczas zielonej szkoły dzieci lub młodzież mają okazję do pooddychania czystym powietrzem i poprzebywania w przyrodzie, ale ważna jest również realizacja programu edukacyjnego, czy to przygotowanego przez nauczyciela czy też przez zewnętrznego organizatora.

Który rodzaj wyjazdów jest bardziej wartościowy dla dzieci z twojego punktu widzenia?

Jedna i druga forma poznawania świata ma swoje zalety. Im więcej wyjazdów i uczenia się poza szkołą, poprzez bezpośrednie doświadczanie, obserwacje, a nie z podręczników tym lepiej. Ogromną wartością, szczególnie dla dzieci miejskich są wyjazdy do natury, gdzie mogą poobcować z przyrodą, ale nie umniejszam roli wycieczek ze zwiedzaniem, szczególnie że nie każde dziecko podróżuje z rodzicami i ma okazję poznawać walory przyrodnicze i kulturowe kraju. Jednak sercem bardziej skłaniam się ku zielonym szkołom, szczególnie w podstawówce. I z własnego doświadczenia, i z obserwacji dzieci wiem, że zwiedzanie często bywa nudne i w głowach dzieci niewiele z tego zostaje. Oczywiście, bywają przewodnicy którzy potrafią naprawdę zaciekawić dzieci, są interaktywne ekspozycje, które angażują różne zmysły. Jednak częściej na korytarzach muzeów widać niestety znudzone twarze, rozgadane, zajęte swoimi sprawami dzieci i poirytowanych przewodników, których nikt nie słucha.

Wróćmy więc do zielonych szkół. Na co należy zwrócić uwagę przy wyborze oferty?

Kluczowa, niestety, jest cena. Wyjazdy dla wielu rodzin są sporym obciążeniem, czasami nie do przeskoczenia. Ważną rolę odgrywa w tej kwestii nauczyciel, powinien tonować zapędy bogatszych rodziców. Jestem zdania, że lepiej wybrać wyjazd bliżej miejsca zamieszkania, wówczas koszt przejazdu, który stanowi sporą część ogólnej ceny wycieczki, można ograniczyć. Nie trzeba jechać na koniec Polski, żeby się dobrze bawić i dużo nauczyć.

Druga rzecz to standard ośrodków. W ciągu ostatnich dwudziestu lat strasznie zmieniły się oczekiwania rodziców, a niestety – również części dzieci. Kiedyś normalne było kwaterowanie uczniów w wieloosobowych salach z łazienkami na korytarzu. Teraz oczekiwanie jest takie, że dzieci nocować będą w pokojach dwu-, maksymalnie trzyosobowych z łazienkami. To oczywiście również ma wpływ na cenę. A przecież wieloosobowe sale, szczególnie najmłodszym dzieciom, dają poczucie bezpieczeństwa. Dla ośmiolatka, który pierwszy raz wyjeżdża bez rodziców, nocowanie w obcym miejscu z jedną tylko koleżanką czy kolegą w pokoju bywa straszne, gałęzie za oknem i nieznane dźwięki robią swoje. Nauczycielowi również łatwiej byłoby posiedzieć wieczorem z dziećmi, poczytać im książkę albo zajrzeć czy wszyscy już śpią, gdyby pokoje były większe.

Co jeszcze ma wpływ na cenę wycieczki?

Oprócz transportu i wyżywienia (uczestników i opiekunów, czasem także kierowcy, jeśli towarzyszy grupie przez cały czas) w cenę wchodzą przejazdy lokalne w trakcie wycieczki i opłaty parkingowe, ubezpieczenie NNW uczestników, bilety wstępu do muzeów, parków narodowych, zabytków, materiały do zajęć edukacyjnych. Dodatkowo, jeśli chcemy by dzieci otrzymały na zakończenie dyplomy, nagrody w konkursach, płyty ze zdjęciami również należy uwzględnić to w kalkulacji. Warto też by nauczyciel miał w zapasie pewną kwotę na niespodziewane wydatki, np. lekarstwa, wodę mineralną, opłacanie toalet czy parkingu dla autokaru, wybitej szyby

w ośrodku. Dodatkowym kosztem jest realizacja programu, czyli opieka edukatora-animatora, który będzie prowadził zajęcia z dziećmi przez cały czas wyjazdu, o ile nauczyciel sam nie przygotuje i poprowadzi zajęć podczas zielonej szkoły. Koniecznie trzeba dowiedzieć się, jak dokładnie wygląda program i jego realizacja: ile godzin dziennie będzie zapełnione aktywnościami (czy np. program nie ogranicza się jedynie do zorganizowania ogniska, dyskoteki i jednej wycieczki do najbliższego zabytku). Jaka jest rola nauczyciela podczas wycieczki, czy musi być przygotowany do zapełniania dzieciom czasu zajęciami. Czy w imprezie bierze udział pilot, przewodnik, edukator i jaka jest jego rola. Trzeba też zastanowić się czy program jest adekwatny do wieku, sprawności, zainteresowań i umiejętności uczestników oraz czy pozwala zrealizować założone przez nauczyciela cele? Czy istnieje możliwość jego modyfikacji i kiedy należy to zrobić?

Niezależnie od tego czy organizujemy wyjazd samodzielnie, czy skorzystamy z oferty biura podróży, warto podliczyć wszystkie koszty, by później nie było niespodzianek. Część biur podróży nie wlicza w cenę kosztu biletów wstępu do muzeów, parków narodowych i innych miejsc, które mogą o kilkadziesiąt złotych zwiększyć koszt wycieczki.

Warto pamiętać o podstawowej zasadzie, **im mniejsza grupa, tym wyższa cena** w przeliczeniu na jedną osobę. Między grupą 20-osobową a 40-osobową jest to różnica około 100–250 zł, bo koszt autokaru czy zajęć rozkłada się na mniejszą liczbę osób. Optymalna grupa to około 40–45, czyli dwie klasy i opiekunowie.

Co jeszcze wziąć pod uwagę?

Na pewno duże znaczenie ma wiek dzieci. Mam takie przekonanie, że większa odległość nie przekłada się lepszy wyjazd. Zielona szkoła zorganizowana 30 km od domu może być równie udana jak ta 300 km, a nawet lepsza, bo nie zmarnujemy tyle czasu na męczące przejazdy. Jeśli są to młodsze dzieci lub wyjazd ma być krótki (3–4-dniowy), nie warto jechać daleko. Rodzice młodszych dzieci, które dotychczas niewiele wyjeżdżały razem, też będą spokojniejsi, jeśli dzieci będą bliżej domu.

Na początku mówiliśmy już o rozróżnieniu między zieloną szkołą a wycieczką. Zawsze warto zastanowić się na czym nam zależy. Jeśli na zwiedzaniu zabytków i ciekawych miejsc, to wybieramy wycieczkę-objazdówkę w regionie obfitującym w takie atrakcje. Jeśli chcemy dać uczniom poleniuchować po egzaminie gimnazjalnym, albo zorganizować integracyjny wyjazd na zakończenie podstawówki i nie zależy nam ani na zwiedzaniu, ani na edukacji, a raczej na oderwaniu się od codzienności, wybierzmy bezpieczne miejsce z plażą, placem zabaw, boiskami, lasami, basenem, atrakcjami na miejscu. Jeśli zaś chcemy, żeby dzieci pobyły w przyrodzie, oderwały się od miejskiego życia, wyciszyły albo wyhasały w lesie, wybierajmy miejsce, gdzie ta przyroda znajduje się w stanie jak najmniej zmienionym. Będzie to raczej miejscowość w lesie, nad jeziorem czy w górach, a nie kurort z promenadą i pamiątkami. Szczególnie dla dzieci z miasta wyjazd na dłużej w leśne ostępy może być inspirujący. Okazać się może, że w miejscu gdzie „nic nie ma" można się świetnie bawić, mieć mnóstwo przygód i wspominać ten czas z przyjemnością, pomimo braku miejskich atrakcji.

„Źródła", w których pracujesz, od kilkunastu lat organizują zielone szkoły. Część miejscowości, które macie w ofercie to nie są znane miejscowości turystyczne.

Tak, stawiamy właśnie na takie wyjazdy. Nawet jeśli ośrodek do którego zabieramy dzieci znajduje się w miejscowości turystycznej, to zazwyczaj na uboczu, bliżej natury niż popularnych deptaków. Wychodzimy z założenia, że dzieci za mało czasu spędzają w przyrodzie. Nie wspinają się na drzewa, nie bawią w kałużach, nie mają kryjówek w krzakach, nie leżą na trawie. Zmienił się sposób spędzania czasu wolnego, zmieniły się też nasze miasta, nie ma w nich już zbyt dużo łąk, nieużytków, miejsc niezorganizowanych, gdzie dzieci same mogłyby kreować swoją przestrzeń. Chcielibyśmy, żeby dzieci podczas źródlanych, zielonych szkół mogły poczuć się trochę jak my w czasach naszego dzieciństwa. Żeby same mogły decydować, co chcą robić, co jest dla nich ważne, czego potrzebują. Podczas spotkania edukatorów, którzy prowadzą w „Źródłach" warsztaty terenowe i zielone szkoły rozmawialiśmy o tym, co jest dla nas ważne, jakie postawy chcielibyśmy kształtować, jakie umiejętności ćwiczyć, ale także spisaliśmy sobie na świeżo po cyklu kilkuset zajęć terenowych i wyjazdów, jakie oczekiwania mają dzieci. Oto co się pojawiło: dzieci potrzebują przede wszystkim dobrej zabawy, przygody, a nawet tajemnicy, dużo ruchu – niekoniecznie długich spacerów czy wspinaczki – raczej swobodnych zabaw w terenie. Bardzo ważne jest czas wolny, czas na bycie razem z przyjaciółmi, bez kontroli, sterowania, narzucania działań ze strony dorosłych. Duński psycholog i pedagog Jasper Juul w książce Przestrzeń dla rodziny zwraca uwagę, że: największą stratą dzieci w ostatnim trzydziestoleciu jest fakt, że nie istnieje dla nich żadna

przestrzeń wolna od dorosłych. Nie ma już drzewa na podwórku, gdzie mogłyby przebywać same. Dawniej dzieci kształtowały swoje kompetencje społeczne w zabawie i komunikacji z innym dziećmi. Takiej możliwości już prawie nie mają, bo nawet kiedy są razem, to dookoła stoją dorośli, którzy się do wszystkiego wtrącają.

Trenerzy podkreślali, że dla dzieci bardzo ważne jest zwracania uwagi na ich potrzeby, podążanie za nimi zarówno w zainteresowaniach, pytaniach, jak i aktywnościach. Ale także zapewnienia dzieciom poczucia bezpieczeństwa, niezmuszanie do jedzenia czegoś, czego nie cierpią, zapewnienie, że będą mogły być w pokoju z tym, kogo lubią, że nie będą zmuszane do dotykania kory drzewa, jeśli jest to dla nich problem, że będą wiedziały, czego się od nich oczekuje.

Nie ma na tej liście oczekiwań chyba żadnych niespodzianek. Wydaje mi się jednak, że choć rodzice i nauczyciele mają jak najlepsze intencje, to gdy wybierają ofertę i analizują program, nie zawsze pytają dzieci – czyli głównych zainteresowanych – co podczas wyjazdu jest dla nich ważne, co chciałyby robić, jakie są ich oczekiwania? Raczej pojawia się pytanie, czy wolicie jechać nad morze, w góry, czy może zwiedzać zamki na Jurze?

Niezależnie od wieku, wyjazd z klasą to ważne, intensywne wydarzenie pod względem relacji w grupie, a jednocześnie poznawanie siebie samego/samej. Zdobywanie sympatii, poczucie wspólnoty, akceptacja w grupie, poczucie że dałem/dałam radę zmierzyć się z jakąś sytuacją, to są rzeczy znacznie ważniejsze niż umiejętność rozpoznania lipy, wjazd na Gubałówkę, czy obejrzenie arrasów.

Uważasz, że niezależnie od wieku uczniów, rodzice i nauczyciele powinni jak najwięcej rozmawiać z dziećmi o planowanej wycieczce. Jak taka rozmowa powinna wyglądać?

Jasne, zielona szkoła to bardzo ważne wydarzenie! Łączą się z nim różne emocje, ekscytacja, ciekawość, radość, ale także obawy, strach przed rozłąką z rodzicami, niepewność, jak odnajdę się w grupie czy w innej niż na co dzień sytuacji. Na to nakładają się lęki i obawy rodziców, dla nauczycieli odpowiedzialnych za całą grupę wyjazd też jest bardzo stresujący. Warto więc jak najwięcej rzeczy ustalić i omówić z dziećmi wcześniej. Zarówno nauczyciele, jak i rodzice dużo zyskają rozmawiając z dziećmi o ich marzeniach i obawach związanych z wyjazdem, o miejscu do którego będą jechać. Można znaleźć zdjęcia, opowiadania, legendy o tej okolicy, znaleźć miejscowość na mapie, policzyć jak długo się tam jedzie, co można zobaczyć na miejscu. Porozmawiajcie o tym, jak dzieci chciałyby spędzać czas, co jest dla nich ważne, razem przeczytajcie propozycje programu, niech dzieci powiedzą, co im się najbardziej podoba, czego w programie brakuje. Dajcie im poczucie, że mają wpływ na to, jak ta zielona szkoła będzie wyglądać. Podczas wyjazdu pozytywnie nastawione dzieci będą bardziej otwarte i zaangażowane. Zaangażowanie w przygotowanie do wyjazdu może być różnorakie: mogą przygotować piosenki na ognisko, wymyślić konkurencje do klasowej olimpiady sprawnościowej, scenki na ognisko, wybrać i przygotować muzykę na dyskotekę, dokumentować przygotowania i przebieg wycieczki w kronice klasowej.

Już wcześniej ustalcie zasady, jakie będą panować na zielonej szkole, to daje poczucie bezpieczeństwa zarówno opiekunom, jak i dzieciom. Rozmawiajcie jak zachować się w trudnych sytuacjach, jak reagować na niebezpieczne wydarzenia. Ważne, żeby również nauczyciel mówił dzieciom o swoich potrzebach i obawach. Dzięki temu dzieci chętniej współpracują z opiekunami.

Koniecznie ustalcie, kto z kim będzie w pokoju – najlepiej poprosić o rozkład pokoi w ośrodku i ustalić kto z kim i gdzie będzie mieszkał, z tą rozpiską rozlokowanie w ośrodku nie będzie już nastręczało problemów i konfliktów. Ustalcie też co dzieci mogą albo powinny zabrać na wyjazd, a co będzie tylko utrudnieniem. Młodszym dzieciom na pewno przydadzą się przytulanki. Na źródlanych zielonych szkołach rekomendujemy niezabieranie żadnych sprzętów elektronicznych, czyli tabletów, smartfonów, laptopów. Po pierwsze – łatwo je zgubić, po drugie – odwracają uwagę od tego, co na wyjeździe się dzieje, a czasem po prostu przeszkadzają w zajęciach. Kwestią do ustalenia w młodszych klasach jest zabieranie przez dzieci telefonów komórkowych. Komórki dają poczucie bezpieczeństwa rodzicom, ale z drugiej strony, pilnowanie ich jest dużym obciążeniem dla nauczycieli.

Jeśli już zgadzamy się na zabieranie telefonów, rodzice nie powinni wydzwaniać do dzieci w ciągu dnia. A jeśli będzie taka potrzeba o innej porze, wtedy nauczyciel sam zadzwoni do rodzica. Najlepiej przed wyjazdem ustalić czas na telefonowanie do rodziców, np. między 19.00 a 20.00. Rodzic powinien mieć jednak świadomość, że dziecko może być zajęte zabawą i nie będzie mu się chciało opowiadać ze szczegółami jak minął dzień. Obawy rodziców o własne dziecko oraz ciekawość, co się na zielonej szkole dzieje, są nieodłącznym elementem wyjazdów.

Dzwonienie do dzieci bez potrzeby, a przede wszystkim telefony do nauczyciela, potrafią porządnie dezorganizować wyjazd i być naprawdę kłopotliwe. Jeśli do jednego nauczyciela dzwoni 15–25 rodziców, to nie ma on czasu zająć się ich dziećmi. Nauczyciel powinien zwrócić uwagę rodziców, by nie dzwonili z błahych powodów, bo jego rolą jest przede wszystkim opieka nad dziećmi, a nie uspokajanie zatroskanych mam. Dobrym „sposobem na rodziców" jest wysyłanie z komórki na klasową grupę dyskusyjną czy klasowy blog krótkich relacji z każdego dnia, najlepiej okraszonych kilkoma zdjęciami. Jeśli z jakiegoś powodu nie ma możliwości wrzucania informacji do sieci, nauczyciel może ustalić z jednym z rodziców, że będzie przekazywał najważniejsze informacje i ta osoba będzie przekazywać je mailem wszystkim rodzicom w klasie.

A masz jakieś patenty, jak rozwiązać kwestię kieszonkowego i pamiątek?

Widzę tutaj dużą rolę wychowawcy. Po pierwsze: warto, żeby zainicjował z rodzicami rozmowę o wysokości kieszonkowego. Ustalenie kwoty lub widełek (i trzymanie się ustaleń), spowoduje, że żadne dziecko nie będzie się czuło pokrzywdzone. Lepiej niech ta kwota będzie symboliczna, nie będzie wtedy presji na chodzenie „po sklepach", żeby wydać całą kwotę.

Dzieci wszystko co potrzebne dostają, więc kieszonkowe można wydać na loda czy gofra i pamiątkę. W „Źródłach" staramy się ograniczyć pęd do zakupów, prowadzimy zajęcia o odpowiedzialnej konsumpcji i staramy się wypracowane podczas warsztatów zasady wprowadzić w życie. A pamiątki robimy samodzielnie, tak by faktycznie przypominały zieloną szkołę i zniechęcamy do kupowania wyprodukowanych w Chinach drobiazgów dostępnych na straganach w całej Polsce.

Pracujemy nad tym, żeby wyżywienie było jak najlepsze, różnorodne, ze świeżymi owocami i warzywami, a bez batoników i słodkich napojów. Wypracowanie z ośrodkami zasad żywienia grup wcale nie jest łatwe. Zachęcamy nauczycieli, którzy sami organizują wyjazd, by pytali w ośrodkach o liczbę posiłków, szczegółowe menu, o to czy pomiędzy posiłkami dostępne jest picie dla dzieci. Koniecznie trzeba też z co najmniej dwutygodniowym wyprzedzeniem przekazać ośrodkowi informacje na temat specyficznych wymogów żywieniowych uczestników związanych z dietą.

Rolą nauczyciela jest też ustalenie z dziećmi, najlepiej już przed wyjazdem, co można kupować do jedzenia, a co jest na naszej „czarnej liście" w trakcie wyjazdu oraz kiedy dzieci mogą podjadać. Byłam kiedyś na zielonej szkole z grupą, która miała świetną wychowawczynię. Nie dość, że grupa była wyjątkowo zgrana, rodzice pozostawali w ścisłym kontakcie ze sobą i z nauczycielką, to wszystko mieli poukładane – zarówno dzieci, jak rodzice i sama nauczycielka czuli się dzięki temu bezpiecznie i komfortowo. Mieli ustaloną wysokość kieszonkowego, wiedzieli, co mogą kupować. Dzieci nie kupowały słodyczy ani nie przywoziły zachomikowanych w plecakach, bo przed wyjazdem rodzice przynieśli słodkości i przegryzki do szkoły i spakowali je do wspólnej, klasowej skrzyni, która przyjechała razem z dziećmi na zieloną szkołę. Codziennie po obiedzie dzieci urządzały sobie wspólny poczęstunek. Było wiadomo, że nie ma podjadania czipsów czy batonów przed posiłkami.

Dobra organizacja podstawą dobrego wyjazdu?

No tak, i nie chodzi tylko o sprawdzony ośrodek, bezpieczny autokar i rezerwacje w muzeum. Dobra organizacja daje wszystkim poczucie bezpieczeństwa. Im więcej rozmawiamy – dzieci, rodzice i nauczyciele – tym więcej rzeczy jesteśmy w stanie przewidzieć i ustalić. Są sytuacje, które powtarzają się w większości grup, choroba lokomocyjna, alergie, gubienie przedmiotów, strach przed zniszczeniem ubrań w lesie. Dzieci powinny wiedzieć jak sobie radzić w takich sytuacjach, ale i nauczyciele powinni wiedzieć, czego mogą się spodziewać. Wiele z kłopotów można łatwo wyeliminować. Podam przykład. Rodzice często kupują dzieciom przed wyjazdem nowe ubrania czy buty. W trakcie wyjazdu okazuje się, że nierozchodzone buty są niewygodne a w dodatku mogą zniszczyć się przy zabawie w chaszczach, skakaniu po pniach czy chodzeniu po błocie. Z kolei do nowych ubrań dzieci się nie przyznają. Jeszcze nie zdążyły się do nich przyzwyczaić i przy końcowym pakowaniu zawsze zostaje kilka sztuk ubrań niczyich w grupie. Szczególnie, jeśli dzieci dostały od rodziców gotowy, spakowany plecak i nie pakowały go same pod okiem dorosłego. Jestem też zwolenniczką podpisywania ubrań i pakowania na wycieczki ubrań znoszonych, sprawdzonych, a przede wszystkim wygodnych. To oczywiście zależy od charakteru wycieczki, ale na źródlanych zielonych szkołach dzieci dużo czasu spędzają w lesie, na łące, na plaży i na pieszych wędrówkach. Ważne, żeby ubrania i buty były wygodne, żeby dziecko nie musiało się martwić, że pobrudziło czy zniszczyło nową różową sukienkę czy białe spodnie. Fajnie też, jeśli bagaż nie jest cięższy od dziecka, a i tak się zdarza :). Więcej rad dla rodziców zamieściliśmy na naszej stronie: www.zieloneszkoly.pl

Wychodzi na to, że organizacja wycieczki to strasznie skomplikowana operacyjnie rzecz!

Na pewno stresująca i bardzo obciążająca dla nauczycieli. Nie dość, że mają całą klasę dzieci na głowie przez 24 godziny w niecodziennych okolicznościach, to jako organizatorzy wycieczki muszą się tłumaczyć przed rodzicami z różnych rzeczy. Dlaczego Kasia nie miała czapki na głowie, dlaczego autokar przyjechał z opóźnieniem, a czy w lesie są kleszcze itd., itp. To jest naprawdę bardzo stresujący czas, za który nauczyciele nie dostają dodatkowego wynagrodzenia. Dlatego rodzice i dzieci powinni być wdzięczni nauczycielowi, że chce się w organizację wycieczek angażować, nawet jeśli nie wszystko jest idealnie. Im częściej dzieci wyjeżdżają, tym wszystko przebiega sprawniej i jest prostsze. Nauczyciel również z każdym wyjazdem nabiera doświadczenia, więc i jemu jest łatwiej. Wspólne wyjazdy dają tak dużo dzieciom, że żal byłoby z nich rezygnować tylko dlatego, że jest to wyzwanie.

Na zakończenie powiedz, co dla was w „Źródłach" jest najważniejsze w zielonych szkołach.

Przede wszystkim mają być zielone, baaardzo zielone! Dlatego nazwaliśmy je Bardzo Zielonymi Szkołami. Co to znaczy? Chcemy dla uczestników jak najwięcej kontaktu z przyrodą. Chcemy, żeby dzieciaki czuły się w przyrodzie dobrze i bezpiecznie. Żeby mówiły: Chcę do lasu! W chaszczach jest fajnie! A przy okazji, żeby ślad ekologiczny zielonej szkoły był jak najmniejszy, żeby przy okazji promować postawy proekologiczne, świadomość konsumencką wśród dzieci, ale także wśród nauczycieli czy kadry ośrodków wypoczynkowych. Raz to się udaje lepiej, raz gorzej. Czasem zdarza się jakaś wpadka, którą dzieci bardzo szybko wyłapują. Staramy się rozwijać, ewaluować wyjazdy, miejsca, program. Dużo zmieniliśmy w programach zielonych szkół od 2003 roku. Dajemy dzieciom więcej wolności, możliwości decydowania co robimy i jak. Jest znacznie więcej doświadczania i spontanicznej zabawy a mniej wiedzy akademickiej. W Bardzo Zielone Szkoły zaangażowanych jest kilkudziesięciu trenerów edukacji ekologicznej i przyrodniczej, trzon kadry liczy około 20 osób. Jesteśmy zgodni, że ten kierunek jest dobry. Elastyczność, wsłuchiwanie się w potrzeby dzieci, branie pod uwagę okoliczności, tego, co się dzieje wokół. Jasne, każdy jakoś musi dostosować program do brzydkiej pogody, ale nam chodzi nie o to, żeby zamiast zajęć w terenie, zostać w ośrodku i zrobić warsztaty stacjonarne, ale żeby zainteresować się deszczem, zbadać go, obserwować chmury, wiatr, zachowanie zwierząt podczas deszczu, a na koniec zrobić łódki z kory i puszczać je w kałużach czy zrobić cokolwiek innego, co zaciekawi dzieci. Wszyscy nasi trenerzy powtarzają, że dzieci są strasznie inspirujące, ciekawe, chłonne, zaangażowane i wiele można się od nich nauczyć w podejściu do przyrody, do uczenia się i korzystania z życia.

Oczywiście chcielibyśmy jak najwięcej dzieciom przekazać, pokazać, nauczyć. Tyle rzeczy wydaje się ważne. Jest tyle ciekawych obserwacji do przeprowadzenia, gier do nauczenia, drzew do rozpoznania, nauka orientacji w terenie, rozpoznawanie tropów i śladów zwierząt. Ciągle stoimy przed dylematem czy zachęcać do zaplanowanej w programie, bardzo ciekawej aktywności, rozpoczynać nowy warsztat, czy dać się ponieść atmosferze, sytuacji i dzieciom. Warto jednak odpuścić i razem z dziećmi turlać się z górek i wbiegać na nie! I nauczyć się od nich jak się turlać, żeby uniknąć urazów głowy.

Po drodze znaleźliśmy przewrócone, martwe drzewo i szukaliśmy na nim oznak życia. Znaleźliśmy larwy drewnojadów, dziury w drewnie, które świadczą o tym, że ktoś je zamieszkuje, pająki, mrówki, mech, grzyby, a także ślady kucia dzięciołów. Zastanawialiśmy się, co się stanie z drzewem jak już całkiem się rozłoży i skąd się bierze gleba. Przyglądaliśmy się również pierwszym oznakom wiosny – kokoryczy i zawilcom, i zastanawialiśmy się kiedy jest dobry czas, żeby małe rośliny mogły wyrosnąć w lesie, rozsiać nasionka oraz dlaczego robią to właśnie teraz a nie latem, kiedy będzie cieplej.

Anna Chomczyńska

ZWIERZĘTA I ZASOBY

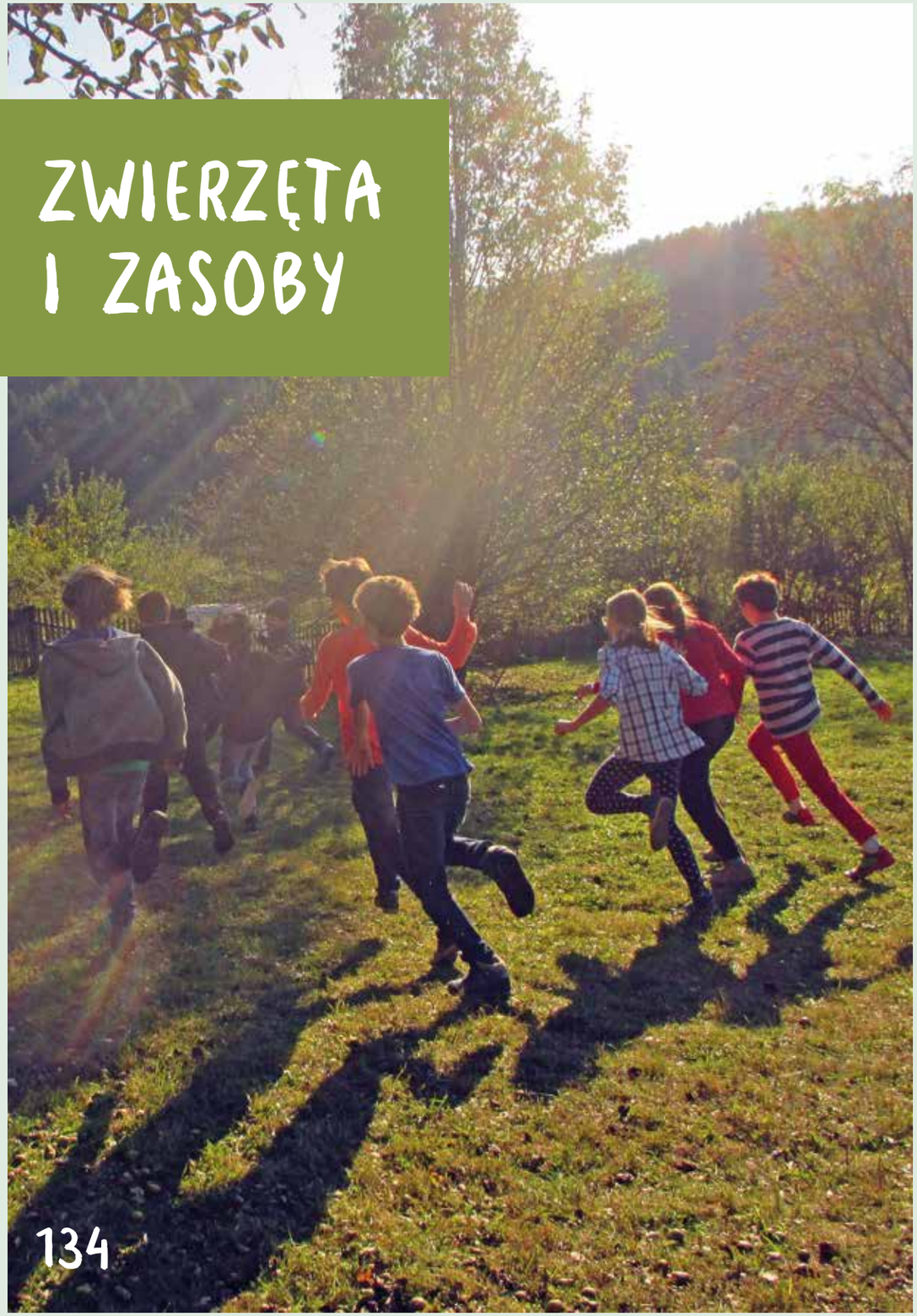

Dzielimy uczestników na dwie grupy i ustawiamy naprzeciwko siebie w dwóch szeregach (około 50–80 metrów od siebie). Jedna grupa to zwierzęta, druga – zasoby (picie, jedzenie, schronienie). Zwierzęta mają za zadanie zdobyć zasób, który jest im potrzebny do życia.

Prowadzący prosi, aby obie grupy odwróciły się do siebie plecami i nie podglądały, co pokazuje druga grupa. Potem sprawdza, jakich zasobów potrzebują zwierzęta (każde zwierzątko wybiera zasób potrzebny w danej rundzie). Pokazujemy to następująco: jedzenie – masujemy się po brzuchu, picie – przykładamy zwiniętą dłoń do ust, schronienie – robimy nad głową daszek z rąk. Potem zasoby wybierają, kto czym jest w danej rundzie i pokazują w taki sam sposób.

Na komendę prowadzącego – grupy odwracają się twarzami do siebie i zwierzęta biegną po zasoby, których potrzebują. Uwaga: zasoby nie uciekają! Zwierzęta, którym udało się upolować zasób – rozmnażają się, czyli zabierają zasób ze sobą na stronę zwierząt (zasób staje się zwierzęciem). Zwierzęta, którym nie udało się zdobyć zasobu – umierają – i same stają się zasobami (pozostają po stronie zasobów). Po kilku rundach wprowadzamy utrudnienie – przeprowadzamy między zwierzętami i zasobami drogę. Prowadzący jest samochodem i kiedy zwierzęta biegną po zasoby samochód może kogoś „przejechać" – wtedy przejechane zwierzę staje się zasobem.

Zabawa w uproszczony sposób pokazuje mechanizm zachowania równowagi w przyrodzie. Każde zwierzę potrzebuje do życia jedzenia, picia oraz miejsca, gdzie znajdzie schronienie i wychowa młode. W sprzyjających warunkach zwierzęta rozmnażają się i wzrasta ich liczebność na danym terenie, ale zaczyna brakować zasobów, aby wszystkie mogły przetrwać – zwierzęta konkurują ze sobą i przeżywają najsilniejsze osobniki. W kolejnym roku konkurencja jest mniejsza, a zasobów dużo – większość zwierząt przeżywa i może się rozmnożyć, ale znów nie dla wszystkich wystarczy zasobów i część zwierząt zginie itd.

Warto zwrócić uwagę, że człowiek często narusza równowagę w przyrodzie, powodując, że zwierzętom coraz trudniej jest przetrwać. Dla przykładu – droga wprowadzona jako urozmaicenie pod koniec zabawy powoduje, że zwierzęta mają utrudniony dostęp do zasobów. Można wprowadzić inne utrudnienia np. umówić się z dziećmi grającymi rolę zasobów, żeby w ogóle nie pokazywały w danej rundzie schronienia (np. wycięto las, albo pojawił się gatunek inwazyjny, który zajął zwierzętom ich siedlisko).

PLENEROWO-WARSZTATOWO

IZABELA JĘDRULAK-MOCUR

Jak przeprowadzić zapadające w pamięć, twórcze warsztaty? Ważne są przede wszystkim materiały użyte do twórczości plastycznej, czas i miejsce spotkania, a także postać animatora warsztatów i specyfika jego działania. W moim przypadku ta ostatnia jest obecnie związana z rodzicielstwem. Doświadczenie dydaktyczne, które zdobyłam realizując działania edukacyjne, było trudne do praktycznego wykorzystania zawodowego po narodzinach syna. Dlatego w naturalny sposób przeniosłam swoje pomysły na zabawy z własnym dzieckiem. Przygotowywałam się do nich tak, jak robiłam to konstruując i realizując twórcze działania z grupą dzieci na różnych warsztatach, w dydaktyce czy podczas pracy ze studentami. Z tą tylko różnicą, że aktywnym uczestnikiem był najczęściej jedynie mój syn, Emil. Najczęściej, choć nie była to reguła. W moich zajęciach brały też udział odwiedzające nas dzieci sąsiadów albo przypadkowi uczestnicy, zainteresowani naszą pracą w plenerze.

Plener jest zresztą miejscem, które w sposób szczególny cenię przy działaniach warsztatowych. Plener to nie tylko miejsce, ale też czas, tworzywa, materiały do kreacji i narzędzia. Wszystko razem, choć nie zawsze jednocześnie.

Nie chodzi jedynie o pracę na powietrzu, choć ten aspekt jest bardzo ważny w czasie naszych spotkań. Nie chodzi też wyłącznie o kontakt z przyrodą, bo plener to także przestrzeń miejska, plac zabaw czy chodnik. Plener dostarcza po prostu innych inspiracji i bodźców, nie tylko przez swoją atrakcyjność, ale przez samo przebywanie w nim. Inaczej pracuje dziecko, czy grupa dzieci w zamkniętej przestrzeni, a inaczej, gdy można połączyć przy tworzeniu małą motorykę z dużą. Mimo braku fizycznych granic, w plenerze uczestnicy warsztatu sami określają przestrzeń swojej eksploracji. Wygląda to najczęściej tak, że dzieciaki działają w terenie, na którym można zachować kontakt wzrokowy z prowadzącym lub w wydzielonym w sposób naturalny fragmencie krajobrazu. Nie musimy nawet formalizować takiej przestrzeni, grupa podczas spotkania sama ją zaanektuje i w czasie pracy konsekwentnie będzie się jej trzymać.

Plener to też składnica tworzywa i materii do twórczych działań. Materiały naturalne zastępują farby i kredki wykorzystywane w tradycyjnych technikach plastycznych. Wszyscy uczestnicy mają dzięki temu równe szanse, praca w plenerze nie wymaga tak zwanych „umiejętności plastycznych". Pozostaje za to zabawa i zmysłowa kontemplacja tworzywa. Używanie naturalnych, dostępnych każdemu, choć z pozoru „nieplastycznych" materiałów, poszerza doświadczenia twórcze. Wzmaga też myślenie lateralne dzięki wykorzystywaniu materiałów przy niejednoznacznym ich zastosowaniu, w odmiennym kontekście, co eliminuje częste już wśród dzieci fiksacje funkcjonalne. Na przykład: mój synek użył kiedyś do konstrukcji wodnej rury od odkurzacza. Podłączył ją do kranu i podlewał rośliny, a ogrodowy wąż okazał się magicznym narzędziem do tworzenia tęczy [przy odpowiednim ustawieniu węża z wodą uzyskamy tęczę].

Poniżej przedstawiam przykłady działań warsztatowych, które traktować należy jako sposoby rozwijania potencjału, którym każde dziecko jest obdarzone. Moje propozycje nie są przepisami na... Są rodzajem wybranych relacji z zabaw i twórczego spędzania czasu przy kreacji plastycznej.

JESIENNE SPACERY

Dywan z liści

Na spacerze, w pięknych okolicznościach przyrody i architektury zbieraliśmy kolorowe liście klonu. Tata z Emilem ułożyli z liści szlak, zaznaczyli nim sobie kształt własnego domku. Ja kładąc liście jeden na drugim, ułożyłam mały dywanik. Emilowi to się spodobało i chętnie się na nim położył. Dywan wyglądał troszkę jak prawdziwy i trzeba przyznać, że wywołał zainteresowanie przechodniów. Gdyby tak ułożyć taki duuuuży dywan – ale byłoby fajnie... Gdyby było nas więcej.

Mandala

Piękną mamy jesień. Nazbieraliśmy jej darów i ułożyliśmy z Emilem mandalę jesienną. Do układania wykorzystaliśmy pokrywę studzienki (gotowe koło), ale można ułożyć ją tam, gdzie się chce. Nasze materiały to: kolorowe liście, jabłka, gruszki, orzechy, pigwy, jabłuszka rajskie, kasztany itp. Zaczęliśmy od liści, ułożyliśmy je kolorami, później jabłka, liście, gruszki, liście, kasztany, znów liście, orzechy, jabłko, jabłka. Mandala cieszy oko – jesiennie.

Jesienne tkanie

Wokół nas jesienne kwiaty, leśne „dary", owoce, warzywa i mnóstwo pająków, które demonstrują swoje dzieła-pułapki. Wzorem pająków utkaliśmy jesienny obrazek. Z czterech gałęzi zmontowałam ramkę, na której rozciągnęliśmy sznurki na wzór krosien tkackich. Nazbieraliśmy materiały, ramkę umocowałam pionowo (w piasku) i Emil zaczął tkać jesienny obraz. Przeplatał i nucił jakąś prząśniczą melodię, znaną tylko jemu. Zioła, jabłuszka, paprocie, szyszki i inne skarby zaczęły tworzyć kompozycję. Gdy tkanie zostało ukończone, zawiesiliśmy obrazek na sznurku między drzewami, na tle lasu. Z radością spoglądamy na ten jesienny kilim.

WRÓCIŁA ZIMA

Lodowniki

Wróciła zima z mrozem i śniegiem, i tak jak na początku zimy zamroziliśmy owoce i kwiaty, tak dzisiaj zaproponowałam Emilowi zamrażanie pozostałych gałązek, traw i liści. Ułożyliśmy rośliny w talerzykach, zalaliśmy wodą i włożyliśmy nitkę (jako uchwyt). Emil z wielkim zaangażowaniem ciął gałązki. W nocy, na podwórku nasze kompozycje zamarzły, a rano wyjęliśmy je z talerzyków i powiesiliśmy na drzewie. Wyglądały jak lodowe bombki (oryginalna ozdoba na święta). W słońcu przypominały małe, lodowe obrazki.

WIOSNA RADOSNA

Weki na wieki

Istotą tej akcji było „wekowanie" wspomnień. Dużo jeździliśmy po okolicy i zwiedzaliśmy zabytki, oglądaliśmy przyrodę. Pomyślałam, że można by było zatrzymać te chwile w jakiś sposób na dłużej. Przyszło mi do głowy, że analogicznie do przygotowywania weków na zimę z darów lata, możemy zawekować nasze wspomnienia – w słoikach. Do szklanych słoików powkładaliśmy z Emilem różne rośliny, kojarzące się nam z teraźniejszym czasem. Znalazły się w nich: zasuszony rzepak z postoju na polu, kwiaty kwitnącej, dzikiej jabłoni z wycieczki po okolicy, zasuszone podczas Świąt Wielkanocnych

kwitnące kwiaty, zielona zupa z młodych listków z wędrówki, zupa z mleczy. Emil zrobił też maść z piasku, na bolącą stopę (wczoraj zrobiłam mu okład z altacetu na stópkę).

Po zakręceniu słoików, wycięliśmy ze starej bawełnianej bluzki serwetki do okrycia pokrywek. Nasze weki stanęły w kredensie ogrodowym. Będziemy je sukcesywnie „produkować" tak, aby zimą móc wspominać piękne, wiosenne i letnie chwile.

Słoneczny druk

Prosta i bardzo efektowna zabawa na upalne dni (wymaga gorącego słońca). Zamiast skomplikowanej w surowcach techniki cyjanotypii, podobna w efektach, zabawa z wykorzystaniem farby akrylowej i słońca. Malujemy rozcieńczoną farbą akrylową całą powierzchnię płótna (użyłam serwetki). Na mokrym płótnie układamy świeżo zerwane rośliny (liście, kwiaty). Dociskamy je wałeczkiem lub kamieniem. Pozostawiamy na słońcu na 1–2 godziny. Liście pochłaniają pigment farby. Zdejmujemy rośliny i mamy gotową grafikę powstałą dzięki gorącemu słonku. Po wyschnięciu, płótno możemy wykorzystać do uszycia torby, poszewki lub innych praktycznych i dekoracyjnych przedmiotów. Nasza serwetka jest ozdobą ogrodowego stołu.

LATO U BABCI

Zielono mi

Zainspirowana lokalnym rynkiem, na którym można było kupić codziennie świeże warzywa i owoce wymyśliłam warsztaty z ich użyciem. Był środek lata, warzywa i owoce były soczyste i pachnące. Nie były też zbyt drogie, a na dodatek – przy bliższym przyjrzeniu się – zachwycały formą. Do warsztatów wybrałam tylko zielone warzywa i owoce, bo temat też był zielony. „Zielono" – tak próbowaliśmy się poczuć na rozpoczęciu warsztatów. Niektórzy opowiedzieli z jakimi emocjami, uczuciami kojarzy im się ten stan. Była euforia, radość, ale i spokój. Pokazałam dzieciom poszczególne warzywa i dokładnie im się przyjrzeliśmy.

Każdy wybrał sobie kilka sztuk naszych materiałów i rozpoczął pracę z nimi, wykonując rzeźbę, kompozycję lub jak młodsze dzieci – ludzika. Urządziliśmy mini wystawę powstałych rzeźb. Muszę przyznać, że była to niczym nieskrępowana, radosna i pełna pasji wystawa sztuki nowoczesnej.

Konstrukcja prezentowanych warsztatów ma ścisły związek z cyklami naturalnymi. Są one determinowane przez cztery pory roku, a do swoich działań używamy „dobrodziejstw" sezonowych. Takich, których obfitość w danym czasie samoistnie inspiruje, a miejsce spotkań w naturalny sposób wzbudza zachwyt. Kulinarne porównanie jest tym bardziej na miejscu, gdy popatrzymy na dostępność tak zwanych „produktów" lokalnych. Zaopatrujemy się w nie często podczas naszych cotygodniowych wycieczek do miejsc nie tak odległych jakby mogło się wydawać. Są to – oprócz nasuwających się od razu: lasu, plaży, łąki czy brzegów jezior i rzek – miejsca z pozoru nieprzypominające składu z materiałami plastycznymi: ulica, chodnik czy po prostu przydomowy ogródek lub plac zabaw. Ten ostatni można przecież zbudować dla siebie samemu.

→ Opisy warsztatów i zdjęcia pochodzą z bloga autorki: www.emilowowarsztatowo.blogspot.com

TA PODRÓŻ NIGDY SIĘ NIE KOŃCZY...

z JÖRNEM KAUFHOLDEM

ROZMAWIA ALINA MICHALIK

Wywiad z Jörnem Kaufholdem, pedagogiem społecznym oraz trenerem i mentorem Pedagogiki Dzikiej Przyrody przy szkole Wildnisschule Wildniswissen. Wywiad przeprowadziła i przetłumaczyła Alina Michalik.

Od autorki:

Z Pedagogiką Dzikiej Przyrody i jej trenerami zetknęłam się osobiście jesienią 2008 roku, podczas współpracy przy polsko-niemieckich projektach, realizowanych na terenie województwa lubuskiego oraz Brandenburgii. W niewielkim międzynarodowym gronie, po raz pierwszy zaczęliśmy się zastanawiać jak trafnie przetłumaczyć na język polski niemieckie słowo „Wildnis" lub angielskie „wilderness"? Polskim odpowiednikiem wydawało się słowo „dzicz". Jednak na przestrzeni dziejów, wraz z rozluźnianiem się więzi między człowiekiem a przyrodą, „dzicz" stała się synonimem czegoś prymitywnego, nieuporządkowanego i niebezpiecznego. Ostatecznie zdecydowaliśmy się na „dziką przyrodę", wierząc że na odczarowanie starej, dobrej „dziczy" przyjdzie jeszcze czas.

Mojego rozmówcę, Jörna Kaufholda, poznałam w marcu 2012 roku, kiedy rozpoczynaliśmy cykl polsko-niemieckich spotkań w ramach rocznego kursu Pedagogiki Dzikiej Przyrody, organizowanego w Niemczech przez ośrodek edukacji przyrodniczej „Drei Eichen". Jesienią 2015 roku przeprowadziłam z nim krótki wywiad.

Alina Michalik: **Skąd w ogóle wzięła się Pedagogika Dzikiej Przyrody?**

Jörn Kaufhold: Pedagogika Dzikiej Przyrody przywędrowała do nas ze Stanów Zjednoczonych. Ojcami tego nurtu są Tom Brown i jego uczeń, Jon Young. Tom Brown jest znanym amerykańskim nauczycielem dzikiej przyrody. Wspomina o tym, że sam pobierał kiedyś nauki u starego człowieka z plemienia Apaczów, nazywanego Stalking Wolf. Tom Brown przekazał zdobytą wiedzę dalej, pracując przez dziesięć lat ze swoim uczniem, Jonem Youngiem. To właśnie Young przeniósł ten pomysł do Europy i rozpowszechnił go w różnych jej częściach. A z Wilderness Awareness narodziła się niemiecka Pedagogika Dzikiej Przyrody (niem. Wildnispädagogik – przyp. tłumacza).

Czym dokładnie jest Pedagogika Dzikiej Przyrody i jakie są jej główne założenia?

Podstawową ideą Pedagogiki Dzikiej Przyrody jest to, aby ponownie głęboko połączyć ludzi z naturą. Można by w tym miejscu zapytać, co to oznacza w praktyce? Ważny jest moment, kiedy człowiek znów może stać się „tubylcem", czuć się w swoim otoczeniu u siebie... Czyli idziemy do lasu i słyszymy, kiedy ptak ostrzega nas przed zbliżającym się drapieżnikiem, czytamy ślady i tropy pozostawione przez zwierzęta, rozpoznajemy rośliny, które mają właściwości lecznicze, umiemy poradzić sobie z rozpaleniem ognia. Ale przede wszystkim, czujemy się powiązani z naturą. To jest podróż, podczas której uczymy się umiejętności, takich jak rozpalanie ognia, czytanie zwierzęcych tropów, ale to także podróż, która pozwala nam szeroko się rozwijać.

Kiedy jesteś tam na zewnątrz, w lesie, napotykasz na rzeczy, do których być może nie jesteś przyzwyczajony w swoim życiu codziennym. To na przykład fakt, że jest ciemno, że czasem się boisz. Jest to więc również nasza wewnętrzna podróż...

W zachodniej części Europy oraz w Skandynawii „dzikie szkoły" są bardzo popularne. W Polsce takie inicjatywy dopiero się rodzą. Ty swoje pierwsze „dzikie nauki" pobierałeś w Wildnisschule Wildniswissen. Jaka była twoja osobista droga w tym kierunku?

W każdym większym niemieckim mieście istnieje co najmniej jedna szkoła dzikiej przyrody. Jedną z największych, jeśli nie największą dziką szkołą w Niemczech, jest Wildnisschule Wildniswissen, prowadzona od 1995 roku przez Wolfganga Pehama. Ponad dziesięć lat temu dołączyłem do tej grupy, biorąc najpierw udział w weekendowym kursie, prezentującym podstawy Pedagogiki Dzikiej Przyrody. Tak mnie to zainteresowało i tak mi się spodobało, że pozostałem na tej drodze i ukończyłem roczny kurs, który do dziś jest filarem programowym Pedagogiki Dzikiej Przyrody. Kurs opiera się na cyklicznych spotkaniach, sześciu w ciągu całego roku. W międzyczasie uczestnicy pracują indywidualnie nad szeregiem powiązanych ze sobą zadań domowych. Po kilku latach wziąłem udział w drugim stopniu kursu Pedagogiki Dzikiej Przyrody, oznaczało to dodatkowe dwa lata kształcenia. W międzyczasie uczestniczyłem w innych, podobnych szkoleniach. Udział

w takich kursach jest ważny, ale prawdziwe doświadczenie zdobędziesz ostatecznie, spędzając w lesie naprawdę dużo czasu.

A. M.: W pewnym momencie związałeś swoje życie prywatne z Pedagogiką Dzikiej Przyrody, z przebywaniem w lesie i przekazywaniem wiedzy...

Tak. Wywodzę się z branży edukacyjnej. Kiedy zaczynałem przygodę z Pedagogiką Dzikiej Przyrody, myślałem, że to co robię, czyli klasyczna praca edukacyjna, a więc krąg krzeseł, dyskutowanie na różne tematy i dzika przyroda to dwa światy, które do siebie nie pasują. Przez kilka lat świadomie oddzielałem te dwie sfery. Jedno z nich było moim hobby, a drugie – moim zawodem. Aż pewnego razu zauważyłem, że ten podział jest sztuczny, że to naprawdę wszystko jedno, czy ludzie uczą się w sali seminaryjnej, czy w lesie. Procesy zachodzą podobnie. Odkąd odnalazłem w sobie tę świadomość, łączę obie drogi. Z zewnątrz one wydają się oczywiście odmienne, ale dla mnie najistotniejszy jest fakt, że ludzie w grupach chcą się czegoś nauczyć.

Czym różnią się metody Pedagogiki Dzikiej Przyrody od innych pedagogicznych założeń?

Pedagogika Dzikiej Przyrody często łączona jest z pedagogiką doświadczeń. Kiedyś prowadziłem szkolenie z pedagogiki doświadczeń, jednym z zadań postawionych przed uczestnikami było rozpalenie ognia bez użycia zapałek, przy pomocy łuku ogniowego. Wielu osobom w grupie nie udało się w ten sposób rozpalić ognia. Na koniec uczestnicy skarżyli się, że nie omówiliśmy w ramach ewaluacji procesu grupowego, czyli tego jak grupa ze sobą podczas tego zadania współpracowała. A ja widzę to tak: robimy ogień, ponieważ chcemy ten ogień mieć, a nie po to, by rozmawiać o tym, jak przebiegał proces rozniecania ognia. Kiedy potrzebujemy ognia, rozpalamy go po prostu! Podobnie, jeśli chcemy zrozumieć mowę ptaków albo czytać zwierzęce tropy, musimy nasłuchiwać uważnie albo pochylić się nad odciskami zwierzęcych stóp. My niczego nie inscenizujemy, nie używamy natury jako tła, na którym coś się odbywa, jak to ma miejsce w przypadku innych metod. A takie zarzuty można właściwie postawić pedagogice doświadczeń. Oczywiście, kiedy rozniecamy ogień, zachodzą różne procesy grupowe oraz indywidualne. Możemy również o tym porozmawiać. Jednak podstawowym celem jest w tym przypadku ogień sam w sobie. To co robimy, różni się od pozostałych pedagogicznych założeń jeszcze jednym elementem. Pedagogika Dzikiej Przyrody to inny sposób przekazywania wiedzy. Stawiamy na to, by ludzie sami gromadzili swoje doświadczenia. Można komuś pokazać dwadzieścia pojedynczych roślin, podać ich nazwy, ale to wciąż nie oznacza, że ta osoba następnym razem rozpozna tę roślinę samodzielnie. Próbujemy więc najpierw wspierać uczącego się w nawiązaniu silnej więzi między nim a rośliną. A dzieje się tak przez odpowiednie obserwacje, wykonywanie szkiców rośliny, czy choćby zaparzenie herbaty z jej liści. Podstawą jest więc wywołanie konkretnego doświadczenia, opartego na bazie zmysłów.

Czym jest w takim razie Coyote Teaching, termin który nieodłącznie towarzyszy Pedagogice Dzikiej Przyrody?

Termin Coyote Teaching zawiera w sobie słowo kojot. Odpowiednikiem północnoamerykańskiego kojota tutaj, w Europie Środkowej, jest lis. A lis jest dla nas symbolem postawy dobrego nauczyciela, mentora. Dajemy mniej odpowiedzi, ceniąc bardziej same pytania. Nie chcemy naszymi odpowiedziami niszczyć ciekawości uczestników... Zadania formułujemy tak, by zaskoczyć nieco uczących się. I jak najbardziej na miejscu są treści przekazywane z humorem.

Kim jest mentor w Pedagogice Dzikiej Przyrody? Czym różni się od klasycznego nauczyciela?

Nauczyciel wie, czego powinien nauczyć się uczeń. Jest matematyka, są ułamki. Nauczyciel przekazuje wiedzę i oczekuje, że uczeń tę wiedzę przyjmie. Tymczasem Coyote Teacher przekazuje wiedzę i obserwuje uczącego się. Do czego ta osoba „zapala się" najbardziej, które zagadnienia pociągają ją najintensywniej... Może uczący się próbuje odkryć, jaki trop ma przed sobą, a może ma ochotę samodzielnie rozpalić ogień? Mentor pomaga uczącemu się w podążaniu za własnymi zainteresowaniami i obserwuje w jaki sposób ten pokonuje swoje własne granice. Jesteśmy głęboko przekonani, że nie należy myśleć: „musisz się tego nauczyć, bo ja tego chcę".

Czy Pedagogika Dzikiej Przyrody jest dobra dla dzieci?

To jest pytanie retoryczne! Oczywiście, że dzieci mają ochotę biegać na świeżym powietrzu, rozpalać ogień, taplać się w błocie, wspinać na drzewa

i wąchać kwiaty. Nawet jeśli będziemy otoczeni milionem mediów i innych czynników odwracających dziecięcą uwagę, to obcowanie z naturą jest jedną z tych rzeczy, która zawsze będzie wzbudzać w dzieciach entuzjazm, rozwijając w nich głęboką więź z przyrodą.

A jakie są efekty tak głębokiego studiowania przyrody w przypadku osób dorosłych?

Zależy to oczywiście od intensywności. Podczas wspomnianego wcześniej rocznego kursu Pedagogiki Dzikiej Przyrody zajmujemy się różnymi zagadnieniami, od rozpoznawania tropów zwierząt po rozpalanie ognia. Doświadczenie pokazuje, że jest to dla każdego bardzo osobista podróż. Wielu uczestników zyskuje zupełnie nowy pogląd na to, co jest dla nich naprawdę ważne. Często ludzie postrzegają ten czas jako bardzo cenny, ponieważ na co dzień siedzą przed komputerem, w świecie zdominowanym przez umysł. Nagle wychodzą na zewnątrz, wąchają coś, smakują czegoś, siedzą w słońcu, pozwalają się doszczętnie zmoczyć przez deszcz i... stopniowo rozkwitają.

W 2016 roku w Polsce rozpocznie się pierwszy kurs Pedagogiki Dzikiej Przyrody dla dorosłych. Czy mógłbyś opowiedzieć o tym, skąd wziął się pomysł zorganizowania takich zajęć w Polsce?

Jak już wspominałem, metodyczne narzędzia Pedagogiki Dzikiej Przyrody przybyły do Niemiec ze Stanów Zjednoczonych. W 2001 roku cała ta koncepcja dotarła do ośrodka edukacji przyrodniczej „Drei Eichen" w Brandenburgii, który odtąd stał się jedną z placówek wspierających „Wildnisschule Wildniswissen". Z uwagi na położenie ośrodka w pobliżu granicy polsko-niemieckiej, z czasem naturalnie wykluł się pomysł, aby zaoferować nasze szkolenie polskim i niemieckim edukatorom ze środowisk związanych z edukacją, przyrodą i ochroną środowiska. Te międzynarodowe spotkania nie mogłyby się odbyć, gdyby nie osobiste zaangażowanie wielu osób, przede wszystkim doktor Charlotte Bergmann, która jest głową i sercem ośrodka w „Drei Eichen". Robiliśmy to przez ostatnie cztery lata z dużym sukcesem, zawsze w obu językach.

Od początku towarzyszyła nam taka myśl, że polsko-niemieckie spotkania mogłyby stać się kiedyś mostem, który przeniesie Pedagogikę Dzikiej Przyrody do Polski. Od początku byłaś też z nami ty Alino, tłumaczyłaś i współprowadziłaś zajęcia. No i dotarliśmy do tego momentu, w którym na 2016 rok zaplanowaliśmy utworzenie w Polsce rocznego kursu Pedagogiki Dzikiej Przyrody pod nazwą „Dzikie Studia". Nie ukrywam, że poprowadzę go wspólnie z tobą. Spotkania po polsku, dla polskich uczestników!

Zdradźmy, kto może wziąć udział w takim kursie.

Często jestem pytany o to, kto naprawdę interesuje się edukacją w dzikiej przyrodzie? Zadaję wtedy pytanie zwrotne: A kto nie interesuje się przyrodą? Kto nie dostrzega drzemiącego w niej piękna? Na naszych szkoleniach pojawia się wielu pedagogów, którzy zajmują się edukacją przyrodniczą i ekologiczną. Poszukują oni metod, koncepcji oraz inspiracji, aby zainteresować innych naturą i przebywaniem blisko niej. Ale wiele osób nie ma żadnego „zawodowego" związku z dziką przyrodą. Ludzi po prostu interesuje ten temat. Często mówią: „Wiem, że jest więcej do odkrycia niż to, co wiedziałem do tej pory, więc poszukuję dróg, by więcej się nauczyć". Pierwszym założeniem Pedagogiki Dzikiej Przyrody jest to, żeby najpierw samemu odkryć całą gamę powiązań między sobą a światem przyrody. Zebrać doświadczenia po to, by przekazać tę wiedzę dalej. Tak więc wśród naszych uczestników są zarówno pedagodzy, lekarze, terapeuci, jak i elektrycy czy menedżerowie dużych przedsiębiorstw. Nie mamy stałej i sprecyzowanej grupy docelowej. Jedyne, co zawsze na początku mówimy uczestnikom zajęć, to: „Dajemy wam przykłady i propozycje. Wypróbujcie to, weźcie, co się wam podoba i co uznajecie za dobre. Wszystko to, co do was nie przemawia, możecie odrzucić".

Zaproponowałem przeczytanie cytatu Tolkiena o Entach. Po opowieści dzieci miały wsłuchać się w las, odnaleźć dźwięk jakiegoś drzewa, który mógłby być głosem Enta, podejść do danego drzewa i pobyć z nim przez chwilę. Chwila przedłużyła się do ponad 10 minut, gdyż zdecydowana większość dzieci długo nie ruszała się od swoich „wybrańców".

Kamil Czepiel

SIEDZISKO

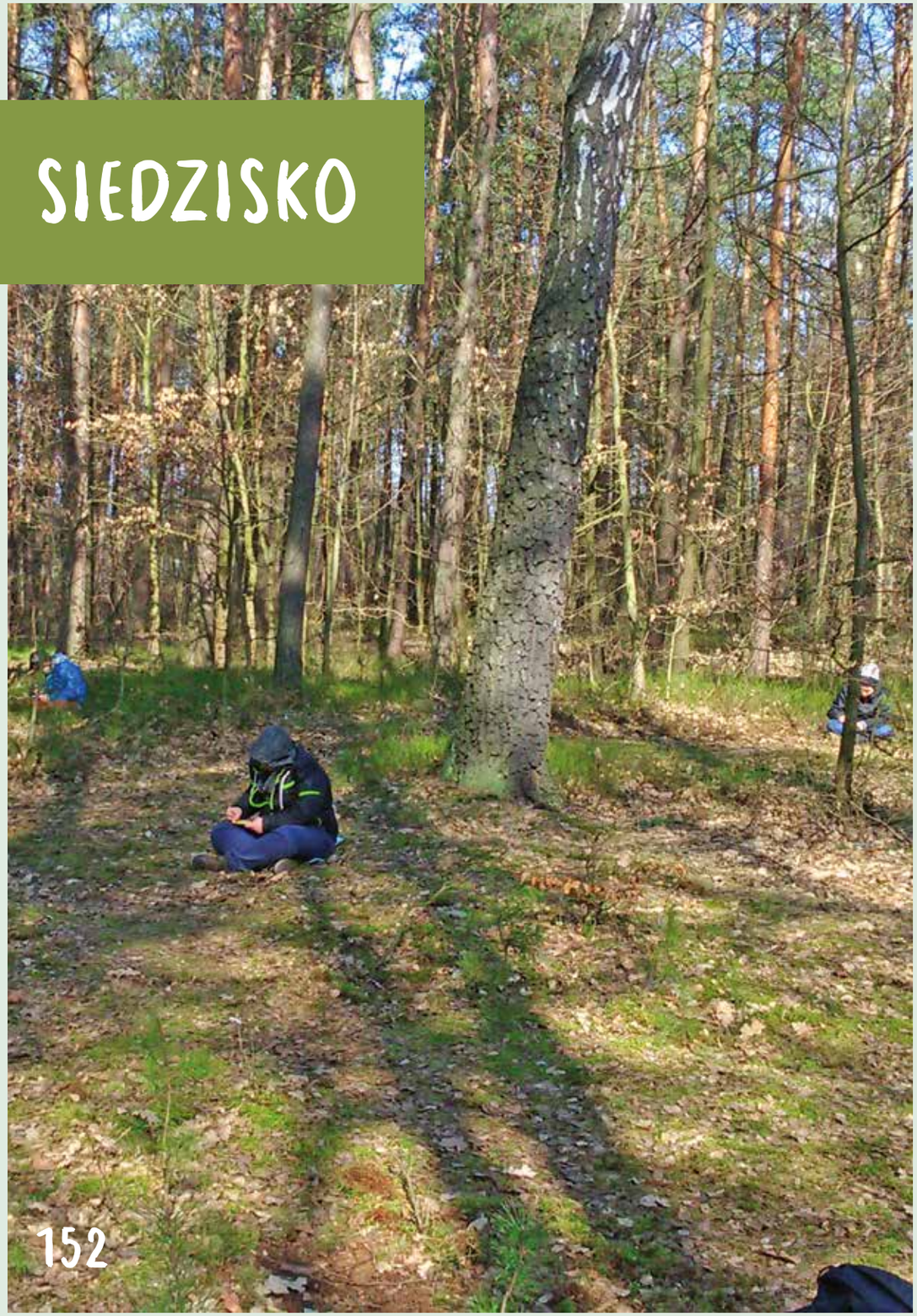

Zabierz dzieci w miejsce, gdzie znajduje się dzika przyroda. Ubierzcie się terenowo. Każdy powinien mieć kawałek karimaty, na której będzie mógł usiąść. Kiedy będziecie na miejscu, poproś, aby każde dziecko znalazło dla siebie zaciszne miejsce, gdzie przez najbliższe 20–60 minut (w zależności od wieku uczniów) wygodnie usiądzie na swoim kawałku karimaty i będzie w ciszy obserwować przyrodę.

Poproś, aby dzieci postarały się „wtopić" w przyrodę, stać się jej częścią, odbierać ją różnymi zmysłami. W czasie trwania siedziska dzieci nie powinny się przemieszczać – podobnie jak drzewa, które są na stałe zakorzenione w jakimś miejscu. Ostrzeż dzieci, że kiedy już będą na swoim siedzisku, może przyjść do ich głowy „paplacz", który będzie starał się odwrócić uwagę od przyrody, zajmując ich myśli zupełnie innymi rzeczami (np. co będą robić po powrocie, jaką zabawkę chcą kupić, co działo się w szkole). Poproś, aby starały się wtedy „paplacza" przegonić i skupić na obserwacjach oraz na swojej obecności w przyrodzie.

W trakcie siedziska można poczynić wiele obserwacji – siedząc w ciszy i bezruchu nie płoszymy zwierząt, mamy też czas, aby dostrzec rzeczy, na które nie zwracaliśmy wcześniej uwagi. Nie jest to jednak rodzaj zawodów, kto więcej zauważy lub usłyszy, a raczej forma bycia w naturze, oswajania się z nią, dochodzenia do świadomości, że jesteśmy jej częścią.

Kiedy minie czas, dajemy głośny (ustalony wcześniej) sygnał do powrotu, np. odgłos jakiegoś zwierzęcia. Kiedy dzieci usłyszą sygnał, wracają na miejsce zbiórki. Usiądźcie teraz w kręgu i poproś dzieci o podzielenie się ich wrażeniami z siedziska. Czy coś zaobserwowały, jakie miały przemyślenia, czy dobrze się czuły, czy chciałyby jeszcze wrócić na swoje siedzisko?

Przebywanie na siedzisku to niesamowity relaks, obserwujemy przyrodę, ale też mamy okazję wsłuchać się w śpiew ptaków, poczuć na skórze promienie słońca, wiatr, wąchać zapachy natury, a wszystko przychodzi naturalnie... Najlepiej jeśli sama/sam wcześniej spróbujesz. Warto powracać z dziećmi na te same siedziska i obserwować, jak przyroda zmienia się wraz ze zmianą pór roku albo co dzieje się zależnie od pory dnia. Można również poprosić dzieci o skupienie się podczas siedziska na jakimś aspekcie funkcjonowania przyrody.

O PROJEKCIE „W DZIKĄ STRONĘ"

AGNIESZKA GASZYŃSKA

Projekt „W dziką stronę” realizowany przez Ośrodek Działań Ekologicznych Źródła trwał przez dwa lata. W tym czasie zorganizowaliśmy m.in.: dwie konferencje poświęcone edukacji terenowej, kurs dla trenerów edukacji przyrodniczej oraz liczne szkolenia dla nauczycieli w całej Polsce. Zaprosiliśmy do współpracy praktyków edukacji terenowej z Polski i z zagranicy, którzy podzielili się z nami swoimi doświadczeniami i pomysłami na to, jak prowadzić z dziećmi angażujące zajęcia w terenie. Podczas kursu aktywnie zapoznaliśmy się z różnymi podejściami do edukacji terenowej – od gier i zabaw, które niekoniecznie wiążą się z poznawaniem przyrody, ale pozwalają czerpać radość z przebywania na świeżym powietrzu, przez zdobywanie praktycznych umiejętności jak rozpalanie ognia, czy budowanie schronienia w lesie, po zajęcia stawiające na nawiązanie głębokiego kontaktu z przyrodą i samodzielne zdobywanie w terenie wiedzy przyrodniczej. Na własnej skórze doświadczaliśmy jaką radość mogą sprawić uczestnikom aktywne warsztaty w przyrodzie – był to dla nas wspaniały i inspirujący czas. Świetnie się bawiliśmy i bardzo chcieliśmy, aby ta radość stała się również udziałem dzieci. By dzieci – na co dzień oddzielone od przyrody, ograniczone lękami przejętymi często od dorosłych – na nowo oswoiły się z naturą i poczuły się jej częścią. Naszym celem było wyciągnięcie jak największej liczby dzieci, razem z ich nauczycielami i nauczycielkami, z klas szkolnych w teren – do lasu, na łąkę, nad rzekę, jezioro lub chociaż do niezagospodarowanej części pobliskiego parku. Wszędzie tam, gdzie kończą się wybetonowane alejki i kontrolowana przestrzeń, a zaczyna dziki świat. I to nie na krótkie, jednorazowe zajęcia, ale na cały cykl kilkugodzinnych warsztatów, których założeniem było umożliwienie dzieciom przebywania w przyrodzie... i zobaczenie, co z tego dalej wyniknie.

Warsztaty trwały przez pół roku – był to cykl pięciu pięciogodzinnych wyjść dla 139 klas z różnych miejsc w Polsce. Trzy pierwsze warsztaty z cyklu prowadzone były przez Dzikich Trenerów, a dwa kolejne – przez nauczycieli, którzy wzięli udział we wcześniejszych szkoleniach, deklarując w ten sposób udział swojej klasy w projekcie. Zarówno dla trenerów, jak i dla nauczycieli było to spore wyzwanie – nie dawaliśmy nikomu gotowych scenariuszy z rozpisanym planem warsztatów, nie chcieliśmy niczego narzucać, była to indywidualna droga każdego z prowadzących. Podróż w nieznane, którą odbyli razem z dziećmi. Przypominało to trochę odkrywanie nowego lądu – dla każdego jednak ten ląd był inny. W projekcie pracowali bowiem zarówno doświadczeni trenerzy, jaki i osoby rozpoczynające dopiero swoją przygodę z edukacją, nauczyciele przyrody, ale również języka polskiego, matematyki, angielskiego, wf-u, muzyki i innych przedmiotów. Doświadczenie to sprawiło, że wielu z nich uwierzyło w swoje możliwości, kreatywność i pomysłowość oraz w to, że są w stanie prowadzić wspaniałe lekcje w przyrodzie. Zrozumieli, że takie działanie nie wymaga wcale bycia omnibusem, ani ukończenia studiów przyrodniczych. Dla dzieci był to czas ruchu na świeżym powietrzu i nieskrepowanej niczym wolności. Zajęcia angażowały wszystkich uczniów, dawały im okazję pokazania się z zupełnie innej strony niż na co dzień w szkole, podejmowania wyzwań, przezwyciężania własnych słabości i lęków. Dzieci uczyły się przez doświadczenie, przeżycie, dotknięcie, poczucie... I co ważne – chciały jeszcze! Uwieńczeniem cyklu warsztatów były leśne szkoły, które zorganizowaliśmy dla najbardziej zaangażowanych klas. Relacje z projektu pisane przez nauczycieli i trenerów (fragmenty niektórych zamieściliśmy w tej książce) oraz obserwacja, jak dzieci rozkwitają w kontakcie z naturą utwierdziły nas w przekonaniu, że było warto!

Bardzo dziękujemy wszystkim dorosłym i dzieciom, którzy zaangażowali się w nasz projekt. Życzymy Wam dalszych wypraw w dziką stronę! Dziękujemy też dzikiej przyrodzie – za to, że jest.

Na początku obawiałam się tego projektu, ponieważ nie jestem przyrodniczką, a teraz wiem, że był on niesamowitym i pozytywnym doznaniem dla mnie i moich uczniów. Korzyści płynące z tego projektu określę metaforycznie: OTWARCIE OKNA. Poznałam moją klasę z innej strony, dzieci także poznały mnie inaczej niż na lekcji. Wyjazdy dały nam możliwość cieszenia się sobą bez dzwonkowo-lekcyjnej presji czasu. Moja przygoda z projektem nie kończy się. Planuję zabrać dzieci jesienią do lasu na integracyjny wyjazd i wiem, że będzie to piękny czas.

Ewa Pyzik
Szkoła Podstawowa nr 159 Sióstr Urszulanek
Unii Rzymskiej w Krakowie

DUSZA DRZEWA

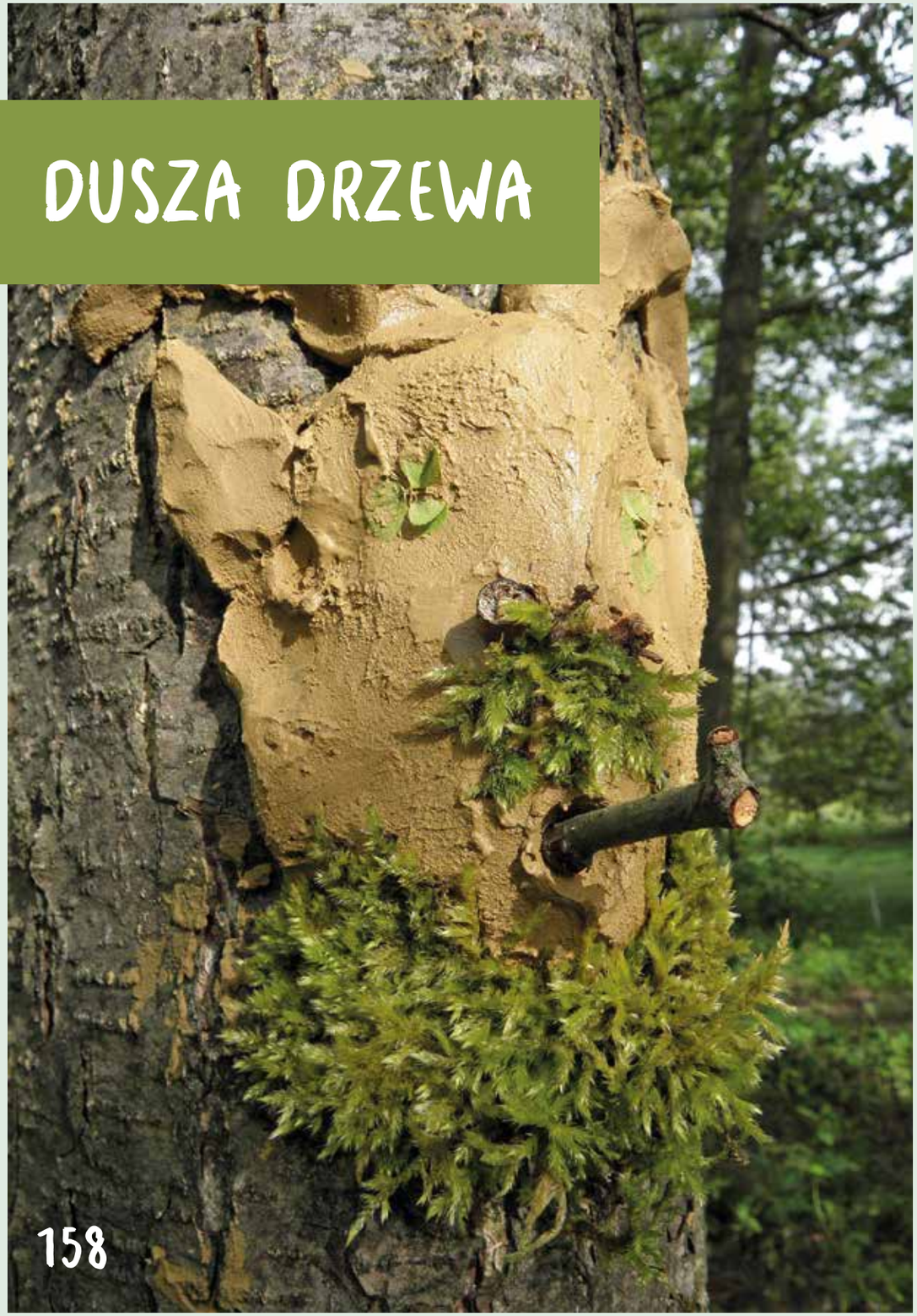

Do tego zadania potrzebna będzie glina lub gęste błotko, z którego można rzeźbić.

Podziel uczestników na małe zespoły (2–3 osobowe) i poproś, aby każdy zespół znalazł w okolicy drzewo, które wydaje się najbardziej interesujące lub najbardziej podoba się grupie. Następnie poproś zespoły, aby dokładnie przyjrzały się drzewu i spróbowały sobie wyobrazić, jaki ma ono charakter i jak wyglądałby duch ich drzewa. Czy byłby to duch o twarzy młodej i pięknej, czy starej i pooranej zmarszczkami, czy miałby włosy, wąsy i brodę a może okulary, czy byłaby to twarz ludzka, zwierzęca czy zupełnie abstrakcyjna? Poproś, aby każda grupa ulepiła na pniu drzewa taką twarz wykorzystując glinę lub błotko oraz liście, gałązki, mech itp. Na koniec poproś każdą grupę, aby opowiedziała o duszy swojego drzewa. Ćwiczenie można poprzedzić opowieścią o ludowej symbolice drzew.

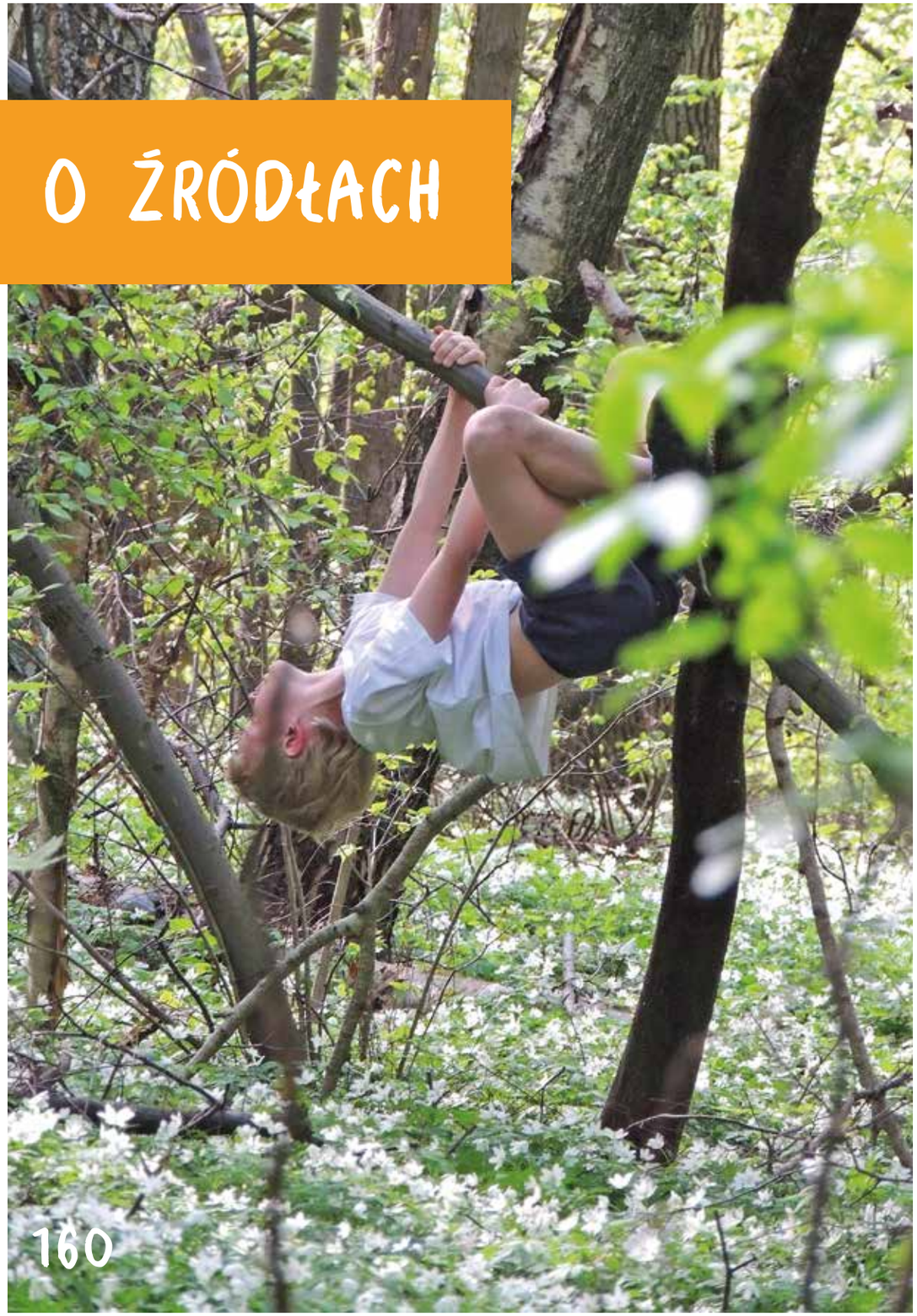

O ŹRÓDŁACH

Ośrodek Działań Ekologicznych „Źródła” od ponad 20 lat zajmuje się szeroko rozumianą edukacją ekologiczną, przyrodniczą i globalną. Naszą misją jest stałe zwiększanie stopnia świadomości ekologicznej społeczeństwa poprzez aktywną edukację ekologiczną, realizowaną głównie poprzez warsztaty dla młodzieży, szkolenia, wyjazdy terenowe, projekty informacyjne.

Nasze działania koncentrują się wokół tematyki małej ekologii, ochrony humanitarnej zwierząt, edukacji przyrodniczej, edukacji globalnej i etnograficznej. Pracujemy w oparciu o autorskie programy, które na bieżąco są aktualizowane i dopasowywane do zapotrzebowania nauczycieli oraz obowiązującej podstawy programowej. Opracowujemy własne materiały dydaktyczne w postaci gier, zabaw, kart pracy.

Nasza oferta obejmuje ponad osiemdziesiąt tytułów warsztatów dla dzieci i młodzieży realizowanych w Ośrodku Edukacji i Kultury Ekologicznej w Łodzi przy ul. Zielonej 27, w szkołach i w terenie w Łodzi, Warszawie, Krakowie i na Śląsku. Organizujemy także „Bardzo Zielone Szkoły” dla szkół z całej Polski – są to 5-dniowe wycieczki z intensywnym programem edukacji ekologicznej i przyrodniczej prowadzone przez doświadczonych trenerów.

Średnio rocznie z oferty edukacyjnej ośrodka bezpośrednio korzysta ok. 12 000 uczniów. Od początku działalności opracowaliśmy około 200 scenariuszy zajęć na potrzeby własne oraz innych organizacji, wydaliśmy ponad 30 publikacji z zakresu edukacji ekologicznej i globalnej. Poza prowadzeniem stałej działalności edukacyjnej w ramach OEiKE Źródła prowadzą szereg regionalnych oraz ogólnopolskich projektów edukacyjnych skierowanych do szkół oraz do szerokiego grona odbiorców.

Ośrodek współpracuje z wieloma organizacjami pozarządowymi, instytucjami, ośrodkami doskonalenia nauczycieli, ośrodkami edukacji ekologicznej i samorządami. Jako nasz sukces poczytujemy sobie zaufanie tych instytucji i organizacji, które znając dorobek edukacyjny Źródeł, zwracają się do nas, gdy istnieje potrzeba opracowania programów edukacyjnych, materiałów dydaktycznych, przygotowania i prowadzenia szkoleń, doradztwa. Pracowaliśmy na zlecenie m.in. Ministerstwa Środowiska, Polskiej Zielonej Sieci, Centrum Edukacji Obywatelskiej, Fundacji Ekorozwoju, Pracowni na rzecz Wszystkich Istot.

Nasze Stowarzyszenie posiada status Organizacji Pożytku Publicznego, można nam przekazać 1% swojego podatku.

→ Więcej informacji na naszej stronie internetowej www.zrodla.org

AUTORZY

Karolina Baranowska – trenerka edukacji ekologicznej oraz wiceprezeska zarządu Źródeł, w stowarzyszeniu od 2003 roku. Z wykształcenia antropolożka kultury, z zamiłowania i przekonania ekolożka. Prowadzi warsztaty w Ośrodku Edukacji i Kultury Ekologicznej „Zielona 27" dla wszystkich grup wiekowych (od przedszkolaków do słuchaczy uniwersytetów trzeciego wieku) i na wszelkie tematy, z wyłączeniem zajęć plastycznych, do których niestety brak jej umiejętności, współprowadzi również szkolenia dla nauczycieli oraz dla przyszłych trenerów edukacji ekologicznej i globalnej. Absolwentka Polsko-Niemieckiego Kursu Edukacji w Dzikiej Przyrodzie według metody „nature mentoring". Prywatnie wegetarianka i miejska rowerzystka, w wolnych chwilach wolontariuszka w fundacji zajmującej się pomocą bezdomnym zwierzętom. Uwielbia długie spacery, podróże po Polsce i ciekawą literaturę.

Anna Chomczyńska – pracowniczka małopolskiego oddziału ODE „Źródła", absolwentka Ochrony Środowiska, od lat prowadzi warsztaty dla dzieci, młodzieży i dorosłych. Od dzieci nieustannie uczy się optymizmu, radości z małych rzeczy, uważności i zachwytu dla przyrody. Najbardziej lubi pracować w lesie i ma nadzieję, że edukacja terenowa stanie się obowiązkowym przedmiotem w każdej szkole. Interesuje się metodami edukacji alternatywnej, fascynuje ją socjobiologia oraz komunikacja empatyczna. Wciąż poszukuje nowych metod pracy, jest mistrzynią w wynajdywaniu ciekawych szkoleń. W wolnych chwilach przerabia śmieci na przedmioty użytkowe, współtworzy przyrodniczo-artystycznego bloga DomoTwory.

Kamil Czepiel – pracownik małopolskiego oddziału ODE „Źródła", absolwent Ochrony Środowiska, od lat zajmuje się edukacją przyrodniczą dzieci i dorosłych. Z pasji entomolog, szczególną miłością darzący pszczoły. Artysta czerpiący inspirację z natury: pisarz, głównie fantastyki, wyróżniony przez Ministerstwo Środowiska w konkursie przyrodniczym „Las – moja miłość"; fotograf-amator, twórca wystawy fotograficznej „Wschodząca nadzieja"; Współtwórca przyrodniczo-artystycznego bloga DomoTwory, gdzie zajmuje się rysowaniem polskiej przyrody. Interesuje się także dawnymi narzędziami, a wolne chwile spędza przemierzając boso bezdroża, lasy i mokradła, doskonaląc przy tym techniki survivalowe i podglądając dzikie zwierzęta.

Agnieszka Gaszyńska – absolwentka Ochrony Środowiska na Uniwersytecie Łódzkim, pracuje w Ośrodku Działań Ekologicznych „Źródła" gdzie koordynuje projekt „W dziką stronę" oraz Bardzo Zielone Szkoły, prowadzi również szkolenia dla nauczycieli i zajęcia terenowe z dziećmi. Ukończyła Polsko – Niemiecki Kurs Edukacji w Dzikiej Przyrodzie w Drei Eichen, gdzie na własnej skórze doświadczyła jak wspaniale jest ponownie połączyć się z Naturą.

Richard Irvine – absolwent Uniwersytetu w Oxfordzie, trener Leśnych Szkół z ponad dwudziestoletnim doświadczeniem w pracy terenowej, prowadzi szkolenia dla dzieci i dorosłych w północnym Devon w Anglii oraz 3-stopniowe szkolenia dla edukatorów Leśnych Szkół w Wielkiej Brytanii i za granicą. Specjalizuje się w edukacji leśnej i doświadczalnej.

Irka Jazukiewicz – ekolożka i edukatorka, w ODE „Źródła" trenerka edukacji przyrodniczej, ekologicznej i globalnej, z wykształcenia polonistka, zawsze ciekawa nowych metod zabawy i pracy z dziećmi oraz dorosłymi. Entuzjastka „dzikiej edukacji" i literacka wielbicielka Milorada Pavicia i Jose Luisa Borgesa. Z pasją uczy się, dziwi i opowiada o strategiach przystosowawczych roślin i zwierząt. Pisze artykuły, poruszające zagadnienia przyrodnicze, globalne, a także prawa człowieka (Ekokalendarz.pl, Woda.edu.pl), uparcie uprawia balkonowe zioła i organizuje happeningowe koncerty ze Stowarzyszeniem MY. Imigrantka z Wilna w Warszawie, na co dzień rowerzystka i puzonistka w orkiestrze warzywnej Paprykalaba.

Marta Jermaczek-Sitak – ekolożka, botaniczka, specjalizuje się w roślinności łąk i pastwisk, zajmuje się też restytucją ekosystemów oraz ekologią krajobrazu kulturowego. Wspiera naukę przyrody w Wolnej Szkole w Zielonej Górze oraz w poznańskiej szkole demokratycznej „Trampolina". Działa w Klubie Przyrodników i w Kolektywie Edukacyjnym.

Prowadzi Wolną Szkołę Gospodarstwa Wiejskiego w Kosieczynie, gdzie mieszka w sąsiedztwie kóz, kur i kaczek, z psami i kotami, gdzie uprawia dynie, szpinak, rzodkiewkę, zielony groszek i nie tylko. Żona Andrzeja, mama Stacha i Tyma – dzieci, które nie znają szkoły ani przedszkola, znają za to błoto, patyki i ogień. Pisze bloga „Kura z doktoratem".

Izabela Jędrulak-Mocur – autorka bloga EMILOWOMARCELOWO, prowadzonego wraz z synami Emilem i Marcelem: http://emilowowarsztatowo.blogspot.com. Z przedmiotów, które znajdują się w każdym gospodarstwie domowym – od kuchennych przypraw przez plastikowe opakowania, po nici i kable – tworzy wraz z dziećmi akcje malarskie, graficzne i rysunkowe, które prezentuje na blogu. Tak powstały Mamiaki, Liściaki i Stworki Śmieciorki. Tworzy również książki artystyczne i obiekty.

Marta Karbowiak – z wykształcenia kulturoznawczyni ale z pasji ekolożka. Od wielu lat związana z sektorem pozarządowym – jako koordynatorka projektów, wolontariuszka i animatorka społeczna. Szczególnie bliskie są jej działania na rzecz bezdomnych zwierząt oraz ochrony zieleni w mieście. Jak twierdzi: z drzew najbardziej lubi samosiejki, z psów – kundle, a z ludzi – tych, którzy dbają o coś więcej niż interes własnego gatunku. Miejska aktywistka, która nie nadąża za własnymi pomysłami na naprawianie rodzinnej Łodzi. Najwięcej endorfin wyzwalają u niej dalekie podróże, widok dzikich zwierząt na wolności i tych domowych na kanapie.

Jörn Kaufhold – jest trenerem i mentorem Pedagogiki Dzikiej Przyrody przy szkole Wildnisschule Wildniswissen. Jest absolwentem szkoły Kamana Naturalist Training Program. Od lat pracuje również jako pedagog społeczny. Wraz z żoną i córką mieszka w górskiej chacie na Słowacji (Vtácnik). Jest też współautorem niedawno wydanego, oryginalnego przewodnika po Słowacji „Weg der Helden". W wolnych chwilach zaczytuje się w śladach i tropach dzikich zwierząt.

Katarzyna Kępska – trenerka oddziału śląskiego ODE „Źródła". Niespokojny duch, który lubi być w drodze, wśród nowych ludzi i w nowych miejscach. Z wykształcenia geografka, interesuje się edukacją alternatywną, poznawaniem dzikiej przyrody i poznawaniem siebie.

Dorota Komasa – mentorka w Naturalnej Szkole Bukowy Dom. Pedagożka i instruktorka metody Improwizacji Tańca i Symboliki Ciała. Kreatorka twórczych warsztatów m.in. we współpracy z Mothers of Design. Wychowawca na obozach socjoterapeutycznych oraz w Wioskach Fundacji Bullerbyn. Prywatnie marzycielka, która mówi o sobie: „Tu, gdzie jestem, znalazłam się m.in. dzięki ludziom, których spotkałam w swoim życiu, a którzy pomogli mi w odkrywaniu moich (wówczas ukrytych) talentów. Zbiór różnych doświadczeń i wytężonej pracy zaowocował tym, że temu, co robię, towarzyszy entuzjazm i zaangażowanie. Nie boję się nowych wyzwań, bo wiem, że one najwięcej mnie nauczą. W Naturalnej Szkole Bukowy Dom łączę to, co kocham z tym, co potrafię robić dobrze – pomagam dzieciom i młodzieży odnajdywać najlepsze środki wyrazu ich samych, dzięki czemu mogą poczuć swój żywioł".

Anna Komorowska – jest mamą, partnerką, architektką krajobrazu, pedagożką i publicystką. Wspólnie z Michałem Rokitą prowadzi pracownię k. projektującą place zabaw – ogrody szkolne i przedszkolne, przestrzenie edukacyjne, tzw. naturalne place zabaw, a także sale zabaw i instalacje tymczasowe. Drugą ich specjalizacją jest edukacja architektoniczna dzieci, młodzieży i dorosłych, którą wykorzystują włączając przyszłych użytkowników placów zabaw do projektowania. Od 2009 r. na stałe współpracuje z „Zielenią Miejską", gdzie pisze o... placach zabaw. Właśnie pracuje nad 89. projektem. Przed emeryturą planuje zrobić 700.

Monika Kotulak – biolożka, edukatorka, ekolożka. Zajmuje się promocją edukacji przyrodniczej w terenie wśród dzieci i dorosłych, w ODE „Źródła" pracowała przy projekcie „W dziką stronę". Wierzy, że dzikie jest piękne i że wszyscy mamy dzikiego człowieka w sobie, niektórym tylko trzeba pomóc go odkryć. Poza edukacją zajmuje się też prawną ochroną przyrody.

Ryszard Kulik – doktor psychologii i trener psychologicznego treningu Polskiego Towarzystwa Psychologicznego, współpracownik organizacji ekologicznych. Od lat zajmuje się edukacją ekologiczną i psychologiczną. Autor książek poruszających tematykę relacji człowiek – przyroda, m.in. „Człowiek wobec przyrody. Psychologia ochrony środowiska", „Jak kształtować postawy ekologiczne. Trening grupowy w edukacji ekologicznej" i „Odkrywanie Natury. Praktyka głębokiej ekologii". Czerpie inspiracje z nurtów filozofii głębokiej psychologii, psychologii humanistycznej, ekofilozofii i ekopsychologii, idei bioregionalizmu oraz z doświadczenia bliskiego kontaktu z dziką przyrodą.

Agnieszka Mazur – ze Źródłami związana od 2013 roku jako absolwentka Szkoły Trenerów Edukacji Globalnej. Z wykształcenia pedagog, realizuje się jako trener promując wiedzę przyrodniczą, ekologiczną, globalną od przedszkolaków do licealistów. Marzy o edukacji, która rozwijałaby twórczość dzieci, więc często stosuje w swojej pracy metody pobudzające kreatywność. Poza pracą, dla ciała – rower, dla ducha – ulubiona muzyka i dobra książka. Lubi zarażać uśmiechem. Uwielbia gry planszowe rozgrywane w gronie przyjaciół. Jest dumną balkonową ogrodniczką marząca w przyszłości o dużo większych połaciach zieleni i stodole zamienionej w przytulny dom. Z racji tego, że zieleni ciągle jej mało – w dziką stronę pędzi śmiało.

Alina Michalik – instruktorka szkoły dzikiej przyrody Wildniswissen (w Polsce pod nazwą „Dzikie Studia"). Autorka warsztatów na podstawie nauk Sun Bear'a („Duchowy Survival"), na co dzień zajmuje się edukacją ekologiczną i społeczną, tłumaczka języka niemieckiego.

Maciej Mrozowski – pedagog przedszkolny (Pan Przedszkolan;) od wielu lat pracujący z małymi dziećmi. Z tematyką leśnych przedszkoli zetknął się w 2009r., co zainspirowało go do wnikliwego poznania tej dość kontrowersyjnej wówczas koncepcji. Zebrany w cyklu odwiedzin leśnych placówek materiał, stał się fundamentem pracy dyplomowej poświęconej wykorzystaniu ekosystemu leśnego w pracy pedagogicznej. Codzienne obcowanie z dziećmi i obserwacja zmieniającej się w zatrważającym tempie rzeczywistości, skierowała jego pedagogiczną pasję na obszar Pedagogiki Natury, czy też Leśnej Pedagogiki, które to pojęcia nie występują w fachowej literaturze polskiej poświęconej wychowaniu i edukacji dzieci. To zainspirowało go do stworzenia projektu Leśnych Półkolonii, gdzie wspólnie z towarzyszką swojego życia i półtoraroczną córeczką, doświadczają siły holistycznego oddziaływania Natury na rozwój dziecka.

Gosia Świderek – absolwentka antropologii społecznej na UŁ, słuchaczka studium podyplomowego „Metody i treści edukacji ekologicznej", od 20 lat edukatorka, szkoleniowiec, autorka programów edukacyjnych, scenariuszy, gier i kilkunastu publikacji z zakresu edukacji ekologicznej w szkole i w terenie oraz edukacji globalnej, wyd. przez Źródła, CEO, Polską Zieloną Sieć, Ministerstwo Środowiska. Autorka i koordynatorka kilkunastu ogólnopolskich projektów edukacyjnych. Współzałożycielka i prezeska Ośrodka Działań Ekologicznych „Źródła", kieruje Ośrodkiem Edukacji i Kultury Ekologicznej. Fanka pedagogiki niedyrektywnej. W wolnych chwilach szyje broszki z filcu, wycina z gumek stemple i fotografuje rośliny.

Izabela Tarczoń – lekarka medycyny, specjalistka pediatrii, konsultantka ds. szczepień ochronnych. Absolwentka Wydziału Lekarskiego Collegium Medicum Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie. Kierowniczka Specjalistycznej Poradni Medycznej „Przylądek Zdrowia". Autorka i współautorka artykułów w czasopismach naukowych związanych z chorobami zakaźnymi i szczepieniami, wykładowczyni na konferencjach i sympozjach medycznych. Pisze do rubryki „Porady naszych ekspertów" na portalu Czasdzieci.pl.

Adam Wajrak – dziennikarz „Gazety Wyborczej", popularyzator wiedzy o przyrodzie i jej ochronie. Wspiera swym piórem i na wiele innych sposobów działania na rzecz objęcia całej Puszczy Białowieskiej ochroną w postaci parku narodowego, a także inne inicjatywy na rzecz przyrody. Do jego ulubionych zajęć należy podpatrywanie zwierząt. Wiele zwierzaków, które zostały ranne lub osierocone przez rodziców, znajduje opiekę w jego puszczańskim domu. Wychowywał sowy, kruki, bociany, kuny i wydrę. Autor licznych książek o zwierzętach, w których zaczytują się dzieci i dorośli, a jego seria „Przewodników dla prawdziwych tropicieli" to obowiązkowa lektura dla edukatorów prowadzących dla dzieci warsztaty w terenie.

Marta Zdanowska – animatorka kultury, redaktorka książek, organizatorka literacko-teatralnych wydarzeń w przestrzeni miejskiej. Publikowała m.in. w „Arteriach", „Gazecie Wyborczej", „Czasie Kultury". Mieszka w Łodzi i jest do niej ślepo przywiązana.

Publikacja została wydana w ramach projektu „W dziką stronę” dofinansowanego ze środków EOG

Źródła